

II 176.198

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

KOBIETY



INSTYTUT LITERACKI
R Z Y M 1946

KOBIETY

TEGOŻ AUTORA:

ZWIEDZAMY ŻYCIE.

Książka o Warszawie, Biblioteka Polska; Warszawa
sierpień 1939.

W PRZYGOTOWANIU:

DZIWIY ŻYCIA — *nowele o Polsce pod Niemcami i pod
Sowietami.*

LUDZIE MOKOTOWA — *wspomnienia powstańcze.*

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

KOBIETY



INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1946

STANISŁAW KURCZYŃSKI

KOBIETY



II 176.198

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001015588980

*W*kracząc do Polski w 1939 roku, Niemcy nie doceniali roli kobiet polskich. Mordowali je przez wrodzone okrucieństwo, lub w celu biologicznego wyłępienia narodu polskiego, nie dostrzegali natomiast w kobiecie przeciwnika. Kobiety niemieckie są przeważnie bierne, mało inteligentne i z reguły stojące zdala od życia politycznego. Niemcy przypisywali te same cechy kobietom polskim. Pierwszy rok okupacji otworzył im oczy. Przekonali się ze zdumieniem, że Polka na równi z mężczyzną występuje czynnie do walki o niepodległość. Ze dorównuje mężczyźnie w odwadze, inicjatywie, wytrwałości, gotowości bojowej, a góruje nad nim w wytrzymałości na tortury. Według statystyki Gestapo na dziesięć załamań męskich wypadło jedno kobiece. "Z polskich bab nic się nie wytłucze..." - mawiali ze złością. Z rosnącym gniewem stwierdzali, że powyższa charakterystyka dotyczy kobiety polskiej w ogóle, nie stanowiąc atrybutu jednej tylko klasy czy sfery. Służąca, pracownica domowa, kucharka, praczka, na równi z chlebobawczyniami brały udział w konspiracji, były - jak one - zaprzysiężone,

oddane Sprawie duszą i ciałem. Na wsi kolportaż tajnej prasy szedł głównie przez ręce kobiet. Stwierdzenie tych faktów wzbudziło w Niemcach nienawiść do kobiety polskiej. Kobieta konspiratorka - kobieta przeciwstawiająca się im, zdobywcom świata, (i to jak zuchwale!... jak prze-myślnie! .. Ileż razy widzieli się wystrychnięci na dudka przez byle smarkatą...) - zdawała im się tworem wynaturzo-nym, odrażającym, zasługującym na bezwzględne wyte-pienie.

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA («Z. Otchłani »)

OD AUTORA

Oto kobiety w Polsce 1939-1945.

Nie piszę o zdarzeniach, chociaż wszystkie były mi bliskie; piszę o ludziach wśród zdarzeń. Dlatego nie chronologia mnie obchodzi, lecz serca i losy. Kolejność dat zachowuję tylko wewnątrz działów.

Pisałam tę książkę już na emigracji, po wyjściu z Polski w lipcu 1945.

S. K.

CZERWONE WINO

« Jeruzalem! Zbudowane jesteś jako miasto, gdzie wszyscy łączą się społem. Tam bowiem wstępują pokolenia, pokolenia Pańskie, aby wslawiły imię Twoje... ».

(z tekstów mszalnych)

Wrzesień 1939 stał pod błękitnym niebem, wśród złotydrzew, złotych pożarów, czarnego miazu domów i kości. Później zwisał, jak krwawy strzęp.

Tak samo — serce Warszawy.

Czy wierzyliśmy w zwycięstwo? Nie wiem, bo i wtedy nie chcieliśmy wiedzieć. Zresztą, nie było czasu. Dziś, patrząc wstecz na tamte dni, myślę, że wierzyliśmy aż do siedemnastego.

Natomiast w walkę wierzyliśmy dłużej, aż do dwudziestego piątego, kiedy całe miasto — jak mówiono wtedy — padło pod bombami.

W szpitalu Dzieciątka Jezus leży trzy tysiące rannych, choć miejsca jest na tysiąc. Ale lekarzy nie brak, obsługi dużo, zakonnej i świeckiej, apteka pełna, Rentgen działa, bandażujemy bogato, kuchnia i pralnia w porządku, a w sieni frontowego pawilonu dziesiątki ochotników noszowych czeka na skinienie. Szpitalne magazyny żywności pełne są worków ryżu, manny, cukru, herbaty. Rannym

nie brakuje niczego, prócz bezpieczeństwa i wody. Wodę nosimy kubłami z uszkodzonych Filtrów, pod obstrzałem. Kiedy już nikt nie waży się iść, prowadzi nas wesoło pani Maria, żona sierżanta, walczącego gdzieś na dalekiej wojnie — może pod Kutnem, może pod Siedlcami, może pod Lwowem — na polskiej dalekiej wojnie, o której w odciętym mieście nie wiemy już nic.

Mieszkamy w szpitalu, każdy oddział sanitariuszek na swoim pawilonie, nie wychodzimy na ulicę, bo nie ma po co i roboty jest zawsze za dużo. Śpimy kolejno po parę godzin, na legowiskach w korytarzu, jadamy u szarytek.

Nazajutrz po przyjściu do szpitala, chyba siódmego września, otworzyłam przypadkiem drzwi jednej z izb na paterze, szukając czegoś czy kogoś. Na kamiennej podłodze śpi troje dzieci, same okrągłe blondasy. Zimno dzieciakom, myślę, gdzieby tu znaleźć jakiś koc? Podchodzę: trupy. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam nienawiść.

Nocami strzelają armaty, pocieszamy się, że to nasze; istotnie, w ogrodzie pomologicznym, tuż za szpitalem, stoi bateria. Na dachach pawilonów posługacze szpitalni malują wielkie czerwone krzyże. Słusznie, to zupełnie ochroni od bombardowania. Na dalekiej wojnie widocznie wszystko idzie dobrze, bo któregoś dnia gazeciarz przynosi dodatek nadzwyczajny jednego z wielu kurierków: «Linia Zygryda przełamana w siedmiu miejscach». «Anglicy w Gdyni!» Wiwat! Ale ranny żołnierz, zarośnięty i obdarty, przyniesiony prosto z pola bitwy — bodajże spod Raszyna — jęczy na noszach:

— Marmeladę z nas zrobili, nie ma już wojska...

— Sabotażysta! Dywersant! — oburza się nasza Pani Doktor, doktor Zofia Zabawska, kapitan wojsk polskich, słońce szpitala. Sabotażystę, po opatunku, zamknęliśmy do separatki, żeby nie siał zgorszenia. Inni ranni zapew-

niają, że wszystko dobrze, a dlaczego pożary widać ze wszystkich stron Warszawy, tego nie wie nikt.

Jest dobrze, bo nawet ktoś nam przyprowadza jeńca na opatrunek.

— Nie dobijajcie mnie! — błaga Niemiec, dygocący i pokorny. — Ich binn kein wildes Tier!

Pani Doktor śmieje się zdumiona.

— W polskich szpitalach nie zabijają jeńców — mówi.

Po opatrunku, Niemiec dostaje kawy, jak wszyscy, a potem idzie pod strażą na Komendę Miasta. Następny Niemiec, draśnięty w nos, domaga się buńczucznie zastrzyku przeciw tężcowi.

— Za mało będzie dla naszych — melduje któraś asystentka, Ewa, czy Jadzia. — Pani Doktor każe dać?

— Dać mu, ścierwu, niech zna pana.

Po paru dniach, w szpitalu wyleciały szyby. Na opatrunkową ktoś przyprowadza dziewczynkę, może piętnastoletnią. Ratowała rannych w Alejach Jerozolimskich, pocisk padł na chodnik, zasypał ją odłamkami asfaltu. Pani Doktor wyjmuje odłamek po odłamku i sama aż zęby zaciska, dziewczyna ani drgnie.

— Jak się nazywasz, dziecko?

— Leydówna.

— Zapamiętajcie to nazwisko — powiada do nas Pani Doktor. — Po wojnie podam ją do Krzyża Walecznych.

Z okien widzimy procesje ludzi, idących w obie strony. Z gratami, z dziećmi, z rozpaczą.

— Ot, szukają własnej śmierci — mówi ktoś. — Czy to nie lepiej czekać na swoim miejscu, aż sama przyjdzie?

Nocami płoną pierwsze bliskie pożary. Jasno i czerwono w ogrodzie szpitalnym, ale w szpital nie trafiło jeszcze nic. Ranni napływają falami. Wszyscy mówią zgodnie: — «Już odpędzamy Niemca, już, już...».

Na pawilonach zaczęła się dezynteria. Któregoś dnia,

starszka Siostra Ludwika, odpowiedzialna za gospodarstwo szpitala, mówi:

— Nie mam już czerwonego wina, tu jest kartka do firmy Rago na Krakowskim Przedmieściu. Możeby dwie sanitariuszki poszły przynieść? Rago da na pewno, chciałabym ze trzydzieści butelek.

Pani Doktor wyznacza Pawłowską i mnie. Wychodzimy natychmiast, jakieśmy stały: białe fartuchy, białe czepki, czerwone krzyżyki na ramieniu. Głupio, ale któż wtedy nie był głupi?

Ulice Warszawy! Nie widziane od kilku dni. Szkło pod nogami, gruzy, barykady z mebli, z tramwajów. Tłum kopie rowy przed Dworcem Głównym. W szpitalu nikt nie wie, że miasto jest takie zniszczone. U nas jeszcze raj.

Więc jest tak źle?

Przez głośniki krzyczy Starzyński:

— Trzymać się! Otworzyć sklepy, nie tarasować ulic, nie zamykać bram. Wykopać rowy na Placu Unii! Potrzebuję stu ludzi na Wołę, stawić się natychmiast z łopatami! Dwudziestu na Sołec, nosić worki ze młyna. Trzymamy się! Wytrzymamy!

Więc jest tak dobrze?

Nie nasza rzecz. My z Pawłowską wiemy jedno: czerwone wino, firma Rago, trzydzieści butelek.

Idziemy rzeźko, rade z przechadzki. Nagle tłum patrzy w niebo, ale do bram nie ucieka nikt. Srebrne bombowce nadlatują od zachodu. Z dachów sypie się ku nim groch karabinowych strzałów tyr, tyr, tyr... Przeciskamy się Marszałkowską ku Świętokrzyskiej. Na Nowym Świecie już wiemy: to nalot na mosty. E, mosty daleko, widzimy, że na ulicy nie boi się nikt. Dachy pełne żołnierzy i cywilnych Antków. Wszystko krzyczy, śmieje się,

klnie i strzela. Do firmy Rago mamy już chyba tylko ze sto kroków. Nagle słyhać detonację i srebrny bombowiec zniża się nad ulicą. Zwierzęcy strach zapala nam i mrozi krew. Ostatkiem tchu dobiegamy do składu win. Brama zamknięta! Pięściami walimy w deski, zostawiające nas samotnie na pustej już teraz ulicy.

Bombowiec znikł, bramę otworzyła drżąca dziewczyna.

— Nie wolno, psiakrew, zamykać bram! Nie słyzałaś, co mówił Starzyński? Brama jest dla wszystkich! Złożymy na ciebie raport do komendy!

Ale już strach odpłynął, wściekłość zgasła i wiemy doskonale, że na żaden raport nie będzie czasu. Zresztą już lubimy dziewczyninę za pokorę jej spojrzenia. Staruszek Rago dał nam wino, najlepsze czerwone, trzydzieści butelek, naturalnie bez pieniędzy. Zapakował w cztery paczki, każda z nas niesie piętnaście butelek, w obu rękach. W razie czego, nie można już biec. Czerwone wino — skarb.

Wolnym krokiem dochodzimy do kościoła Wizytek. Jest koło piątej po południu. Drugi nalot na mosty! Tym razem mosty wydały nam się bliżej. Chronimy się do kościoła, w kościele tłum. Pod dachem jest każdemu bezpiecznie, sklepienie takie grube.

Wkrótce ucichło, z tłumem wypływamy zwolna na ulicę. A na ulicy — bal!

— Bombowiec strącony! — ryczy tysiąc gardeł. Żołnierze i Antki szaleją na dachach, czapki lecą w górę. Drżymy ze szczęścia, ale znowu nie możemy biec z tłumem. Tyle wina w ręku! Koło Hotelu Europejskiego, tuż przy służbowym wejściu, którego nie znałyśmy dotychczas, ktoś szarpie nas za fartuchy.

— Siostrzyczki, do nas! Do nas na podwieczorek!

To trzy kelnerki chwyciły nas i ciągną gościnnie do swego kąta koło kuchni.

— Zjecie nasz podwieczorek, nasz własny, zróbcie nam tę łaskę, wiecie, że strąciliśmy bombowiec?

— Mamy teraz stołówkę dla wojska, nie odmówcie, siostrzyczki!

— Sam generał Rómmel przyszedł na kawę, siedzi w sali! — krzyczą dziewczęta jedna przez drugą.

— Ależ kochane panie, nie jesteśmy głodne, w szpitalu żarcia po uszy.

— To nic, musicie wypić naszą kawę!

Siedząc w służbowym za kuchnią, obsługiwane jak królowe, czujemy obie z Pawłowską, że chyba nikt nas w życiu tak nie kochał, jak te nieznanne kelnerki, widziane po raz pierwszy i ostatni. Za co? Za czerwony krzyż na ramieniu. Za strącony bombowiec, którego nawet nie widziała żadna z nich, żadna z nas.

Na Marszałkowskiej szalał tłum. Dachy pieniały się radością, resztki słońca świeciły w zachodzącym słońcu, ulicami toczył się potężny śmiech. Koło dworca baby kopały rowy, chłopcy umacniały szanice. Chciałyśmy całować każdą z nich, każdego z nich. Warszawa braci i sióstr piła bez tchu czerwone wino walki.

Triumfalnie wnieśliśmy do szpitala trzydzieści nierozbitych butelek. Na korytarzu kłębili się ludzie, dwóch mężczyzn niesło zemdloną Szarytkę, która codziennie śpiewała na mszy. Po śladach idących ludzi, kapąła krew, koloru wina. Prawa noga kobiety zwisała w strzępach.

— Natychmiast amputacja — zabrzmiał głos doktora Zabawskiej.

Siostra Ludwika nie ucieszyła się z wina.

— Doktor Wojciechowska zabita przed chwilą — powiedziała nam zamiast powitania.

Tak połała się w moich oczach pierwsza krew — wino wolności — odtąd płynęła rzeką.

PROFILE MŁODZIENCZE

CHLEB I SERCE

Kiedyś, w 1937 roku, oglądając fotografie zniszczonego Madrytu, Emilia powiedziała od niechcienia: «A teraz kolej na Warszawę».

Stało się — i oto już jest październik 1939. Wojenny wrzesień przetoczył się nad miastem, kapitulacja dźgnęła półżywych ludzi ostatnim ciosem; ale za kilka dni nie było już czasu o tym pamiętać.

Pierwszy jest — chleb.

Dowództwo poszło do niewoli, lakierowani Niemcy walą białymi rękawiczkami w żydowskie twarze, nie wiadomo czy rozstrzelają Starzyńskiego, ale głodny tłum wyległ na ulice i CHCE JEŚĆ! Ludzie mrowią się po jezdniach, zasypanych szkłem; szukają żywych, szukają umarłych, oblażą skwery, oglądając napisy na świeżych, byle jakich mogiłkach, dziwią się tramwajom, leżącym w poprzek jezdni, chociaż sami je tu niedawno przewrócili; włożą na gruzy, płaczą się w zerwane druty. Ktoś znalazł w barykadzie własne biurko i kanapę, ktoś dźwiga do znajomych stół, ocalały z całego mieszkania. Tam, gdzie zamiast domu garbi się stos okopconych cegieł, drewna i żelastwa, stoją milczące gromady, patrzą na rumowisko i myślą: «Czy tu jesteś, Zosiu?», «Czy tam leżysz, Janku?» Zanim pól

Europy roz tarto na miał, ci ludzie pierwsi, wtedy, w Warszawie, witali oniemiałym zdumieniem ten nowy, nowy świat. Ale przede wszystkim, ponad wszystkim i pomimo wszystko: chleba!

Chleb! Woda! Dach! Studzien za mało, sklepy rozbite, piece nie palą, mąki nie ma. Czym zaklepać sufit? Siódmego października spadł pierwszy śnieg na drzewa, krągłe od liści.

Wstawszy przed świtem, Emilia idzie z wiadrami z Hożej na Ludną i długo stoi w kolejce po wodę. Niemcy fotografują tłum przy studni, Tłum odwraca się tyłem. « Bodaj was jasna cholera! », « Jeszcze i na was przyjdzie »... — pomrukują ludzie. Wreszcie Emilia nabiera wody, obryzguje buty i dźwiga dwa kubły powoli pod górę, ku Placowi Trzech Krzyży. Na rogu Książęcej i dolnej Smolnej staje by odpocząć. I widzi: Wiaduktem Trzeciego Maja sunie gruby wąż ludzi w polskich mundurach. To jeńcy. Idą byle jak, płaszcze rozpięte, głowy spuszczone. Szaro zielony wąż, na szarym wiadukcie, pod szarym niebem. Zwolniony film przegranej. A przecież właśnie od strony tego mostu czekaliśmy odsieczy! Kiedy w dwie godziny później, Emilia już bez wiader, stanęła w kolejce po chleb na rogu Hożej i Placu ten sam siwy wąż mundurów wpełzał bez przerwy w wyłot A'ci. Odwrotna polska defilada, po tej samej ulicy, tylko w przeciwną stronę.

— Tyle jeszcze mieliśmy żołnierzy? — myśli naiwnie Emilia. — To czemu w takim razie? Czemu?...

Dosyć. Tak. To wszystko prawda albo nieprawda, ale teraz — chleb!

Kolejka ludzi ustawiła się przed piekarnią, znajomą od dawna. Podobno odratowano tam piec. Starzyński kazał — jeszcze wciąż Starzyński — wydobyć mąkę ze schowków i dawać chleb. Stoi kilkaset osób, każdy nienawidzi każde-

go, kto stoi przed nim. A jeszcze tydzień temu tłum warszawski był tłumem braci i sióstr.

Do wieczora chleba nie dano.

Nie dano też nazajutrz, ani za trzy dni. (Za to Niemcy dali nowe rozporządzenia: godzina policyjna od zmroku, oddać aparaty radiowe, kara śmierci za posiadanie broni. Nowy, nowy świat!) Wreszcie po tygodniu ulicą poszła plotka: chleb dadzą w południe! Znowu cierpliwy ogon ludzi wyciąga się przed piekarnią i znowu stoi Emilia. W południe? Doskonale, już ósma, poczekamy. Nie, nie poczekamy. Patrol Niemców przegania kolbami: nie wolno stać na tej ulicy. Precz! Pośpieszna plotka komentuje natychmiast: « Defiladę będą tu robić, dranie, sam Hitler przyjechał! »

Więc Emilia idzie precz. Głód i nienawiść cierpką śliną pod wpływają do ust. Emilia wraca do domu. Dom! Cudzy pokój z kuchnią, w którym mieszka osiem kobiet, stare i młode, żółte, brudne, półprzytomne. Ale same swoje. Zaprzyjaźnione lub spokrewnione, zżyte od lat w wioślarskim klubie, zbratane wrześnieową pracą w szpitalu, niedawno, w sierpniu jeszcze, nauczycielki, urzędniczki, studentki, dziś pogorzelnicy — schronione u koleżanki. Każda ma swój kąt na podłodze i plecak, który wzięła z domu szóstego września, przenosząc się do szpitala. Halina, sławna ongiś sterniczka, szczęśliwa właścicielka tego mieszkania, odrobiny opału i skąpych zapasów, odłożonych w sierpniu, ale liczonych na dwie osoby — objęła komendę nad gromadą swoich gości. Co dzień inne trzy śpią na łóżku, dwie na otomanie, reszta na podłodze. Halina zawsze w kuchni, z psem. Punktualnie o piątej każe wstawać, bo od tej godziny wolno wychodzić na ulicę, a w dżungli trzeba się śpieszyć do walki o byt. Trzy kobiety wysyła po wodę, dwie za miasto, szukać kapusty po cudzych polach. Jedną stawia w kolejce po chleb, po nadzieję chleba. Jedna musi

iść na ulicę i próbować wyciąć mięso z zabitego konia, jeśli jeszcze przypadkiem znajdzie się jakiś niezjedzony. Najmłodsza Elżunia, córka Emilii, ma rozkaz palić pod kuchnią, sprzątać mieszkanie i gotować obiad. Inne « dyżury » zmieniają się co dzień, każdą z prac po kolei spełnia też Halina. Rządzi sprawiedliwie, za lenistwo wymyśla brutalnie, wymaga uczciwej pracy, żywi wszystkie z własnych mizernych zapasów — pięć kilo grochu, pięć kilo kaszy, pięć kilo makaronu — ale żywność dzieli własnoręcznie i skrupulatnie. Pies, jako dziewiąty, uczestniczy w podziale. Emilia i Jasia najsilniejsze, pracują najlepiej, ale gdyby łyknęły więcej zupy, Halina powiedziałaby krótko i głośno: « Świństwo ». Komenderuje, jak załogą regatowej łodzi. Istotnie, przed kilku laty, warszawskie wioślarki wygrały pod jej sterem regaty na Tamizie, a teraz, w powrześniowej Warszawie, nurt jest groźniejszy, meta bardziej odległa.

Po raz pierwszy w dzień jedzą koło południa, a potem idą ławą do szpitala. Ale nie robią już opatrunków. Na to, co teraz zostało ze szpitala, wystarczą siostry zakonne. Idą kopać gruzy. Szukają Tej, której wśród nich zabrakło. Pani Doktor. Ona to przyjęła je do pomocy szóstego września, ją to kochały żarliwą miłością żołnierza do wodza. Padła, w przeddzień kapitulacji, na nią trzy piętra, przy niej trzystu ludzi. Teraz kopie tam straż ogniowa, kopią rodziny, kopią towarzysze. Gruzy tłą się jeszcze.

Po dwóch tygodniach Emilia znieawidziła Halinę. — « Nie wolno mi nawet dać większego kawałka kapusty rodzonej córce, chociaż sama tę kapustę wycięłam na cudzym polu i przydźwigałam aż z Wilanowa! — myśli. Mam patrzeć, jak mi się dziewczyna zatacza z głodu? ».

Któregoś ranka, Halina woła: — No, stare do roboty jak zwykle, młode ze mną do piwnicy, trzeba drzewo porąbać:

— Zamordujesz mi dzieciaka tą pracą — rzuca ostro Emilia.

— « Dzieciak » ma siedemnaście lat — odpowiada zimno Halina. — Mogłabyś już ją puścić od swojej kiecki.

Wieczorem, Elżunia układa się wygodnie na podłodze, obok matki.

— Wiesz — szepcze jej do ucha. — Pani Halina sama rąbała drzewo, a mnie i Jadwisi dała po kawałku cukru. Ma całe kilo schowane w piwnicy, powiedziała że to dla nas, kazała nikomu nie mówić.

— Cukier? A sama też jadła? — szepcze zółciowo Emilia.

— Skądże? Jaka ty jesteś dziecinna, mamo. Jeszcze nie poznałaś pani Haliny?

Emilia pokochała Halinę natychmiast.

Któregoś dnia, już ciemno, tylko świeczka w kuchni — wpada Jadwisia i rzuca na kuchenny stolik płat mięsa.

— Koń! — krzyczy chór.

— Koń! — triumfuje Jadwisia. — Jeszcze żył, czekałyśmy na Koszykowej chyba w dziesięć osób, aż umrze, biedaczysko. Długośmy czekali, chyba ze sto lat, aż wreszcie umarł. Ja wycięłam najlepszy kawałek, bo miałam ze sobą skalpel.

— Brawo przyszły chirurg! Zna się na rzeczy — chwali Halina.

— O słodka Jadwisiu, przyjaciółko zwierząt! — kpi czyjś głos z ciemnego kąta.

— Trudno, wojna — krzywi się Jadwisia.

Po co tłumaczyć? Jeść!! Serce ludzkie zmienia barwę jak kameleon, jeśli obok położyć CHLEB! Elżunia rozpała ogień. Po kątach czekają wilki. Przy świeczce oglądają wspaniałą zdobycz.

— A ja wam powiadam — odzywa się bez sensu Halina — że wojna potrwa dwa lata.

Ogólny śmiech. — Idź-że, idź! Nikt nie wyżyje. Zarobić nie można w tych warunkach, żniwa zniszczone, do Świąt cała Polska wyzdycha.

— Elżunia! Dziel konia na dwa lata!

— Najdalej za miesiąc przyjdą Francuzi i Anglicy.

— Wojna potrwa dwa lata — mówi z uporem Halina, patrząc w ogień.

Głupstwo wojna. Koń gotuje się długo, ale będzie dużo, dużo zupy i mięsa. Tymczasem Emilia i Jasia chciałyby gdzieś usiąść. Wstały piętnaście godzin temu, przyniosły wody, biegały za miasto, kopały gruzy. Usiąść! Zajęte wszystkie stołki i każdy kąt. A któżby poszedł do zimnego pokoju, któżby odszedł od ognia, od zapachu mięsa? Więc stoją, oparte o drzwi. Emilia myśli: to są moje wierne towarzyszkki z września? Nie, to są ciała, które pozajmowały wszystkie stołki, ciała którym trzeba ustępować legowiska, z którymi trzeba dzielić żywność. Chcę zabrać moje dziecko do mego pięknego domu! Chcę je nakarmić, wykąpać i położyć do czystego łóżka! Dokąd iść? Za co? I tak może jeszcze trwać kilka miesięcy? Nie!

Uczta.

Potem ciężki, nażarty sen. Tym razem Emilia śpi na łóżku, zwinięta obok Elżuni i Jasi. Nie ma już rozpaczy po Pani Doktor, najlepszej Pani Doktor, leżącej pod gruzami, o parę ulic dalej. Nie ma Niemców na świecie. Kapitulacja? Jeńcy na trasie dawnej defilady? Warszawa? Polska? Mąż na dalekiej wojnie? Być może, być może. Ale dziś leży jadło w żołądku. Spokój. Kameleon serca skamieniał od CHLEBA.

Jakoś w końcu października otworzył się pierwszy sklepik. Emilia trafiła na niego przypadkiem, wlokąc się ulicami w poszukiwaniu żywności. I nagle — otwarty sklepik! Złota 37. Przed sklepikiem tłum, znaczy, że warto walczyć.

Wywalczyła sobie wejście łokciami i cierpliwością, trwało to długo. Wszystko co było w kieszeni — bodaj że trzydzieści złotych zapłaciła za jedną kromkę chleba z szynką. Z szynką! Był to pierwszy chleb od kapitulacji.

Emilia niesie łup do domu. O nie, nie pokaże w domu, wywoła córkę — już szarą z głodu — i zaprowadzi ją daleko od wspólnego mieszkania, od surowości Haliny, od koleżeństwa, sprawiedliwości i wszelkich cnót.

Wyciągnęła Elżunię aż na Mokotowską, może tu nie zobaczy nikt z domu. Wtedy wyjęła z kieszeni ten chleb, okraszony wędliną.

— Masz!

Niebieskie oczki zalśniły, ręce Elżuni porwały się chciwie — i zastygły w pół drogi.

— A ty jadłaś, mama?

— Zjadłam to samo, kupując.

— Dajesz słowo?

— Daję słowo.

— Jak mnie kochasz?

— Jak ciebie kocham.

Palce Elżuni zmiękły szczęśliwie i zaczęły pieścić kromkę. Rozkosz trzeba przedłużyć, więc dziewczyna zbliża do nosa pachnący skarb, zamyka oczy i wciąga zapach chleba, zapach szynki. Nagle z bramy wybiega jakiś dzieciak i chwyta Elżunię za łokieć.

— Daj! — krzyczy.

Otworzyła oczy, przymknięte rozkoszą. Ręka z pachnącą kromką, wprost od nosa, ominąwszy usta, skręca ku dziecku. Dziecko z kromką i z wrzaskiem pognało na schody.

Emilia nie patrzy z zachwytem. Idzie ponuro, łykając łzy. Tak, owszem, Elżunia może ma słuszość, ale czy nie mógł ten obcy dzieciak wyskoczyć z bramy choćby w połowie kromki?

— Nie bądź zła, mama, chodź do domu. To nam się zwróci dziesięć razy, ja już swoje wiem.

(Więc nie zawsze kamienieje od chleba serce człowieka? —myśli Emilia).

W bramie na Hożej — czeka Olek. Chudy, obdarty, zakochany w Elżuni, jak przed wojną. Zaraz widać po oczach.

— Żyjesz? Olek! Gdzieś ty był? Oleczek! — woła Elżunia.

— Wróciłem z tej wojny, cholera. Rozbili nasz oddział pod Siedlcami. Uciekłem niemcom, chłopci mi dali te łachy, szedłem piechotą z tydzień, aby do Warszawy.

— Czy twoi żyją? Czy jest twój dom?

— Jeszcze nie wiem. Ciebie szukałem, patrzę: wasz dom w gruzach, przybiegłem do pani Haliny. Jesteś. I ja jestem! Jesteś, Ela. O, przepraszam, nie przywitałem się z mamusią...

Jeszcze w sierpniu były ich wspólne wakacje na wileńskich jeziorach, wodne, słoneczne, zielone wakacje.

— Masz, Ela, przyniosłem ci prezent, — oczy chłopca palą się złotem, — ludzie mi dali po drodze w jakiejś wsi.

Wyjmuje z plecaka wielki bochen chleba i pachnący, gruby wianuszek kielbasy. Plecak opada miękko. Jest już zupełnie pusty.

Elżunia uśmiecha się do Emilii.

— Widzisz, mama — powiada — Ja wiedziałam swoje.

PIĘTNASCIE LAT

Marysieńka wychodzi ze szkoły.

Jak dziwnie jest dziś na ulicy! Coś się dzieje. Ludzie biegną we wszystkie strony, na placu koło Politechniki tyle ciężarówek. Niemcy się roją, broń mają nie na ramieniu, tylko w ręku, gotową do strzału. Prowadzą młodych mężczyzn, mężczyźni trzymają ręce założone na karku. Łapanka na całego, widocznie obława w dzielnicy. Biorą chłopców! Tu jednego wyciągają ze sklepu, tam zatrzymali tramwaj, wylapią do szczętu. Kto może, ucieka na schody, do obcych mieszkań. Ludzie wpuszczają, przechowują, ukrywają...

Marysieńka stoi w progu szkoły. Piętnastoletnie serce, martwieje ze zgrozy. Są rzeczy, na które nie mogą patrzeć ludzkie oczy. Marysieńka nie chce płakać, chce się mścić. Każdy fibr jej ciała spręża się nienawiścią. Skoczyć chyba niemcowi do gardła i dusić!

Idzie dwóch. Jej nie ruszą, bo dziś wyraźnie łapią tylko mężczyzn, więc nie strach, lecz wstręt każe dziewczynce odwrócić głowę w bok. Odwróciła. Wtedy widzi, że w kącie ciasnego pustego zaułka, tuż przy szkole, z której wyszła, kryje się mężczyzna. Przyciska ciało do ściany, chce żeby go nie było.

— Czemuż nie wbiegnie do naszej szkoły? — myśli Marysieńka. — Jakiż głupi! Sterczy pod murem! Przecież to jasne, że dziś nie będą szukać w żeńskiej szkole. Czyż on się nie zna na gatunkach łapanek?

Al'e już po sekundzie, Marysieńka rozumie przyczynę: dziecko Warszawy kombinuje w mig. Mężczyzna trzyma pakunek, ciężką paczkę i ją to właśnie próbuje ukryć. Aha! Widocznie w paczce jest coś takiego, z czym nie ośmiela się wbiec do szkoły, przez co nie może ratować się ucieczką na schody, pełne młodzieży. Pewnie gazetki! Na pewno gazetki. «Czekaj» myśli dziewczynka, «ty, dbasz o moją szkołę, to ja zadbam o ciebie».

Podbiega.

— Proszę pana, niech pan mi odda tę paczkę. Odniosę o piątę na to samo miejsce.

Mężczyzna zachwiał się, jak pod ciosem. Oddał natychmiast i posłusznie, oddał jak matce.

— Teraz prędko do naszej szkoły — szepnęła.

Skoczył.

Marysieńka ruszyła ulicą w kierunku swego domu. Już teraz inaczej czuje to, co dzieje się na ulicy. Ma swoją zemstę, bierze udział w walce. Co jest w paczce? Dużo miękkich papierów, ale jakaś ciężka.

O piątę odniosła. Czekał. W mieście już ucichło. Nie wiedział jak całować jej ręce.

— Dziękuję za życie, dziecino — powiedział tylko.

— Proszę Pana, a co było w paczce? — zagadnęła ciekawie, z dziecięcym uśmiechem.

— Sześć rewolwerów.

NIEPOROZUMIENIE.

Studentka Ewa ma podać zamachowcowi rewolwer na ulicy. Zamachowiec musi jechać czysty na robotę, broń dostaje jak najbliższej miejsca zamachu. Za broń — kara śmierci; nie można przedwcześnie narażać tego, który ma wykonać wyrok Sądu Podziemnego. Na posługi głównego zamachowca są technicy zamachowi.

Powiedziano więc Ewie: « północno wschodni róg Poznańskiej i Hożej. Jutro, dziewiąta rano. Podjedź kierowca blondyn, młody, bez czapki, palto szare. Samochód granatowy, Ford. Wtedy podejść i oddać ».

Ten sam rozkaz dano chłopcu, dorzucając: « dziewczyna w brązowym palcie, oczy niebieskie. Będzie czekała na tym rogu ».

Więc Ewa wstaje już o siódmej i ciągle spogląda na zegarek. W domu nie mówi nic, tylko przed dziewiątą bierze spokojnie gospodarską torbę matki, coś zawija w niemiecką gazetę i wychodzi.

— Ty na wykład?

— Nie, zaraz wrócę.

Na ulicę wybiega, wesoła jak ptak. Śnieg skrzypi srebrnie, niebo szafirowe. Pojechaloby się na narty! Gubałówka w puchu... Tyle już lat drepcze się tylko po chodnikach Warszawy. No, ale dzisiejsza zabawa warta jest nart i mniej niebezpieczna, niż szus z Kasprowego. Można

sobie iść wesoło i niech ludzie myślą, że do sklepiku po kartofle. A tymczasem w torbie — «gniew Ludu». Hahaha.

Już jest ten róg. Północ, wschód — dobrze. Dziewiąty punkt. Jednocześnie z przeciwnej strony zbliża się granatowy Ford. W nim samotny kierowca, blondyn, bez czapki, palto szare. W porządku.

Samochód staje... ale gdzież on staje, do licha? Wyraźnie na rogu południowo wschodnim, nie północno wschodnim, jak kazano. I stoi sobie. Chłopak rozgląda się niecierpliwie. Dziewczyna spaceruje spokojnie. Parsknęłaby śmiechem, gdyby uchodziło «w takiej chwili». Gapa chłopak! Niechże się opamięta. Nie można ryzykować, skoro nie wszystko się zgadza.

Kierowca jest wściekły. Brązowe palto! Wyraźnie Ona. Czegoż marudzi, głupia?

Na koniec podjeżdża do nieznanjomej w brązowym palcie, odsuwa szybkę i rzuca gniewnym szeptem:

— Namysłili się pani wreszcie, czy nie?

— A po co się pan pomylił? — śmieje się dziewczyna błękitnymi oczyma. Oczy jak to niebo, zęby jak tatrzański śnieg.

— A, prawda, przepraszam... — uśmiecha się miękko chłopak. — No to już. Dawać!

Tych dwoje, para na narty — Gniew Ludu? Tak, Gniew Ludu właśnie.

Paczka w niemieckiej gazecie błyskawicznym ruchem podana przez okienko. Zaszleściły papiery. Odwinął. Błysnęła lufa. Zarepetował. Schował do kieszeni. Dał gazu. Już zniknął za rogiem ulicy.

Dopiero wtedy, nagle i nieoczekiwanie, pod dziewczyną ugięły się nogi.

Olbrzymi strach czarnym głazem runął na srebrny dzień.

STEN

W tej właśnie chwili, w tej minucie paść powinien na sąsiedniej ulicy Warszawy rozstrzygający strzał i kadłub jednego tyrana zwali się na bruk.

A może jest inaczej? Może o bruk bije w tej właśnie chwili młodziutka głowa polskiego zamachowca, którego zdążył zastrzelić napadnięty Niemiec? Okaże się to za kilka minut, tu, na tych ciemnych — pomimo słonecznego ranka — schodach. Na te bowiem schody, do tego kąta przybiegnie tamten młody chłopak, jeśli zamach mu się uda.

W tym ciemnym kącie schodów obcej kamienicy czekają Wacek i Hala. Jeśli ktoś idzie klatką schodową, udają zaflirtowaną parę. Nie trudno udawać, pobrali się tydzień temu. Ale nawet im nie dobrze wychodzi scena miłosna, napięcie oczekiwania jest zbyt dotkliwe.

Wacek, lekarz oddziału dywersji, ma zabrać stąd zamachowca na tajny punkt sanitarny, po opatrunek, jeśli ranny, na odpoczynek, jeśli zmęczony. Hala odbierze broń jeszcze ciepłą od strzałów i zanieśie ulicami wzburzonego miasta, daleko, daleko, do składu.

Minuty za minutami. Ci dwoje czekają bez oddechu, z gardłem ściśniętym, paznokcie wbijając w dłoń.

Nagle — czyjs sus od strony bramy i rozdygotany chłopak wali się w ramiona Wacka. Zęby mu szczękają, twarz splywa potem. Wacek bez słowa chwytą go pod ramię i razem dają znowu susa w bramę. Na ulicy czeka samochód i dwóch kierowców. Sekunda — pojechali pełnym gazem.

Teraz Hala jest sama z własnym zadaniem. Te schody, ta brama, lada chwila mogą zapalić się pod nogami. Tu uciekał zamachowiec, stąd odjechał, tylko tutaj może przybiec niemiecka pogoń. Nie wolno myśleć, co robi Wacek i co mu grozi. Trzeba złożyć wystrzelonego Stena, którego rzucono do jej rąk, schować go do gospodarskiej torby — i iść.

Hala jest stary wyga, chociaż ma lat 25. Składała już nieraz Steny na ćwiczeniach i nie pierwszy to raz odbiera broń po zamachu. Ale dziś czemuś — zaciął się Sten. Może ręce drżą z niepokoju o Wacka-męża, może drżały mniej, kiedy był narzeczonym?

Przepadło. Ogromny Sten zaciął się uparcie i niesposób go złożyć. W takim razie nie zmieści się do torby! Na rozważania nie ma czasu. Hala rozpina palto, kładzie sobie długą broń wzdłuż prawego boku, przytrzymuje pachą, zapina palto, chwytą pustą torbę lewą ręką — i wychodzi na ulicę.

Hala jest niska, broń jest długa, a palto wyrośnięte i przyciasne. Ale trzyma z całych sił i idzie pod ścianami domów. Nie wie tylko o jednym: że mały, maleńki koniec lufy wygląda spod palta. Zwykły przechodzień nie zauważy, ale fachowiec — od razu.

Idzie spokojnie, ściany kamienic ma z prawej strony. Ale oto skrzyżowanie ulic. Trzeba przejść kilka kroków po nicosłoniętej przestrzeni, pełnej ludzi. Na jezdni stoi policjant. I patrzy. Żle! Polacy gardzą teraz policją w granatowych mundurach, bo — jak mówią ludzie — « do

niemców na służbę poszła ». Hala wie, że policjant jest równie niebezpieczny, jak Niemiec. Trzeba więc minąć go od swojej niewinnej strony. Hala idzie, bo iść musi, ale w duchu klnie. « Granatowy, psiakrew! Niemcom służy dla kawałka kiełbasy! Śmierci na takiego nie ma... »

Mija... Już, zdawało się, minęła, kiedy nagle policjant podchodzi szybkimi krokami i chwytą ją za lewy łokieć.

— Do bramy, — rozkazuje ostro.

« Boże, tylko tydzień żyłam z Wackiem » — bucha w Hali milczący spazm.

Nic, nic już teraz nie poradzi.

Policjant rozgląda się w bramie: siedzi tu dozorca i handlarka chleba. Wobec tego ciągnie swoją ofiarę na parter ciemnych schodów. Szybko odpina jej palto, wyjmując broń spod pachy, błyskawicznym ruchem składa zaciętego Stena, chowa do torby, wsuwa tę torbę do zmartwiałych rąk Hali, troskliwie zapina palto na dygoczącej dziewczynie i odchodzi.

Odchodząc, warczy: — Jeśli panna nie potrafisz tej roboty, to lepiej panna garnków pilnuj.

HOSTIA

Czwartek wieczorem. Tego wieczoru — jak co tydzień — na Pawiaku milczenie w pełnych celach. Milczenie i skupienie. Po długiej ciszy, chóralny szept: « Spowiadam się Bogu wszechmogącemu... i Tobie, Ojcze, żem zgrzeszył myślą, mową i uczynkiem... ».

O tej samej godzinie, w pobliskim kościele Warszawy, w kościele pustym i tylko iskrą lampki u ołtarza rozjaśnionym, klęczy samotny ksiądz i mówi żarliwym szeptem: « Niech się zniży nad Wami Bóg wszechmogący, a odpuściwszy Wam grzechy, niech Was doprowadzi do żywota wiecznego... Przebaczenia, darowania i odpuszczenia grzechów niech Wam udzieli Bóg miłosierny... ».

— Amen — szepcze daleki chór mężczyzn i kobiet, gwarnymi ulicami oddzielony, wysokim murem zamknięty, kratami zakuty, wartą strzeżony, śmierci czekający.

Modlą się długo ludzie po celach, długo klęczy ksiądz w pustym kościele najdziwniejszego z miast na świecie.

Nazajutrz, w piątek, o siódmej rano, do drzwi zakrystii stuka Hania z towarzyszkami. Otwiera im ten sam ksiądz. Trzy kobiety spowiadają się krótko. Najpierw młodzianka Hania, dziecko prawie, o twarzy przeczystej i oczach z niebios. Potem jej dwie starsze towarzyszki. Razem przy-

stępują do Pańskiego Stołu. Potem Hania klęka w zakrystii. Potem...

Potem dzieje się cud. Do dziewczątka, klęczącego w aśyście dwóch kobiet, podchodzi ksiądz i podaje drobną, płaską szkatuleczkę, owiniętą w skrawek białego płótna. Hania przyjmuje ją wyciągniętymi dłońmi. Zamyka oczy. Pochyla głowę. Chwilę tak trwa. Potem najtkliwsiymi palcami zasuwa białe zawiniątko za białą bluzkę na piersiach. Wysoko zapina płaszcz.

— Idźcie z Bogiem — mówi kapłan.

Trzy kobiety wstają z klęczek i wychodzą na ulicę. Z Bogiem swoim idą. Hania pośrodku, towarzyszki po bokach, tuż przy niej. Lekko dotykają palcami jej łokci, niewidzialnie prowadzą ją przez ziemski świat. Hania idąca wśród nich, z Chrystusem w sercu, z Chrystusem na piersiach, nie wie o świecie przez tę jedną godzinę w tygodniu. Idzie we mgle, w białym obłoku wiary. Może lilie wystają spod nóg, może słońce całuje tę jedną głowę, tak jedyną, choć zgubioną wśród wielu. Ulicy nie ma dokoła, nie ma wrogich mundurów, ani polskiego pracowitego tłumu, który już od dawna wezbrał na chodnikach.

Hania myśli zwykłą swą litanie piętkową:

— « Jezu, który idziesz ku naszym, bądź z nimi, pozostań z nimi. Tym, którzy pojedą do Palmirskiego lasu na krótką straszną śmierć, pomóż udać, że się nie boją. Tym, którzy będą zawleczeni do fabryk wroga, żeby toczyć broń na własnych braci, pozwól, niech bezkarnie zdołają pracować źle. Ci, którzy w kaźni Oświęcimia zapomną Twego Imienia, daj, niech spotkają Dobroć na sąsiedniej przyczy. Ci, którzy wyprowadzeni będą o świecie na więzienne podwórze, niech do ostatniej chwili myślą, że pojedą na transport. Tym, którzy latami nie zobaczą w celi słońca ani książki, niech wstaną z pamięci najpiękniejsze wiersze, niech dojdzie do nich każda wysłana paczka. Niech im nie

zapleśniej chleb. Niech słonina z Patronatu trafi do kotła... »

« Od sztabowego, od gumowej pałki, od krwawego psa — wybaw ich Jezu. Od zgniłej brukwi, od zimna, od wшы — wybaw ich Jezu. Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, daj im uczestnictwo w pracy zbawienia, którą Tyś rozpoczął, a nam kończyć kazałeś... ».

Kobiety w asyście pilnują przejść przez ulice, schodzą z oczu patrolom, milczącymi ruchami kierują tę, która dziś ma prawo nie wiedzieć o świecie. Dziewczynę, która pierwsza może od dwudziestu wieków Kościoła niesie Ciało Boże ciałom umęczonym.

Potem są jakieś izby, jakieś bramy, jakieś obojętne, nieświadome, lub przekupne ręce. Wybacz, Boże. Zrozum, Boże. To przecież Polska. Wreszcie szkatułeczka dochodzi do rąk lekarza lub lekarki-więźnia. Jest ósma rano, w celach już dawno rozdano kawę. Wypili ją wszyscy więźniowie, pozwolenie Synodu Podziemnego brzmiało wyraźnie. Lekarze wchodzą do celi, jednej, drugiej, trzeciej. Jeśli straż nie widzi, wszyscy klękają. Kolejno w każdy piątek inne ręce przyjmują w celi szkatułkę, pełną Boga.

— Corpus Domini nostri Jesu Christi custodiat animam tuam in vitam aeternam...

— Amen.

ŁAWECZKA W ALEJACH

Pączki kasztanów w Alejach Ujazdowskich są już złote i lepkie. Pachnie młodziutka trawa. Jest niebieskawo, kwietniowo zmierzch, niedługo zapadnie godzina policyjna — ósma — i trzeba będzie wrócić do dusznej oficyny na Marszałkowskiej. Tymczasem — użyjmy spaceru. Ale czy to jest prawdziwy spacer? Aleje, miejsce wiosennych spotkań tyłu pokoleń zakochanych par, już są nie takie, jak za dawnych czasów. Najładniejsza ulica Warszawy nazywa się teraz « Siegesallee », a raczej nie, nazywa się po dawnemu, ale tak głośzą niemieckie tabliczki na wszystkich rogach. Park Łazienkowski zamknięty dla Polaków i obstawiony wartą, Ogród Botaniczny, zamknięty wogóle, Park Ujazdowski przekopany rowami, jaśminy od ulicy wycięte, żeby nikt z gęstwiny nie strzelił do Niemców, jadących Alejami.

Wiosenny wieczór w Alejach. Jak mało młodzieży! Jak mało chłopców! Boją się łapanek. Z kimże mają spacerować dwie mile panienki brunetka i blondynka, Zochna i Zosieńka? Idą same, choć wiosna w pełni. Niemców na ulicy dużo, spacerują pod rękę z niemkami. Czasem, czasem, bardzo rzadko, widać, że żołnierz niemiecki idzie z Poiką. Próbuje wtedy bełkotać: « Ladna! » Próbuje pytać: « Lubisz? » A ona parska śmiechem i tłumaczy mu « Czekolada ».

Za taką parą lecą spojrzenia przechodniów, jak kamienie, wycelowane w czaszkę.

Ławki, na których pełno zwykle emerytów i matek z dziećmi, już opustoszały, bo późno. Warszawskie « późno » nie znaczy, że wieczór, ani że ciemno; znaczy po prostu, że zbliża się godzina policyjna, że tramwaje są natłoczone, i że powrót do domu trzeba obliczać na szybkość własnych nóg.

Zochna i Zosieńka idą spokojnie, zapewne blisko mieszkają. Zatrzymują się pod drzewami, pilnie oglądając pączki wiosenne; czasem podchodzą do słupa latarni, widocznie chcą się oprzeć i chwilę odpocząć. Znowu idą dalej. Czemuś za każdym razem jedna z dziewcząt szybko przesuwą ręką po pniu drzewa, albo po słupie latarni. Potem ręka, schowana do kieszeni płaszczyka — drży. Ale któż to widzi? Nikt.

Na latarniach, na drzewach, od ręki dziewczyny zostaje biały ślad wielkości dłoni: biała kartka z czerwonym napisem. Ale niewinne dziewczęta są już daleko. Jeśli ktoś idzie naprzeciw, świergoczą głośno i wesoło:

— Ależ tak, Zosieńko! Ten nowy sweter będzie śliczny!

— Zazdroszczę Ci, Zochno, bo moja letnia sukienka...

Przechodzień minął. Teraz znowu przez chwilę można nie mówić nic, a wcale, wcale mówić się nie chce.

Jeszcze osiem kartek w kieszeni. Kartki przyniosła dziś rano komendantka i powiedziała: « Tylko dobrze uważać! Wolno zacząć robotę punktualnie o godzinie 7.30. Nastawcie zegarki. Wasz rejon będzie dziś: Aleje Ujazdowskie, od Belwederu, do ulicy Piusa, strona parzysty ».

— Rozkaz.

Po wyjściu komendantki, przyjaciółki starannie obejrzały kartki. Dwadzieścia sztuk, zwykła norma. Na każdej kartce wydrukowane czerwono: « KTO CHODZI Z NIEMCAMI TEN HONOR PLAMI ».

— Też wymyślili! — buntowała się Zochna po cichu.
— Kto chodzi z Niemcami? Jedna na tysiące.

Ale rozkaz to rozkaz. Sprawdziły jeszcze, czy każda kartka dokładnie posmarowana klejem od spodu.

O siódmej wyszły z domu i bacznie obejrzały rejon.

O wpół do ósmej, spojrzawszy na zegarek, zaczęły robotę. W lewej kieszeni czarnowłosej Zochny leżały kartki, porządnie poukładane napisem ku górze. Prawy dolny róg każdej kartki miał małe nacięcie nożyczkami, żeby palce w kieszeni mogły odróżnić go bez pomocy oczu i żeby w pośpiechu nie przykleiły napisu dołem do góry. W prawej kieszeni jasnowłosej Zosieńki leżała drobna, mokra gąbka w blaszanym pudełeczku.

Wiadomo: staje się bliźniutko obok siebie, żeby kieszenie były tuż, jedna przy drugiej. Czarna Zochna lewą ręką wysuwa jedną kartkę, sprawdzając dotykiem, gdzie góra napisu, gdzie dół. Biała Zosieńka prawą ręką otwiera w kieszeni blaszankę, wyjmuje gąbkę i szybko smaruje wodą spód kartki, wysuniętej z kieszeni sąsiadki. Wtedy tamta błyskawicznym ruchem — póki nikt nie patrzy i póki nie zaschnie klej — przylepia kartkę do drzewa.

— Śliczne pączki na kasztanach! — woła głośno.

— Szkoda, że jeszcze jaśmin nie kwitnie! — wtóruje koleżanka.

Obie są już daleko od miejsca zbrodni, chociaż odeszły bardzo spokojnie. Oczyma badają, czy nikt nie widział i czy koło następnego celu nikt nie stoi. Phi! Ten rejon jest najłatwiejszy. Tyle drzew! Gorzej bywało na Złotej gdzie same domy, a przecież taka kartka przyklepiona na ścianie, to nazajutrz śmierć dla dozorczy, a może i dla lokatorów. Tak, na Złotej wolno było oklejać tylko przystanki tramwajowe, albo słupy latorń, bo to zawsze tereny neutralne. Za to w Alejach — używanie. Przy tym wesoło — wiosna!

— Wiesz, może to przyjemniejsze, niż flirt? — szepcze Zochna do Zosieńki.

— O tak, Aleje są teraz ładniejsze, niż przed wojną — odszeptuje Zochnie Zosieńka.

Zacząły od Belwederu, pracowały piętnaście minut, dotychczas bez wypadku. Już prawie róg ulicy Piusa, trzeba będzie kończyć, bo dalej cudzy rejon, a tu jeszcze osiem kartek w kieszeni.

— Przeliczyłyśmy się trochę — marszczy brwi Zosieńka.

— Słuchaj — szepcze Zochna — naklejmy resztę na ławki i tak plackami, efektownie. Jak tu jutro zechce usiąść jakaś mała z niemcem, to sobie przeczyta.

— Pycha! — odpowiada koleżanka. — A potem bierzmy nogi za pas, bo już się robi pusto na ulicy.

Nakleily cztery kartki na najbliższej ławce, jedną obok drugiej, żeby jutro dobrze było widać. I już zamierzają iść ku następnej ławce...

Spoza rogu ulicy wychodzi szybko dwóch Niemców, Struchlały. Ale nie, to nie żandarmi, to młodzi żołnierze, żądni wieczornych przygód.

— Freüleinchen! Chodzi tu! Ladna panienka! Ladna dwie! Dam szokolade...

Zosie klapnęły na ławkę. Prędko, mocno, dokładnie, jednoczesnym odruchem. Zakryć naklejone kartki! Czym? No, własnym siedzeniem.

Niemcy usiedli tuż, bardzo skwapliwie.

— Aa, nette Mädeln, dobra panienka, dobra dwie, nie ucieka, nett, nett... Sehr schön.

Co począć? Uciec, odsłaniając na ławce biały papier z czerwonym napisem: «KTO CHODZI Z NIEMCAMI TEN HONOR PLAMI»? Może nie zauważą, a może zauważą? Może nie zrozumieją, a może... zrozumieją? Może już widzieli te same kartki na ulicach, skąd przyszli? Na

dworze jeszcze zupełnie jasno, sąsiednie ławki puste i szare, akurat z tej jednej błysnie napis, a kartki są jeszcze wilgotne... Więc siedzieć? Rozmawiać? Z Niemcami? Niebo runie na głowę. A może ulicą idzie komendantka i sprawdza robotę na rejonie? Wyleje na pysk z organizacji, a potem tłumacz się, człowieku, do sądnego dnia!

Strach i wstręt gęsią skórką obłazi ciało.

— Polizeistunde — tłumaczy Niemcom Zosińska, rozciągając usta w uśmiechu. Ale jednak nie wstaje z ławki.

— O, für uns gibt es ja keine Polizeistunde — uspakają Niemiec. Rozpierają się obaj na ławce, sunąc obcesowo każdy do swojej Zosi. Wesoła czwórka: w środku dziewczęta, po bokach uśmiechnięci Niemcy, pod towarzysztwem — kartki. Naokoło wiosna. Konwersacja na migi, albo łamaną polszczyzną. Nie ulega wątpliwości, że niebo zaraz runie na głowy. Draby biorą się do obejmowania. Wstać! Wstać! Już ani chwili dłużej!

Jak wstać?

Tylko razem z Niemcami.

Jeśli wstaną jednocześnie we czworo, to połowa sytuacji będzie uratowana. Któż bo, wstając z ławki w wiosenny wieczór z dziewczyną pod rękę, obejrzy się na ławkę, z której wstał? Po cóżby miał się oglądać?

Więc Zochna zaciska zęby, nad tymi zwartymi zębami ze stali, pobladłe wargi udają wiosenny uśmiech — wesoło chwyta swego Niemca pod ramię i ciągnąc go zalotnie za sobą, rusza w podskokach ulicą. Jak wesoło!

Zosińska zrozumiała natychmiast. Druga para, czule pod rączkę, znalazła się w mig przy pierwszej. Roześmiana czwórka, zgodnym marszem weszła w ulicę Piusa.

Ileż pogardy padało kamieniami z oczu nielicznych zapóźnionych przechodniów! A ze wszystkich latarń mrugały kartki sąsiedniego rejonu: « KTO CHODZI Z NIEMCAMI TEN HONOR PLAMI ».

Czy niebo wytrzyma do pierwszej pustej bramy i nie spadnie na głowy? Wytrzymało aż do rogu Kruczej. Tam, modląc się rozpaczliwie, dziewczęta, pełne uśmiechów, zdołały zgubić swoich niemców, wytłumaczywszy im z trudem, że niestety właśnie dziś mama czeka, ale jutro napewno przyjdą, tak, napewno jutro, o tej samej porze, na tej samej ławce. Uprzedzą mamę, nie będzie się niepokoić, a czekoladę owszem, bardzo lubią.

Kiedy odczekawszy długą chwilę na obcych schodach, wysunęły się wreszcie z łaskawej bramy i chyłkiem, pod murami, dopadły swego domu na Marszałkowskiej, było już dwie minuty po godzinie policyjnej i zaczynały krążyć patrole. Dozorca, podzwaniając kluczami, odchodził właśnie w głąb podwórza.

Waliły w bramę pięściami, jak do wrót zbawienia. Zawrócił, fuknął, ale wpuścił.

— Wolałabym sto kijów na Pawiaku — jęknęła Zochna, opierając się bez sił o ścianę klatki schodowej.

• — A zmarnowały się cztery kartki — stwierdziła ponuro Zosieńka.

KTÓRA GODZINA?

Jesień 1943. W całej Polsce terror niemiecki doszedł do szczytu. Rewizje na ulicy co krok. Łapanki. Egzekucje.

W Warszawie postanowiono zamach. Kto przeniesie dziesięć granatów z Woli do Śródmieścia? Młoda medyczka. Dobrze. Niesie po raz pierwszy, to lepiej dla granatów, bo szpicle jeszcze nie znają tej dziewczyny. Tylko uważać na Niemców cywilów! Mundurowi w porównaniu z nimi — to miód.

Wyszła na ulicę. Zmrok. Idzie. Paczka ciężka. Nogi się płaczą. Przecież nikt w całym mieście nic innego nie robi, tylko patrzy na tę panienkę w brązowym palcie i brązowym kapelusiku.

Idzie. Każdy napewno wie, co ona niesie.

Zaraz podejdzie ten cywil i powie ostro: « Kennkarte! » Nie, nie podszedł. Zaraz ten drugi rzuci się na paczkę, a potem pokaże znaczek Gestapo w klapie. Nogi wrastają w ziemię. Nie, minął. Idą żandarmi, patrol. Teraz na pewno. Nie, przeszli. Już Marszałkowska. Tam ktoś stoi w oknie i patrzy. Patrzy! Zaraz wybiegnie na ulicę. Jakie ciężkie nogi, jaka ciężka paczka, jaki ciężki los.

Aleje Jerozolimskie. Dziewczyna idzie.

Tak! A teraz naprawdę. Cywil tuż za nią, krok w krok.

Więc stało się jednak. A było już tak blisko celu. Wszystko przepadło. Cywil idzie uparcie krok w krok, krok w krok.

Dziewczyna cichutko: «Pod Twoją Obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko...».

Krok w krok. Dziewczyna ściska paczkę, mówi modlitwę i nie pamięta zupełnie, że właśnie ma lekkie, sportowe nóżki i puszyste loki, a w Warszawie, jak dawniej, zdarzają się łakomi lowelasi.

Róg Brackiej i Nowogrodzkiej. Już tylko dwie bramy. Nagle mężczyzna podchodzi z boku.

— Proszę pani... — zaczyna obcesowo.

Nóżki skamieniały.

— ...a która teraz godzina?

— Siódma — mimo woli odpowiedziały wargi.

— Hm... to jeszcze daleko do policyjnej. Wobec tego, możebyśmy sobie razem wstąpili gdzieś na ciasteczko? Zabawimy się godzinkę...

Dziewczyna wybucha śmiechem.

— Dziękuję panu, mama czeka z kartoflanką.

Wchodzi do wiadomej bramy, rzucając podstarzałej gębie lowelasa spojrzenie pełne zachwytu i wdzięczności.

— Tchórz z tej małej — myśli lowelas, odchodząc samotnie — najwyraźniej miała ochotę, bo po cóżby robiła oko? A jednak uciekła. Kobiety boją się żyć.

TRÓJKĄT

Kochały go obie. Którą kochał on, nie wiedział nikt, ani on sam. Zapewne jedną i drugą. Z żadną nie żył, z żadną się nie żenił, z każdą obcował, z obiema nie mógł się rozstać.

Nie był ani uwodzicielem, ani lekkoduchem; był świetnym chirurgiem, poważnym człowiekiem, pracowitym ordynatorem szpitalnego oddziału. Czy któraś z dwóch kobiet była ładna? Raczej nie. Czy któraś była brzydka? O nie, napewno nie. Irma była minioną pięknnością koło czterdziestki, Jadwisia kończyła dwadzieścia cztery lata i tajną medycynę. Talent malarki Irmy pomagał jej podtrzymywać urodę i zarabiać na elegancję, chroniczna nędza studentki Jadwisi trzymała policzki w bladości, sukienki w zaniedbaniu.

Kiedy Irma namalowała portret doktora Bohdana, zrozumiał: ta kobieta go zna, dostrzegła jego duszę, potrafi kochać ciało. Ale kiedy niezwykle zdolne palce asystentki Jadzi służyły chirurgowi podczas operacji, jak jego własny cień, jak jego własna myśl i kiedy wreszcie, po dwóch latach praktyki, same w obecności mistrza wycięły pacjentowi wyrostek robaczkowy w siedem minut — doktor zrozumiał: « To jest żona dla mnie! To jest moja następczyni,

dziedziczka mojej największej miłości: chirurgicznego noża ».

Jednakże nie zdecydował nic. Pozwalał sobie słuchać, jak Irma mówi, że go kocha, ośmielał się patrzeć, jak milczy o tym samym Jadwisia.

Wreszcie kiedyś postanowił zobaczyć je razem. Zaprosił obie do kawiarni. Przyszły. Podały sobie ręce życzliwie, zasiadły przy wspólnym stoliku, rozmawiały inteligentnie o wszystkim i o niczym. Doktor rozmawiał również. Patrzył. Klasyczny czarny kostium Armii odbijał od rudych loków, zielona bluzka podkreślała barwę oczu. Długie, różowe paznokcie ślicznych rąk nerwowo drżały na łyżeczce. Aksamitny kapelusik — jak to się mówi w powieściach « rzucał cię na czoło ». Palto Jadziuni uszyte było w domu z koca w kratkę, białą bluzkę prasowała zapewne po ciemku, gładki ciemny warkocz zanadto obciążał głowę i rozpychał beret, czyściutkie paznokcie obcięte były przy skórze, bo tak wymagano w szpitalu. Jadwisia spokojnie skubała lody. « Będzie jak Bóg da » — myślała zapewne — « ale, niestety, ta pani jest śliczna ».

« Irma! » — zdecydował Bohdan. — « Stanowczo Irma. Jadwisia jest najmiłszy szczeniak, ale tamta jest prawdziwą kobietą ».

Po tygodniu, chirurg zaczął się wahać. Młoda asystentka — dziwna rzecz — umiała wymagać od własnego mistrza. Jej wiara w jego natchniony skalpel sprowadzała coraz znakomitsze wyniki trudnych operacji, jej serce dla chorych zmieniło mimo woli stosunek Bohdana do pacjentów. Dawniej ciało na stole operacyjnym, ciało na łożku szpitalnym, to był tylko przedmiot wspaniałych doświadczeń. Teraz stało się człowiekiem.

« Jadzia! » myślał. — « Tylko Jadzia! Dopiero ona robi ze mnie wielkiego chirurga ».

Więc po raz drugi zaprosił obie kobiety. Tym razem

— na Wisłę, gdzie, pomimo wszelkich trudności okupacyjnych, potrafił dotychczas zachować własną łódź. Powiosłowali w słońce. Irma nieśmiało na sterze, Jadwisia, dziecko wiślane, « na szlaku », doktor « na nosie ». W ten sposób widział je obie: Irmę od przodu, Jadwisię od tyłu. Jadzia w czarnym trykocie, Irma w białej bluzce, granatowej spódniczce i płóciennej marynarskiej czapce. Misternej ondulacji, a może nawet odrobiny farby, nie można wystawiać na wiślany wiatr. Malarka przechodziła tortury: ciągle trzeba uważać na mielizny, ciągle trzeba drzeć o białą skórę, w tym blasku odbitym od wody. Nie odważyła się jednak posmarować nosa kremem. Jadzia rozkwitła. Wspaniałe mięśnie ramion przężyły się nad wiosłami, opalona skóra piła nektar słońca.

Doktor patrzył stropiony. — « Spławić wiosła! » — zakomenderował po godzinie. — « Zastopujemy na wodzie, niech nas zniesie ku miastu, bo już pora wracać ». Irma zaczęła rozpakowywać bułeczki, Jadzia skoczyła w nurt. Po kilku minutach kąpieli, chwyciła się za burtę i weszła na pokład, mokra, prychająca, roześmiana. Stała w łodzi, smuła i prosta, strzepnęła na plecy ogromne włosy i zaczęła je suszyć. Wiedziała, kto jest dzisiaj królową świata. Nagle zaśpiewała pełną piersią, piersią wysoką i młodą, na której lśnił czarny trykot:

« Jechał do Królewca
Młodzieniec z wiciną
Łzami się zalewał
Żegnając dziewczynę... ».

A potem ciszej:

« Kręć się, kręć, wrzecziono,
Wić się tobie, wić...
Ta pamięta lepiej,
Czyja dłuższa nić... ».

Wrócili w milczeniu.

Doktór Bohdan nie zalewał się łzami, ale rzeczywiście, w tydzień później pożegnał dziewczynę. Przyszli bowiem Gestapowcy do szpitalnego pokoika Jadwisi i pokłuli jej łóżko bagnetami, sprawdzając, czy nie ukryła się w sieniaku. Nie, nie ukryła się nigdzie, po prostu tej nocy spała u matki na Żoliborzu. Co prawda to prawda, miała na sumieniu niejednego wyleczonego dywersanta, niemcy wiedzieli swoje. Więc Jadziunia prysnęła na wieś, do szpitala już nie wróciwszy i tylko przez telefon zdołała szepnąć doktorowi: « Dowidzenia Panu. Do — widzenia ».

Została w Warszawie Irma. Irma wykwintna, dyskretna, pełna uroku. Ale czemuś zdawało się Bohdanowi, że zdradzałby daleką Jadzię, smutnie schronioną w jakimś dworku, więc nieczęsto i lakonicznie widywał Tę Drugą. A może to była Pierwsza? Praca w szpitalu szła mu niesporo; nowa asystentka ruszała się po sali operacyjnej, jak « pijane dziecko we mgle », pacjenci znowu zmienili się w preparaty.

Zdarzyło się, że siostra Irmy zachorowała w Krakowie, malarka pojechała ją pielęgnować. Doktor został sam w stolicy.

Samotnego też zaskoczyła go godzina piąta po południu, dnia 1-go sierpnia 1944. Na swój przydział lekarski zgłosił się jednak Bohdan w porę, o godzinie 3.30, jak rozkazano zawczasu. Przez sześć długich tygodni powstania, cały szpital żył pracą i siłą doktora Bohdana. Operacje i opatrunki, przy świeczce, bez wody, trwały dni i noce. Czasem doktor Bohdan wybiegał na parę godzin ze szpitala, żeby oprzytomnieć i przespać się trochę w natłoczonej piwnicy swego domu, z którego zresztą nic już, prócz tej piwnicy, nie zostało.

Ktoregoś ranka, wracał do szpitala, klucząc od bramy do bramy, bo pociski rozrywały się wzdłuż ulicy. Już był

blisko, już ktoś z personelu stanął w szpitalnych drzwiach i krzyknął: « Chwała Bogu, że pan już jest, doktorze! Przywieźli tylu rannych ».

— Już jestem! — odkrzyknął doktor, wbiegając na próg.

Padł na tym progu, trafiony odłamkiem w skroń.

* * *

Wśród pierwszych ludzi, którzy dotarli do gruzów Warszawy, wczesną wiosną 1945-go roku, do Warszawy zajętej już przez Rosjan — szła Jadzia. Dwukrotnie podczas powstania próbowała była przedrzeć się do walczącego miasta. Niesposób! Wiedziała, że Bohdan pracuje, że pracuje bez niej. Od połowy września zaniechała prób. Instynktem czuła, że wtedy zginął.

Nie patrząc na ruiny znajomych ulic, prosto ku zgłiszczom szpitala, szła Jadzia, cień Jadzi sprzed pół roku. Już jej powiedzieli po drodze znajomi: doktor Bohdan zakopany pod płytą chodnika, tuż koło miejsca, gdzie były drzwi wejściowe. Już jest ta płyta. Na niej wydrapany krzyżyk i ledwie widoczne « Dr », a dalej zamazane « B ».

Rękami, palcami, paznokciami odwaliła płytę. Poznała tkaninę ubrania. To Bohdan.

W piwnicy ruin szpitalnych gnieździł się już dawny dozorca. We dwoje zbili pudło z desek rozwalonego parkanu, razem pchając jakieś taczki, zaciągnęli na daleki cmentarz to pudło, pełne Bohdana. Razem kopali. Razem zakopali.

Potem Jadzia sprzedała komuś na ulicy swoje wieczne pióro za pięćset złotych, kupiła od kogoś drugiego, na tejże ulicy, za te same pięćset złotych, litr wódki, tę wódkę wsunęła w rękę bolszewika, który prowadził ciężarówkę

do Krakowa — i pojechała. W Krakowie odnalazła Irmę; Bohdan kiedyś wspomniał ten adres.

— Chcę Pani powiedzieć, gdzie jest grób i jak pochowałam — rzekła Jadzia do Irmy.

W pół roku później, Irma odwiedziła Jadzię w szpitalu na Pradze, schyloną nad łóżkiem jakiejś chorej.

— Chcę Pani powiedzieć, że sprzedałam pierścionek i będę stawiała pomnik na grobie. — rzekła Irma do Jadzi. Postawię taki, jaki *Pani* zechce.

KANAŁY

Od kilku tygodni męczymy się z koleżanką nad igłą, a raczej nad wypożyczoną maszyną do szycia, w tym miasteczku podgórskim, w którym po powstaniu wyrzucił nas transport niemiecki, wraz z tysiącami innych, półżywych warszawiaków.

Praca krawiecka od świtu do nocy, a nieraz i po drugi świt. Pomimo to, głodno i chłodno. Żadna chyba z krawców w miasteczku nie szyje tak sensacyjnych materiałów: koce niemieckie na palta, albo spadochrony angielskie na bieliznę. Jedno i drugie przynoszą Polki. Nas się nie boją. Przewąchały już, że jesteśmy «swoje».

Któregoś dnia pukanie do drzwi. Wchodzi jakaż starszka, półślepa, o lasce.

— Kochanie — zwraca się do mnie. — Przyniosłam ci szycie. — (Ja jej nie znam. Kto to może być?).

— Przecież to ja, Marta z Mokotowa.

Na litość boską, Marta. Wdowa po lekarzu, zamordowanym w Katyniu, kierowniczką kuchni powstańczej. Zdrowa była, mocna, odważna, niestara. Tak jeszcze niedawno: we wrześniu. A teraz koniec października. Rozdzielił nas na Mokotowie atak niemiecki. To wystarczy, żeby się nigdy nie spotkać, albo wcale nie poznać.

— Marta. Opowiadaj, — wykrztusiłam tylko, podając krzesło.

— Wycofaliśmy się, widzisz, przez kanały, do Śródmieścia. Dlatego tak wyglądam. Ledwie powoli odzyskuję wzrok.

— Kiedyście zdążyli wejść? Którym włazem wchodziliście? Kto szedł?

— We środę rano, 7-go. Pozostało nam już tylko podwórko na rogu Wiktorskiej i Bałuckiego, tam był właz. Weszli wszyscy chłopcy z naszej kompanii, którzy jeszcze żyli i trochę kobiet. Już zabrakło amunicji. Tylko nasza osłona waliła granatami z okien na ulicę, a Niemcy też granatami, już w naszą bramę. Ścisk był, mówię ci. A tu trzeba wchodzić powolutku, pojedynczo, bo jakże? Wreszcie zamknęła się czełusć i dalej już nie wiem, co było na naszych ulicach.

— Za to ja wiem... — szepnęłam do siebie.

— Na Śródmieściu podobno jeszcze bronili się nasi, więc tam mieliśmy zamiar dojść. Było nas kilkadziesiąt osób. Tak, na ulicach skończyła się amunicja, ale w kanałach skończyli się ludzie.

— Bo co?

— Bo kanały. Ci sami chłopcy, którzy bohatercko czekali w kolejce przy włazie, nagle zdziczeeli. Nasi chłopcy! W kanałach, widzisz, nikt nie jest człowiekiem. Są nadludzie, zbiry i ofiary. Wszyscy obłąkani. Nadludzie ratują tylko innych, zbiry tylko siebie, za wszelką cenę, a ofiary...

— Są kłopotem czyjgoś miłosierdzia, albo łupem czyjgoś okrucieństwa — wtrąca moja koleżanka, zatrzymawszy maszynę.

— Właśnie. Ja byłam, wstyd powiedzieć, ofiarą.

— Jak długo szliście?

— Podobno 14 godzin.

— No tak... pięć kilometrów do rogu Wilczej i Alei Ujazdowskich.

— Co chwila ktoś syczy: «ciszej!» Co chwila: «nie palić latarki, psiakrew!» Albo nagle: «Niemcy nad włazem!» Wtedy przylegamy w brudzie i godzinami leżymy bez ruchu. Ubranie rozmięka i odpada. Wreszcie zablądziliśmy. Nie miałam już sił. Ktoś mnie prowadził, ale kiedy traciłam wreszcie przytomność, czułam, że ktoś drugi ściąga mi buty z nóg.

— Nadludzie i zbiry.

— Nie wiem gdzie jestem, nie wiem ile czasu minęło. Budzę się. Na jakim świecie? Nie widzę nic. Ale czuję, że ktoś wlewa mi w usta gorącą kawę, trzyma mnie i cuci. Wreszcie słyszę dziewczęcy głos: «Pani mnie nie poznaje?» «Ja nic nie widzę» — odpowiadam. Milczenie. A potem: «To ja, Janka, dla której pani wystarała się kiedyś o stypendium w gimnazjum imienia Słowackiego. Teraz Pani poznaje?» «Janeczka! Skąd ty tutaj?» «To mój posterunek, co dzień tu jestem, czekam na ludzi z Mokotowa, bo wy zawsze skręcacie w prawo, a właśnie trzeba w lewo. Tam niemcy, a tu prosta droga do naszych».

— «Chyba nowa droga?» — pytam Janki.

— «Tak, — powiada krótko — to *moja* droga. Ale już chodźmy».

Janka nas prowadziła i wyprowadziła wszystkich. Wyszliśmy żywi, ale ślepi. W Śródmieściu otoczyli nas ludzie i ślepych, dokądś zabrali. Spałam kilka dni, ocknąłam się już po kapitulacji. Nade mną stała moja córka, widziałam ją jak przez mgłę.

— Skąd się wzięła? Przecież była na Starym Mieście?
— pytam.

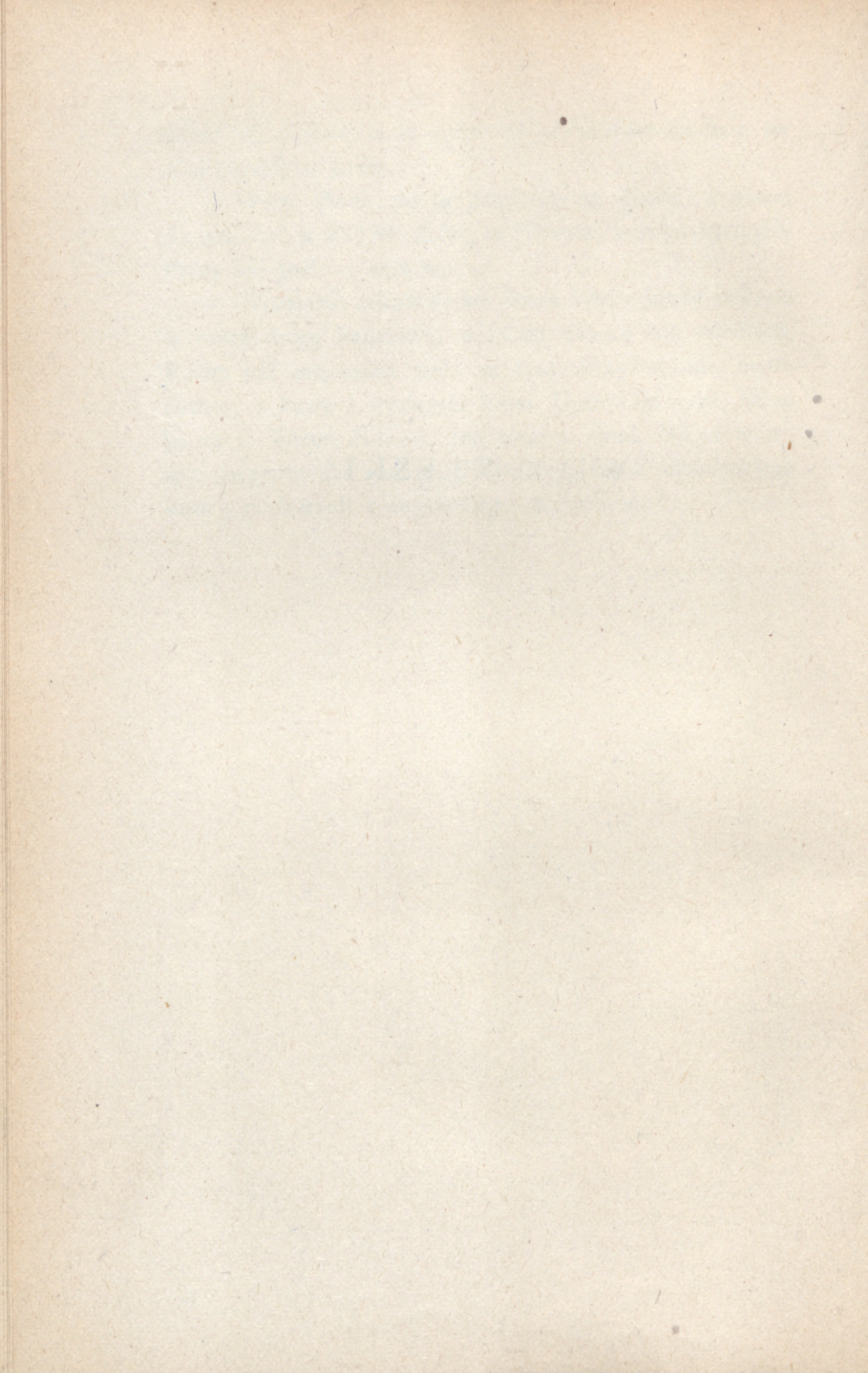
— Przeszła też kanałami na Śródmieście, zaraz po upadku Starego Miasta. Pracowała z Janką i od niej dowie-

działa się o mnie, a ja znów od córki dowiedziałam się całej prawdy o Jance.

— Wiesz Marta, że ja pamiętam tę Jankę, a nawet jej ojca: był w P.O.W. K.N.3 w Kijowie, w roku 1918-ym. Fajny był gość — wtrącam.

— Widocznie odezwała się dobra krew. Janka odkryła tę nową drogę kanałową, o której Niemcy nie wiedzieli. Potem już codziennie stała na tym skrzyżowaniu, miała termosy z kawą i wyciągała ludzi. Uratowała setki. Dano jej za to Virtuti Militari. Jest tutaj z nami. No, a teraz, czy uszyjecie dla nas trzech jedno palto z niemieckiego koca i po koszuli z angielskiego spadochronu?

WIEK KŁĘSKI



TAJEMNICA WARSZAWY

Warszawski grudzień 39-go tonął w głębokich śniegach, zastygał w syberyjskim mrozie. Białymi wawozami ulic suną ręczne wózki z gratami, z drzewem, z kapustą. Tranwajów jeszcze nie ma. Ludzie chodzą tylko po jezdni. Jeśli ktoś niesie worek węgla, oglądają się za nim wszyscy. Węgiel na wagę złota, a złota nie ma. Opatrzeć okna! Ale w oknach dykta. Zapalić w piecu choćby porąbanym biurkiem, ale piece nie palą, zepsute od wstrząsów. W pokojach widać oddech. Szczęśliwi posiadacze futer, nie zdejmują ich całą dobę. Helena jest takim szczęśliwcem: ma kozuch i zakopiańskie kapce, dostała w prezencie żelazny piecyk i — co więcej — za ostatni i jedyny pamiątkowy pierścionek kupiła dziś właśnie pięćdziesiąt kilo węgla.

Teraz używa. Ściągnąwszy kozuch paskiem, przyklekła w kącie ciemnego pokoju, rozjaśnionego jedną świeczką i po raz pierwszy tej zimy rozpala wymarzony piecyk. Piecyk — wiadomo — buntuje się. Kopci, prycha, gaśnie. Helena skostniałymi rękami rozrąbuje tasakiem stolnicę i coraz to dokłada szczap. Ręce ma czarno-czerwone, twarz umazaną kopciem.

I wtedy właśnie, właśnie wtedy, na progu pokoju stanęła — zastukawszy uprzednio — Królowna z Bajki. He-

lena porwała się od piecyka, chwyciła świecę i podeszła do zjawiska, oczom nie wierząc. W blasku świecy obejrzała wysoką postać w puchu czarnego futra, prześliczną różową twarz w kapturze z tej samej czarności i lśnienia, a spod kaptura fałę złotych loków, świetlistych w migocie świecy, niczym u choinkowych aniołów.

— Pani Lila, — szepnęła. — Skąd?

— Prosto z Włoch, kochana! — zawołał anioł, padając w zasmolone objęcia i wypuszczając z czerwonych ust biały obłok pary.

— Jezus Maria, — mogła tylko odpowiedzieć Helena.

— Jezus Maria, — pomyślała zapewne pani Lila, rozglądając się po ciemnej norze. Ale nie powiedziała nic. Serdecznym ruchem pociągnęła Helenę na kanapkę i szukała właściwych słów. Ostatnim razem widziały się nie tak dawno, po prostu w czerwcu przed wojną. Do wykwintnego mieszkania Lili, przyszła wtedy elegancka Helena, przynosząc bukiet róż, własnoręcznie wyhodowanych w ogródku przy swojej willi. Wtedy właśnie, w czerwcu, piękna warszawianka Lila wyszła zamąż za pięknego Włocha, dyplomatę i owe róże miały być czymś w rodzaju przyjaznego uśmiechu, rzuconego ku temu faktowi przez jedną światową kobietę — drugiej.

— Kiedy pani wyjechała z Warszawy? — zagadnęła Helena, rozgrzewając ręce w rękawach kożucha. (Piecyk zgasł ostatecznie).

— W początkach września, z korpusem dyplomatycznym. Boże, co wyście tu przeżyli!

— A teraz? Jakim sposobem udało się pani tu wrócić? I po co?

— Przyjechałam na tydzień, żeby zlikwidować mieszkanie, które cudem ocalało. Jako żona Włocha nie miałam najmniejszych trudności.

Pani Lila rozgląda się po pokoju, i mimo woli ściąga

z różowych rąk białe puchowe rękawiczki. Nagle, wybucha płaczem. We łzach mówi:

— Walizki niósł mi z dworca chłopaczek w czapce szkoły Batorego, tę samą szkołę kończył mój brat, ten co jest teraz w Ameryce. Boże, jak pomyślę, że mój brat mógłby tak samo nosić walizki... okropność!

— O! Czemu? To jeden z najlepszych zarobków — przerwała Helena.

— A dlaczego właściwie pani nie wyjechała, Heleno?

— A dlaczego miałabym wyjeżdżać? Czy jestem żołnierzem, który będzie się bił we Francji? Czy jestem osobistością polityczną? Czy jestem Żydówką? Nie. Więc j'y suis, j'y reste. Na własnych śmieciach.

— Przecież w Warszawie teraz wytrzymać nie można!

— Dopiero teraz można w Warszawie wytrzymać.

— Nie rozumiem. Z czegoż pani żyje, na litość boską?

— Tak jak wszyscy. Z przyzwyczajenia, albo z ciekawości — zaśmiała się Helena.

— Uszy więdną. Cóż tu wogóle macie?

— Czego mu tu nie mamy! Ale, ale, może pani zapali? Tytoń co prawda nie przedni turecki, lecz tylni koński, ale da się ćmić.

— Sprobuję — uśmiechnęła się Lila. Dwa niebieskie dymki zaśmierdziały w blasku świecy.

— Przepraszam, że nie częstuję herbatą — ciągnęła swobodnie Helena — ale nie mam na czym zagrzać wody, pominąwszy już to, że nie mam herbaty. W kuchni palinny dopiero po godzinie policyjnej, dla wszystkich lokatorów razem, a elektryczności ani gazu nie ma.

— Wiem, wiem, to samo jest w moim mieszkaniu, ale ja przezornie przywoziłam sobie z Włoch maszynkę i spiryтус. Zaiste, cudowna Warszawa. Jak ja ten tydzień wytrzymam?!

— Zaiste, cudowna Warszawa — powtórzyła Helena.

Nie mamy niczego co wy macie, ale ze to mamy to, czego nie macie wy.

— No?

— Mamy ludzi, o jakich nie śniło się Europie. Ale za długo by o tym gadać.

Lila paliła w milczeniu.

— A... a co pani robi cały dzień, prócz gospodarstwa?
— zapytała cicho.

— Między innymi, zarabiam cerowaniem. Ludziskom się garderoba, pobombardowała, więc mój fach jest w modzie. A poza tym, co robię?... Zmieńmy lepiej temat rozmowy.

— Kochanie! Zupełnie zapomniałam! Naturalnie, że zmieńmy temat rozmowy! Jestem całkiem nieprzytomna w tej Warszawie, za dużo wrażeń. Przecież dotychczas nie powiedziałam, po co przyszłam: mam dla pani pieniądze i mam do pani prośbę.

— Pieniądze? To świetnie. Dużo?

— Tysiąc złotych. Niestety, tak mało.

Helena skoczyła na równe nogi.

— Mało? Bajońskie sumy! To starczy dla pięciu osób na trzy tygodnie!

— Dla jakich pięciu osób? Zdawało mi się, że pani jest sama?

— W Warszawie nikt nie jest sam. Cudownie! Tysiąc złotych!

Lila otworzyła podróżną torebkę i z grubej paczki polskich banknotów podała Helenie dwa po pięćset.

— Ucałowałabym panią, gdybym nie była usmolona. Bardzo, bardzo dziękuję. Ale pani wspomniała o jakiejś prośbie: byłabym szczęśliwa, gdybym mogła pani w czymś pomóc...

— Może pani. Ale, pani Helu, pani nawet nie zapytała, od kogo te pieniądze? To zabawne.

— A cóż mnie to obchodzi, *od kogo?* Ważne, *dla kogo*, a to wiem sama. Wiem też, że skoro pani daje, to nie od Niemców.

— O nie, nie od Niemców. Widzi pani, to są wszystko polskie banknoty, tu w torebce; wywieziono je z kraju we wrześniu, ale zagranicą nie mają wartości, więc proszono mnie, żebym choć drobną część tych pieniędzy przewiozła z powrotem do Warszawy. Przywiozłam sto tysięcy, mam rozdać dwudziestu osobom, których adresy dostałam w skrótach. Te osoby rozdadzą dalej. Pięć tysięcy pozwolono mi rozdać według własnej woli, między innymi wybrałam panią. Proszę o kwit, tylko inicjały.

— Dziękuję! Już piszę.

— Ale teraz, niech pani słucha: w wagonie dowiedziałam się przypadkiem (rozumie pani, że nie z Polakami jechałam), że za kilka dni Niemcy zmienią walutę, wtedy tymi banknotami będziecie mogli poutykać okna. Więc chcę panią prosić o pomoc w rozniesieniu tych pieniędzy jak najprędzej, dziś i jutro, żeby ludzie zdążyli je wydać. Trzeba też wszystkich uprzedzić. Zrobi to pani?

— Już idę. Więc Niemcy mają zmienić walutę? To katastrofa!

— Jedna z wielu. Rozniesie pani pięćdziesiąt tysięcy?

— Dobrze. Kwity lub resztę oddam pojutrze wieczorem. Gdzie pani mieszka? U siebie?

— Tak. To już chodźmy. Wezmę dorożkę, bo chcę być sama w dziesięciu domach. Niech pani też koniecznie weźmie dryndę.

— Dorożkę? Jakby mi kto powiedział, że mam sięść na wielbłąda. Od czegoż są nogi? Proszę o adresy.

Helena umyła twarz i ręce w małej miedniczce na szafą, po czym obie kobiety wyszły z domu. Na klatce schodowej pełgały karbidówki. Na podeście drugiego piętra kulita się postać jakiejś starszej pani. Mijając ją, dosłyszały słowa

niewprawnej żebraniny. Lila przystanęła, podeszła do karbidówki, starannie wybrała banknot w portmonetce i nieśmiało podała żebrzącej dwadzieścia złotych. Staruszka krzyknęła głośno. Bóg postawił na jej drodze swego anioła! Tu oto, na te brudne schody, raczył zesłać go z nieba. Stoi złotowłosy, w puszycy czerni i kwiatem dłoni sypie niepojęte łaski.

Lila była już na ulicy i nerwowo ścisnęła łokieć Heleny. obciągnięty kożuchem.

— Nie mogę na to patrzeć! — szeptała. — Przecież to nie była zwykła żebraczka, to mogła być równie dobrze moja matka..

— Mogła — ucięła sucho Helena.

Na trzeci dzień, Helena zjawiła się w mieszkaniu Lili. Drzwi otworzyła służąca. Zimno tu było, jak wszędzie, bo centralne nie działało, ale podłogi lśniły, meble wyglądały elegancko, a na stole błyszczał złotem koszyczek włoskich pomarańcz. Lila była w dwóch ciemnych swetrach, loki zniknęły, wylizane gładziutko, twarz bez kosmetyków wyglądała mizernie.

— Przyniosłam kwity na trzydzieści tysięcy, zwracam dwadzieścia — powiedziała Helena. — Reszta adresatów nie żyje, lub zaginęła. A już podziękowań tobym na ciężarówce nie zmieściła.

— Ach, Heleno, mówmy sobie ty! — zawołała Lila. — Jestem dziś zupełnie rozbita, posiedź ze mną, muszę z tobą pogadać, nie wiem co się ze mną dzieje!

— Ale ja wiem. Byłaś w dziesięciu domach?

— Byłam, z tego cztery mieszkania w gruzach, ludzi nie ma. Ale ci, których odnalazłam, Boże, jacyż to ludzie, jacy ludzie! Od razu każdy projektował z kim się podzieli. Oni żyją ze sobą jak klan, jak zakon, ale każdy kto nie przeżył z nimi wrześnie jest obcy. A ja, cóż ja..

— Liliuś! Ty zjawiłaś się jak anioł, zrobiłaś dużo dobrego..

— Ale! Tylko w pierwszym domu «zjawiłam się jak anioł». Już w drugim było mi wstyd. Najpierw bałam się, że jestem niedelikatna, przez to, że wogóle jestem, że inaczej wyglądam, przez to, że może wzbudzę zazdrość. Tymczasem nikt mi nie zazdrościł, każdy jakby współczuł, czy próbował rozgrzeszyć, chociaż byli tacy serdeczni, tacy wdzięczni...

— Ja już rozgrzeszyłam. Nie powinnaś mieć kompleksu «niedocierpienia». Jesteś żoną cudzoziemca, musiałaś wyjechać z mężem.

— Na to wygląda, że to oni są szczęśliwi, a nie ja!

— Bo są. Nie wszyscy jeszcze sami o tym wiedzą, ale zrozumieją później, z czasem.

— Nie masz pojęcia, jacy byli serdeczni, ale czułam, że jestem obca, a przecież ja się tu urodziłam, zawsze tu mieszkałam, Warszawa jest moja... Dlaczego oni mnie uważają za obcą?

— Nie uważają cię za obcą. Uważają cię za dobre dziecko, które nic nie wie o życiu.

Helena długo gładziła złotą głowę, jak matka, chociaż dzieliło je tak niewiele lat — i jeden Wielki Miesiąc.

Na drugi dzień wieczorem znowu przybiegła Lila.

— Czy można? Tak mi się ciebie zachciało!

— Chodź, naturalnie, siadaj przy piecyku, gorący. Ugotuję ci zacierkę ze słoniną. Patrz, jaka jestem królowa od czasu twego przyjazdu. Palę nawet dwie świeczki, bo mam pilne cerowanie.

— Pilne? Przecież masz pieniądze?

— Ale klient nie ma palta. Patrz, w tym palcie jest sześćdziesiąt małych dziurek, to od odłamków

— Słuchaj! Gotuj, czy ceruj, rób co chcesz, ale gadaj ze mną! Tłumacz mi tę Warszawę, tę nową, waszą, bo

mnie się już w głowie kręci. Czy ty wiesz, co mi dziś zaproponował Kowalski? Żebym pozostałe pieniądze oddała na... wojsko polskie!? Obiecał mi to, uważasz, ułatwić!!

— Csss... po co mówisz przy mnie nazwisko? Ale dobrze ci powiedział, to najlepszy cel.

— To wariactwo! Tu robić wojsko? W Polsce? W Warszawie? Przecież dopiero co przegraliśmy wojnę.

— Właśnie dlatego.

— Odnalazłam wielu starych znajomych, zupełnie ich nie poznaję. Ja myślałam, że w tych warunkach to będą wilcy, a to są po prostu święci albo wariaci, co zresztą na jedno wychodzi.

— Niestety, tak dobrze nie jest. Zdarzają się i wilki. Jeszcze w październiku prawie każdy był wilkiem, bo nie było chleba. Człowiek przestaje być człowiekiem w warunkach zbyt ciężkich. Ale teraz, w warunkach średnich...

— Ty to nazywasz «średnie»!?

— Oczywiście. Chleba jest sporo, można zarobić na trzy talerze zupy dziennie, więc znalazły się siły na powrót do człowieczeństwa. Gdyby czasy były normalne, ludzie walczyliby o lepszy chleb. Ale że jest niewola i terror — walczą o rzeczy ważniejsze. Nie wiem, czy zbudujemy wojsko podziemne, ale wiem, że zbudujemy siebie. Jesteśmy po prostu «skazani na wielkość», jak powiedział Piłsudski. I to właśnie wydaje ci się szaleństwem, albo świętością. A my jesteśmy po prostu prawdziwi.

— Prawdziwi?

— No tak, odpadło wszystko, co nie jest istotne.

— A co jest «istotne»?

— Hm, trudno to wytłumaczyć trzeba pomieszkać w Warszawie, to się wie bez słów. Widzisz, nasze życie

jest jakby odarte z kory, obłupane z łyka, został trzon, rdzeń. Liczą się tylko rzeczy najważniejsze, właśnie istotne, prawdziwe: żywność, miłość, odwaga, praca, śmierć. Reszta jest niepotrzebna. Człowiek, uważasz, nie ma już tutaj ram.

— Ram?

— No tak, żadnych ozdobnych ram: stanowiska, pieniędzy, stroju. Jest, jaki jest, nie może nic udać. Ma, albo nie ma: walor w przyjaźni, urok w miłości, talent pracy, odwagę walki, zdolność do zarobku, do przetrzymania, do uśmiechu na mrozie, do podzielenia się chlebem, czy ja wiem zresztą — tu nikt nie umie ładnie mówić — do tego co jest prawdziwe, po prostu.

— Nie macie ram?... — zamyśliła się Lila. — Ale za to macie kraty, jesteście zduszeni, zamknięci.

— Właśnie dlatego czujemy szeroki świat. Spacer za miasto daje teraz więcej radości, niż dawniej podróż do Szwajcarii. Zresztą, przybyły nam podziemia.

— Och, to jest właśnie najgorsze! Ciągła atmosfera spisku... Polubiliście piwnice...

— Odwrotnie, kto nie żył w piwnicy, nie ma pojęcia czym jest słońce.

— I pracujecie za ciężko! Po roku będziecie dzicy, nie macie nawet czasu czytać...

— Hahaha! Czytamy na pewno więcej, niż ktokolwiek na świecie. Dopiero *my* czytamy naprawdę, jedna stronica dają teraz więcej, niż kiedyś sto. Wypijamy każde słowo, bo mamy ich tak mało. Patrz! Na Wilczej, dokąd mnie wczoraj posłałaś, znalazłam w gruzach strzępy *Pana Tadeusza* i szaleję.

— Czytałam sto razy, jeszcze niedawno przed wojną...

— To nie czytałaś wcale. Czy ty rozumiesz, człowieku, jakim cudem jest heksametr? Posłuchaj »...

W tydzień później, Helena przyszła pożegnać Lilę, która wyjeżdżała nazajutrz. Mieszkanie Lili było pełne ludzi.

— A cóż to za litania do Wszystkich Świętych? — zapytała Helena wesoło.

— To tak, widzisz, każdy ma jakiś interes zagranicę — uśmiechnęła się Lila. — Rada jestem, że mogę im załatwić chociaż to, chociaż tylko tyle. Przeczekaj wszystkich, to sobie potem pogadamy.

Więc Helena siadła i czekała, patrząc na panią tego pełnego domu. Lila stuszowała swoją urodę, strojność i blask, krzątała się wśród tych obdartych, wynędzniałych ludzi, skwapliwie i jakby pokornie. Brała listy do rodzin, zapisywała adresy, zgadzała się przewieźć dokumenty, przechować zagranicą pamiątki, rękopisy. Mięciutko i najczulej była na usługi każdego. Zdawało się, że to ona prosi, a tamci robią jej łaskę, chociaż prosili nieśmiało i dziękowali obficie. Oczy miała pełne miłości. Nie wiedziała tylko, czy wypada częstować pomarańczami, czy lepiej nie. Rozdawała serce, nie ośmieliła się podać pomarańcz.

Niedługo przed godziną policyjną, interesanci odeszli, Helena mogła pozostać już tylko dwie minuty.

— Słuchaj, Liluś, — powiedziała — biorę pomarańczę, bo dziecko mojej sąsiadki ma anginę, a tu, jeśli się czasem trafi jedna pomarańcza u jakiegoś kolejarza, to kosztuje 250 złotych sztuka.

— Ach, Helu! Weź wszystkie!

— Nie wezmę, bo jedna wystarczy.

— Helu! Ponieważ się śpieszysz, to powiem ci w dwóch słowach: oddałam resztę pieniędzy na wojsko. Poznałam «tych ludzi». Uprzedziłam, żeby prędko wy-

dali. Jutro muszę jechać. Taka jestem nieszczęśliwa! Co ja będę robiła zagranicą? Jak ja tam wytrzymam?

— Mąż....

— O, mąż jest uroczy, ale on nic nie zrozumie, on tu teraz nie był.

— Będziesz miała syto, ciepło, czysto, pięknie...

— Nie kpij. Ja chcę was, ja chcę z wami!

ŚMIERC STERNICZKI

Osiem kobiet, które mieszkały u sterniczki Haliny po wrześniu 1939, znalazły sobie wreszcie własny kąt i własny kawałek chleba. Halina pozostała sama, a potem z matką, którą dopiero pod wiosnę sprowadziła od znajomych ze wsi. Matka była poczciwa, ale bardzo stara, ślepawa, głuchawa i niechlujna, więc Halina w wolnych chwilach gawędziła z psem i sprzątała po matce.

Ile razy Emilia, Jasia, lub któraś inna z dawnych wioślarek odwiedzały mieszkanko na Hożej, zastawały Halinę przy noszeniu węgla, rąbaniu drzewa, albo obieraniu jarzyn. Ale na poczęstunek dostawały zawsze świeżutkie komunikaty radiowe i to w dziesiątkach egzemplarzy.

Szczególna przyjaźń zawiązała się czemuś pomiędzy siwą Haliną a młodziutką Elżunią, córką Emilii. Najmłodsza z wioślarek, mistrzyni i uczenica, chodziły razem nad Wisłę i z mostu Poniatowskiego pożerały oczyma kochaną przystań W. K. W., na której teraz roili się opaśli Niemcy. We wrześniu spłonęła szatnia, pływalnia, pomost, magazyn i warsztaty, a przede wszystkim spłonął cały tabor łodzi, rasowych, kosztownych, wypieszczonych i przyjacielskich, kupowanych całymi latami za składki ty-

sięcy członków, nieraz bardzo ubogich, albo za hojne datki pani Doktor Zabawskiej, długoletniej prezeski klubu.

O pani Doktor Elżunia nawet nie ośmielała się wspomnieć w obecności Haliny, wiadomo było bowiem, że za życie Tamtej, poległej 25-go września, Halina oddała własne, tak lekko, jak niepotrzebny kwiat.

Chodziły teraz po moście (zatrzymywać się nie pozwalali żandarmi) i patrząc na lśnienie Wisły, gdzie znały każdy wir, każdy prąd, każdą meliznę i każdą pogodę, przesuwaly wargami niby od niechcienia, litanie najśliczniejszych imion, imion zabitych łodzi.

— « Justarnia » hywała na Bałtyku i na morzu Czarnym...

— « Pewuka » nie ciągnęła gorzej.

— Pamiętasz, Ela, « Bug » i « San »? Co za para! Przed samą wojną kazałam je odmalować.

— Nie było takiej łodzi, jak « Włóczęga » — odezwała się nieostrożnie Elżunia. « Włóczęga » była prywatną łodzią pani Doktor.

— Uhm — przyzwoliła, o dziwo, Halina. — To był ptak! Zosiczka kupiła ją dopiero w 37-mym. Czyste cedrowe klepki, leciutka, a cztery osoby siadały jak w gnieździe.

— Jak ją było na mieliźnie wziąć na linkę, to szła za nogą jak pies. — westchnęła Elżunia.

Halina zapaliła papierosa i ruszyła gwałtownie ku domowi.

— Szkoda gadać, — mruknęła tylko.

Czasem Elżunia przychodziła z własnej woli do ciemnej kuchni na Hożę i pomagała w gospodarstwie. Z taką sławną sterniczką nie żał nawet w piecu palić, zamiast iść na spacer z Oleczkiem. Szafirowe oczy Elżuni patrzyły na czterdziestoletnią przyjaciółkę rozumnie i z taką tkliwością, że aż robiły się całe srebrne. Halina natomiast spoglądała na małą z szacunkiem i z upodobaniem. O czymś

tam sobie w dwie tajemniczo rajcowały, a czasem nawet Halina przesuwała twardą dłoń po mięciutkich brązowych łokach Elżuni, tak właśnie jak stary pies przesuwa jęzorem po aksamitnym łebku swego najpiękniejszego szczeniaka.

Którejś jesieni, Halina zachorowała na gripę. Odwiedziła ją Emilia.

— Dobrze, żeś przyszła, właśnie mi jesteś potrzebna — powiedziała chora, zawsze tonem sterniczki regatowej łodzi. — Idźno zaraz pod ten adres (wymieniła niedaleką ulicę, numer domu i mieszkania) zastukaj w ten sposób, uważaj: dwa krótkie, dwa długie, nie pomył się! Otworzy ci mała dziewczynka z warkoczykami, wtedy powiesz jej tak, dosłownie tak: «niech mamusia sama piecze ciastka, dziś i jutro, bo Zofia jest chora na gripę, przyjdzie dopiero we czwartek. Zrozumiałaś? Zofia. Nie pokręcisz?

— Za kogo mnie masz? — obraziła się Emilia.

W rok po tym, gawędząc z pewnym panem, bliskim znajomym wszystkich wioślarek, o którym chodziły słuchy, że «siedzi w robocie po uszy» — Emilia zaczęła mówić o Halinie.

— Taki człowiek, taki charakter, takie zdolności i co z tego wszystkiego? Miała być lotniczką, miała być konstruktorem lotniczym i wszystko guzik. Gospodaruje w tej ciemnej norze, niańczy matkę i pieści psa. Żal patrzeć, zmarnowała się.

Pan spojrzał Emilii prosto w oczy.

— Teraz już się nie marnuje — odrzekł. — O, teraz się już przestała marnować.

Po czym zmienił temat i zapytał o postępy Elżuni na tajnej medycynie.

Dosłownie na drugi dzień wpadł koło południa do pokoju Emilii.

— Halina popełniła samobójstwo — wyjąkał. — Jeszcze

żyje. Odwieziono ją do szpitala. Zróbcie dyżury, zajmijcie się matką. Ja pomogę co będę mógł. Ale teraz... jest taka sprawa... bardzo się śpieszę...

Na Hożej były już wszystkie zaprzyjaźnione wioślarki. Sąsiadka opowiadała z płaczem:

— Coś podobnego! Raniutko stuka do mnie staruszka, bo to ja mieszkam aby przez schody i powiada, że nie może sama otworzyć drzwi kuchni, a Halina czemuś tam się zamknęła i tak długo śpi. Przychodzę, patrzę, próbuję klamkę — kuchnia zamknięta od środka, a na drzwiach napisane węglem tylko jedno słowo, o, niech panie patrzą: GAZ! Więc ja w strachu! Myślę sobie, lepiej nie ruszać, biegnę do komisariatu granatowych, przychodzi policjant, otwiera. A gaz aż bucha! Panna Halina jeszcze ciepła, policjant zawiózł do Ujazdowskiego...

— Czy w kuchni nie było żadnej karteczki? — wykrztusiła Elżunia.

— Nie, ani słówka do nikogo.

Jasia została ze staruszką, która powtarzała w kółko:

— Jak ona mogła, jak ona mogła, zostawiła mnie samuteńką na świecie...

Rzeczywiście, tego nikt nie mógł pojąć. Taka troskliwa córka!

Kolejne dyżury na Hożej przy matce i w szpitalu przy Halinie trwały dni i noc. Jasia, Emilia, Elżunia, Jadwisia i jeszcze cztery inne.

Doktor powiedział: — Zastrzykujemy metylenblau do żyły, ale odtrucie nie następuje. To był nie tylko gaz, musiała być jeszcze jakaś trucizna. Przekonany się po śmierci.

Znaczy, że już nie ma co.

Chude ciało leżało nieruchomo, białka lśniły spod przymkniętych powiek; cieniuchne, regularne rysy wyglądały jak rzeźba w drzewie.

Nad jesiennymi ogrodami szpitala, nad drewnianymi pa-

wilonami, pełnymi męki, płynął ogromny księżyc, taki sam jak wtedy, we wrześniu, kiedy odkopywano Doktor Zofię spod gruzów szpitala Dzieciątka Jezus.

— Tak, tak, — westchnęła Emilia do Elżuni, gdyż tej nocy dyżurowały razem. — Po śmierci pani Doktor, Halina już nie miała siły żyć.

— Mamo, dlaczego ty nigdy nic nie rozumiesz? — zaszlochała Elżunia. — Przecież pani Halina dopiero niedawno zaczęła żyć, dopiero może od roku... I właśnie dlatego się zabiła, że miała siłę na wszystko, na wszystko...

— Co ty pleciesz? Tak zostawić starą matkę!

— A czy ty wiesz, jak ona ją zostawiła? Czy ty wiesz, że całe mieszkanie pełniuteńkie zapasów? Szafa, spiżarnia, piwnica. Że węgiel przywieziony, drzewo porąbane, bielizna poprana, wełny potrzonepane, powidła usmażone! Nawet pies oddany do znajomych. A dyrektorka szkoły przysłała wczoraj staruszce kilka tysięcy złotych, które pani Halina kazała oddać matce « w ciężkiej chwili ». Co mogła więcej zrobić? Widocznie musiała. Nikt nigdy nie rozumiał pani Haliny!

O, jeśli już nawet Elżunia straciła równowagę, to niewątpliwie należało zamilknąć.

Przez pięć dni i pięć nocy oddech słabł, białka zachodziły mgłą. Nawet przyjaciółki zaczęły już pragnąć tej wreszcie śmierci.

Szóstego dnia, do łóżka Haliny podeszła szarytka i obejrzała paznokcie leżącej. Były sine.

— Już pora przynieść suknię z domu — powiedziała cichutko do Emilii: — Policja przywozła biedaczkę tylko w koszulinie i w kołdrze. Tak, tak, postawimy ciało do kaplicy, pogrzeb będzie chrześcijański, my, szarytki, rozumiemy życie. Nie zawsze samobójstwo jest samobójstwem. A wie pani? Jakiś pan przyniósł do kancelarii pieniądze, żeby trumna była metalowa i dużo kwiatów.

Stara matka chciała koniecznie dać Emilii ciepłe palto dla Haliny. — Przecież ona zmarznie... — dowodziła.

I jak tu starej tłumaczyć!

Emilia porwała z szafy na Hożej najgorszą letnią sukienczynę i wybiegła, nie słuchając perswazji. Jeszcze może matczyisko będzie musiało żyć z wyprzedawania tych sukienek?

Emilia zdążyła. Zwłoki jeszcze nie zeszywniały. Szarytka w milczeniu odebrała suknię i kazała wioślarkom wyjść do ogrodu.

Kiedy wszystkie wróciły z pogrzebu do mieszkanek na Hożą i ułożyły do snu płaczącą staruszkę, dozorca kamienicy dyskretnie wywołał na schody Emilię i Jasię. Tuż za nimi cichutko stanęła Elżunia.

— Gestapo przychodziło po panienkę, — wyszeptał stróż.

— Po jaką panienkę? — przeraziła się Emilia.

— No, po nieboszczkę. Akuratnie godzinę temu. Pytali mnie, czy ona miała Zofia na imię, ale powiedziałem, że nie, że Halina. Nie chcieli wierzyć, że umarła, kazali sobie pokazać książkę meldunkową, a pan rządca właśnie wczoraj wpisał zgon i postawił pieczęć.

— Co jeszcze mówili? — zapytała Jasia.

— Ano nic. Pytali tylko, na jaką chorobę umarła. Powiedziałem, że się sama zabiła. Po co już teraz ukrywać?

— A co oni na to?

— Ten starszy, to się śmiał, jucha. Powiedział tak: «Mądra baba, wiedziała co jej grozi i uciekła nam z rąk. Dobrze zrobiła».

— Nareszcie ktoś zrozumiał Halinę — powiedział cicho głos Elżuni.

KWIATY NA STOLE

Dorota jest służącą. Nie, Dorota nie jest służącą. Jest zaufanym powiernikiem pani, jest nieodzowną sprężyną gospodarstwa. A poza domem, dla siebie, jest żołnierzem A. K. przydzielonym na czas przyszłego powstania do intendenty Mokotowa.

Przed wojną, państwo inżynierostwo urządza przyjęcia, a Dorota, wszystko smakowicie przyrządziwszy lubiła razem z panią nakrywać do stołu i lubowała się dzieciinnie w dobieraniu kwiatów do koloru potraw. Dorota jest młoda, flirciarka i elegantka. Nawet teraz, w czasie wojny, kiedy gotuje tylko kluchy i owe zupsko codzienne, lubi żeby to było ładnie podane, «bo wtedy zupełnie inaczej smakuje». Nawet teraz, chociaż wojna trwa już tyle lat, Dorota musi mieć zgrabną sukienkę i drewniaki na wysokim obcasie.

Pani zaś, nawet teraz... urządza przyjęcia. Powiada na przykład:

— Dorotko złota, jeden pan będzie dziś na kolacji. Trzeba ślicznie ugotować kartofelki.

Na to Dorota patrzy pytająco, podnosi rękę do góry i spuszcza ją w dół.

— Tak, zgadłś — odpowiada pani — spadochroniarz. Przywiózł wiadomości o moim mężu.

Dorotka promienieje. Kochają się z panią inżynierową jak siostry. Może się trochę różnią, ale znów nie tak bardzo. Pani skończyła uniwersytet, Dorota szkołę powszechną. Czy to taka wielka różnica?

Dziwni goście bywają teraz u pani. Dorota wie o wszystkim, natomiast pani nie wie, co Dorota porabia, kiedy ma « wychodne ». Bo Dorota złożyła przysięgę na Krzyż, więc nic nie mówi, chociaż bardzo chciałaby powiedzieć. W czasie powstania będzie kierowniczką kuchni wojskowej i dziś już zbiera zapasy. Ciepłe palto musi poczekać, ale znajomy rzeźnik chowa już dla Doroty beczułkę słoniny. Przyda się to chłopcom, « jak przyjdzie czas ».

Wreszcie któregoś dnia, pani powiada:

— Dorotko! Dziś musimy zrobić prawdziwą kolację, przedwojenną. Przyjdzie dwóch panów.

— Znowu z nieba?

— Nie. Spod ziemi. Najważniejszy Pan Wojskowy i Najważniejszy Pan Cywilny. Muszą się spotkać. Przygotujemy im zimną kolację, i wyjdziemy na całą noc do starszej pani. Chcą być zupełnie sami. Tak kazali.

— Fajno jest! Zrobi się. Nakryjemy do stołu po dawnemu.

— Właśnie! — zapala się pani, — obrusik haftowany, chińskie talerzyki! Damy półmisek szynki, jaja w majonezie, sałatkę jarzynową.

— Hoho!

— Mamy nawet pół butelki przedwojennego wina. Dla takich gości nie szkoda.

— I kwiaty na stół, proszę pani, koniecznie kwiaty.

— Zwariowałaś, Dorota! Nie mam pieniędzy.

— Na kwiaty pani ma. Tacy goście!

Krzętały się obie koło tego stołu, uśmiechnięte, różowe, szczęśliwe. zapomniawszy o piekle, huczącym dokoła.

Terror szalał za szybami. Zasłoniły więc okna i pamięć. Znowu przecież były kobietkami, artystkami przyjęć, czekały gości, tworzyły jakiś urok życia. Jak dawniej, na prawdziwym, miłym świecie.

Stół wyglądał — marzenie.

— Dorota, — nagle zasępiła się pani. — A czy ty rozumiesz, że my obie możemy do tego domu już nigdy nie wrócić?...

— Ech, wstydziłaby się pani martwić o byle co. Jeśli niemcy nakryją w naszym domu Tych Dwóch, to będzie my miały większe zmartwienie, a jeśli nie nakryją, to zmartwienia nie ma wcale. Niech no pani lepiej idzie po kwiaty, bo sklepy zamkną.

Po kwadransie wraca pani, niosąc dwie czerwone róże.

Dorota w lament.

— I co tyż to pani zrobiła najlepszego! Jakże można stawiać na stół czerwone kwiaty, kiedy różowa szynka obok? Cały bal do luftu! Trza było wziąć różowe goździki...

PANI MINISTROWA

Pani ministrowa mieszka w małej chatce pod lasem. Nie trzebą żeby jej mąż zanadto włąził ludziom w oczy. Jest w Polsce ministrem Rządu Londyńskiego, a naokolo niemcy.

Pani ministrowa jest młoda i hoża, ongiś z zamożnej rodziny, teraz sama gotuje, sprząta, pierze, karmi kury i prosiaka. Pan minister rąbie drzewo na opał, ogródek warzywny uprawiają razem.

Dziwna rzecz, jak dużo gotuje ta pani. A przy tym oboje są chudzi. Po co tyle gotować? Poza tym, taki zabawny zwyczaj panuje w tej chacie: pani nie siada z mężem do obiadu, tylko bierze miskę, pełną jedzenia łyżkę i wychodzi do lasu. Po godzinie wraca z pustą miską. Widocznie jadą w lesie. Robi to nawet w zimie. Wariatka?

Ale nie pytam, bo nie wypada. Wreszcie kiedyś, po dłuższej znajomości, ta kobieta o dziwnych zwyczajach kulinarnych, prosi mnie bardzo nieśmiało:

— Czy pani nie mogłaby gdzieś w Warszawie, wy-starać się dla mnie o... spodnie. Przepraszam, ale są mi koniecznie potrzebne. Rozmiar bardzo mały.

— Spodnie? Owszem. Ale dlaczego mały rozmiar? Przecież mąż pani jest niebywale wysoki.

— To nie dla męża. To... dla mego Żydka.

Kobietto! Mało pani jednego niebezpieczeństwa?

— Trudno. Przyszedł do nas półżywy, kiedy Niemcy wykańczali ghetto w miasteczku. On jeden ocalał, zdaje się. Hoduję go już od roku. W lecie było świetnie, ale w zimie, brrr... Co gorsze, z nudów zaczął pisać pamiętnik w którym i nas oboje opisuje szczegółowo. W dodatku zna nasze nazwisko. To już rzeczywiście mi się nie podoba. Teraz mieszka w norze, którą sobie wykopał w ziemi.

— Proszę pani! Spodnie będą. Niechże pani za spodnie wykupi ten pamiętnik. Może warto dawać życie za życie, ale czy warto za memoiry nieznanego autora?

JOANNA I SUŁKOWSKI

Joanna była polonistką. Przed wojną wykładała literaturę w liceach żeńskich.

Kiedy Niemcy zamknęli w Polsce wszystkie szkoły, prócz zawodowych, nauka literatury i historii przeniosła się pod ziemię. Fałszowano dla Niemców rozkłady godzin, zatrzymywano polonistów w szkole pod jakim bądź pozorem i uczono młodzież po dawnemu. Kto nie chodził do szkoły, mógł chodzić na tajne komplety. Nauczycielstwo, zgłodniałe i obdarte, pracowało za dziesięć, biegając z Woli na Mokotów i z Żoliborza na Pragę, po niezliczonych, drobnych kompletach. Zdarzały się wypadki uwięzienia całego kompletu.

Joannę zakamuflowano w dawnej szkole, jako « kierowniczkę stołówki uczniowskiej », czyli po prostu składkowych zupek, wydawanych w południe. Wykładała w trzech klasach, prowadziła sześć kompletów. Tego jej było mało. Weszła do konspiracji i została zastępczynią Mewy, rejonowej sanitarnej zachodniego Mokotowa.

Joanna z Mewą opracowywały rozmieszczenie punktów ratowniczych na czas powstania, konferowały z lekarzami dzielnicy, montowały uliczne patrole kobiece dla noszenia rannych wyżebrywały pieniądze gdzie się dało, zbierały

lekarstwa i bandaże. Prace te zabierały Joannie cały dzień aż do godziny policyjnej i wszystkie niedziele. Młodziutka Mewa, studentka tajnej medycyny, musiała wiele wymagać od siebie i od podwładnych. Joanna nie buntowała się. Jej szare życie starzejącej się panny teraz dopiero nabrało rumieńców.

Jednakże, jeśli się całe ranki tkwi w szkole, całe popołudnia biega po kompletach, a wczesne wieczory oddaje bezpłatnie konspiracji, to zarobek wystarcza zaledwie na marchew z kartoflami. A jeszcze jest matka stara, matka, którą Joanna uwielbia i której chciałaby dać trochę wygód. Można by dorabiać wypiekami ciastek, ale wtedy trzeba rzucić ze dwa komplety. Nie, nie można, zdecydowała Joanna. Nareszcie dziewczęta nie mówią na *Pana Tadeusza* « nudna piła », jak mawiały przed wojną, siadając do nakazanej lektury. Dziś jest zakazana i ta jedna litera zmieniła pogląd.

Na biedę poradziła matka: zajęła się trykotarstwem. Joanna była szczęśliwa, nareszcie jakiś legalny zarobek i nareszcie matka będzie miała masło. Wszystkie swoje nielegalności Joanna starannie kryła przed staruszką.

Mieszkały na ulicy Kieleckiej, w jednym pokoiku, wynajętym w mieszkaniu obcej, cichutkiej babiny. Legalność tego lokalu nie ulegała wątpliwości. Przed zamieszkaniem, Joanna spenetrowała dokładnie, że w cichych pokojkach nie dzieje się nic, poza sprzątaniem. Prócz masła, matka powinna mieć spokój — brzmiała zasada prywatnego życia Joanny. Z tego powodu było z nią nawet trochę kłopotu w Konspiracji. Joanna chętnie narażała się na wszelkie niebezpieczeństwa, ale tylko poza domem. Dom był tabu. Nigdy nie chciała zrobić u siebie kursów sanitarnych, ani nawet własnego kompletu literatury. Nigdy nie wzięła na przechowanie ewidencji patroli, ani planu dzielnicy z wy-

znaczonymi na przyszłość punktami «Rat-San.». Nie chciała nawet trzymać większej ilości lekarstw.

— Zaaresztują mnie za spekulację i co wtedy matka zrobi? — mawiała naiwnie, narażając się całymi dniami na aresztowanie.

Nawet gazetki nie brała do domu. Woląla przeczytać na mieście i opowiedzieć matce «swoimi słowami».

— Joanno — prosiła kiedyś Mewa — weź z tysiąc bandaży do domu; ja przechowuję tyle rzeczy, ty nie.

— Mewuś — broniła się Joanna — na mieście zrobię wszystko, co chcesz, możesz mnie wziąć nawet do sanitariatu dywersji, ale dom chcę mieć czysty. Jak ja wytłumaczę tysiąc bandaży w razie rewizji? Matka musi mieć spokój, a ja po dwunastu godzinach nielegalisztczyzny dzień, chcę mieć spokojną noc. Chcę spać jak Volksdeutsch.

Mewa nie nastawała; Joanna jest skarbem i zresztą nie wolno w Konspiracji żądać tego, czego człowiek sam nie chce dać, nie ma siły dać.

Zagadnęła tylko: — A czy jesteś pewna, że wszyscy w całym mieszkaniu są czyści?

— Najpewniejsza. Gospodyni ma osiemdziesiątkę, jej brat coś koło tego, a salonu nie wynajmują bo piec zepsuty. Czy ty wiesz, że ja nawet nie pozwoliłam matce robić nowych swetrów, bo szmuglowana wełna mogłaby wywołać rewizję.

— Więc twoja matka nie robi swetrów? To jakże ty wiążesz koniec z końcem, apostołko Mickiewicza? Lekcjami nie wyrobisz więcej niż osiemset, a we dwie musicie wydać miesięcznie ze trzy tysiące, żeby nie głodować?

— Matka pruje i przerabia swetry stare, bo to bezpiecznie, i zarobiła już w tym miesiącu na ćwierć kilo masła tygodniowo.

— Oho! — ucieszyła się Mewa. — Brawo starsza pani. Tak więc Joanna wieczorami odpoczywała spokojnie.

Matka ścibała wełnę przy lampie, córka tonęła w czytaniu. Ocaliła jeszcze trochę książek i wyczytywała je tam i z powrotem. Istniała jedna książka na świecie, do której Joanna musiała zajrzeć co wieczór, choć na chwilę: « Sułkowski ». Czarowny rapsod Żeromskiego leżał zawsze na nocnym stoliku, w pierwszym ozdobnym wydaniu, a portret rycerskiego księcia, wycięty z tejże książki, stał w ramce pod lustrem nierzadko ozdobiony pęczkiem fiołków, lub gałązką bzu. Legendarny rywal Napoleona, zwycięzca znad Zelwy, zamordowany przed półtora wiekiem w ciasnych uliczkach Kairu, był jedynym mężczyzną w życiu Joanny. Nie, nie całowała portretu, jak Eunice posąg Petroniusza, ale była w nim niewątpliwie zakochana. Zresztą, do romantycznych wspomnień o księciu pociągały Joannę nie tylko zamiłowania literackie, lub sentyment patriotyczny. Wierzyła, że łączy ją z nim pokrewieństwo. A raczej legenda o pokrewieństwie. Nazwisko Joanny brzmiało inaczej, choć również niepospolicie, ale pradziad ze strony matki nazywał się istotnie Sułkowski. Ani Joanna, ani nawet jej matka nie widziały nigdy tego pradziada i nie były pewne jego przedwiecznych koligacji, istniał jednakże autentyczny dokument owego pradziada, jakiś staroświecki wyciąg hipoteczny, stwierdzający własność dóbr ziemskich na Litwie. Dobra, jak to dobra, dawno rozwiały się w nicość, natomiast pozostał dokument. Przechowywała go Joanna jak skarb, w szufladzie biureczka, on to bowiem stwierdzał dla niej niezbicie, że jakaś kropla krwi cudnego Kawalera płynie w jej żyłach. Kiedy więc już zanadto dokuczyła nędza, kiedy zszarpały się nerwy pracą nad siłą, a rozpacz niemieckiego terroru dławiała serce, Joanna, jak każdy wtedy w Warszawie — uciekała od rzeczywistości. Odczytywała parę stronic rapsodu, piła oczyma piękność portretu, stojącego pod lustrem i podpisanego « Józef Sułkowski », wreszcie dotykała tkliwymi placami talizma-

nu, schowanego w szufladce: dokumentu pradziada, Stanisława Sułkowskiego.

— Z nich jestem, nie dam się — myślała wtedy.

Na wiosnę do saloniku wprowadził się jakiś pan. Zepsucie pieca nie było już ważne w kwietniu, a stara gospodyni potrzebowała pieniędzy. Joanna była zła. Och, jakże nie lubiła nieznajomych w mieszkaniu! Od pierwszego maja zmieni pokój. Ale za kwiecień już zapłacone, przepadło. Możeby jednak delikatnie wybadać stróża, kto zacz ten nowy lokator pani Kwiatkowskiej? Zaprzyjaźniony dozorca, którego córka chodziła na komplet Joanny, uspokoił ją zupełnie.. Nowy lokator z trzeciego piętra zameldował się jak najprawidłowiej, pracuje na kolei, panienska może być zupełnie spokojna.

Więc była spokojna. Z nowym sąsiadem nie zapoznała się jeszcze, kiedyś tylko ukłonił jej się na korytarzu. Nikogo nie przyjmował, znikał na cały dzień, wieczorami siedział w swoim pokoju samotnie i cichutko.

Którejś kwietniowej nocy, blisko świtu, frontowe drzwi padły pod uderzeniami niemieckich kolb. Joanna z matką, zasnąwszy z wieczora głębokim snem, zbudziły się na straszliwy łomot. Przerażone, usiadły w łózkach, ściągając kołdry pod brodę i nie śmiejąc zapalić świeczki.

Wszystko trwało parę sekund. Gestapowcy wpadli do pokoju lokatora, skulone za ścianą kobiety posłyszały krótkie szamotanie, potem plusk bosych nóg o podłogę przedpokoju, potem, w ślad za bosymi krokami, łomot niemieckich butów, potem cztery strzały na schodach, dawane jakby na coraz niższych piętrach, wreszcie piąty strzał w bramie, lub przed domem i — hałas ulicznej pogoni. I cisza. W tej ciszy zerwały się z łóżek i wybiegły do przedpokoju. Przykusztkała tam również drżąca gospodyni i jej starszy brat. To stadko, dygoczące w koszulach i boso, które razem miało przeszło dwieście lat, uspokajała Joanna. Po

chwili w rozwalonych drzwiach przedpokoju ukazała się zmięta figura i zmierzwiona głowa obudzonego dozorczy. Lokatorzy sąsiednich mieszkań przywarowali w swoich norach.

— Panie święty — wyszeptał stróż — w samych gaciach im uciek! Nawet bele jesionki nie zdążył se złapać. Boso pognął, a noc zimna. Ale ci jucha śwarna! Odstrzeliwoł się szkopom jeszcze, panie święty, z ulicy. Leworwel to złapał, a butów nie.

— Miał rewolwer? — wyjąkała gospodyni.

— Przeciel! Z kijaby nie wypuścił. Jeszcze nawet ty bramy nie zamkłem, ino tum przyleciał, patrzeć czy aby wszystkie państwo żyje. Uu! Ale śwarna bestia ten pan Sułkowski!

— Kto?!! — krzyknęła Joanna.

— No, ten wasz lokator, pan Sułkowski Stanisław, urzędnik kolejowy. Musić to nie jego nazwisko, ale tak stoją w ty kennkarcie, com go z niej meldował zeszej soboty. Tak ci spokojnie wyglądał, że dwóch groszybym za niego nie dał, a szkopa ustrzelił na rogu, samem widział. No, ale tera to państwo szanowne niech robi w te pędy porządeczek w pomięszkaniu, bo tylko patrzeć jak te zbóje wrócom.

— Jaki znów porządeczek w mieszkaniu, Wojciechu? — obruszyła się stara Kwiatkowska. -- Jezu, nieznajome-mu wynajęłam! Co teraz...

Już szli! Hurmem walili po schodach. Stróż nie zdążył zejść, staruszkowie nie zdążyli narzucić ubrań. Joanna -- Joanna nie zdążyła pomyśleć o niczym.

Niemców trzęsła furia. Rewizja rewizją, owszem, ale tym razem to była burza, huragan, szwał.

— Spadochroniarzy angielskich przechowujecie! — ry-czeli Gestapowcy, rozbijając meble, prując poduszki bagneta-mi, wyrzucając węgiel ze skrzyń. — Żywa noga stąd nie wyjdzie!

Pod lustrem Joanny chwycili portret. Podpis: « Sułkowski! ».

Przy łóżku Joanny porwali książkę. Tytuł: « Sułkowski! ». Stanisław Sułkowski.

Wywlekli ją po schodach za włosy. Matka krzyczała. Troje staruszków zostawili.

— Ty! Tyś go chowała! Rodzona siostra! — słyhać było jeszcze z bramy niemiecki ryk.

W tydzień potem, drogą organizacyjną, na ręce rejonowej Mewy przyszedł gryps z Pawiaka. Pisała wtajemniczona strażniczka:

« Joanna rozstrzelana dziś w nocy. Nie wiemy dlaczego wyprowadzono ją na egzekucję w koszuli i boso. Zawiadomić matkę. »

PRACZKA

Praczką z pewnej sławnej dzielnicy Warszawy dostała Krzyż Walecznych za wrzesień 1939, kiedy zniszczyła czołg niemiecki butelkami benzyny.

Potem się ustatkowała. Wynajęła sobie pralnię w suterenie i pracowała spokojnie na chleb.

Wielu panów przynosiło bieliznę do prania, ale czasem zjawiały się i młode panie. Dużo, dużo przynoszono bielizny, bo nikt tak pięknie nie prał, jak ta właśnie praczka. Naokoło szaleli Niemcy, ale cóżby to mogło obchodzić stateczną właścicielkę balii?

Młodość się wyszumiała, o Krzyżu Walecznych nikt już nie pamięta, zresztą ten krzyż był tylko « na gębę », bo właśnie szkopy weszły do Warszawy. Mijały lata. Ciężkie, ale dla spokojnej praczki — spokojne.

Na jakiś tydzień przed powstaniem, powiada na odprawie Kwatermistrz Okręgu:

— W jednym tylko obwodzie nie boję się głodu. Mamy tam ogromne zapasy, zwłaszcza tłuszczu i papierosów.

— A porządnie schowane? — pyta ktoś.

— Pierwszorządnie — uciął krótko dowódca.

Już dobrze w środku powstania, kiedyśmy, zamknięci w reducie Mokotowa, wiedzieli jednak o piekle walk w

tamtej sławnej dzielnicy, wzdycha nasz Kwatermistrz rejonu, dając nam czworgu pociągnąć swego ostatniego papierosa :

— Tamci mają gorzej, ale przynajmniej nie głodują. Co tam sobie porobili za składy! Jeśli ich bomba nie rozbije, mogą fasować jeszcze kilka tygodni.

— No, teraz pan porucznik może już nam powiedzieć gdzie to wszystko było schowane?

— Teraz mogę. U naszej praczki. Tam całe podziemie to nasze składy. Broń, żywność — wszystko. Przynosiliśmy jej pakunki « z bielizną » już od dwóch lat, a co pewien czas przychodził zaprzysiężony murarz i zamuroвывwał po kawałku. Co za fajna baba, powiadam wam! Kiedyś jakiś naiwny Niemiec przyniósł jej po prostu bieliznę do prania, właśnie kiedy tuż, za cienką ścianą, odchodziło mурowanie na całego. Prosi grzecznie, żeby zrobić « gut » i « schnell ».

« — Zrobi się, panie tymczasowy — oświadczyła Królowa Przedmieścia, po czym odwróciwszy się na pięcie, huknęła do murarza, który zapewne skamieniał za ścianą :

— Panie Marcin! Słyszysz pan? Ma być zrobione gut i sznel! Sam pan Władza sobie życzy ».

MIŁOSIERNI NIEMCY

Pani Zofia nie tylko oddała swoje znakomite pióro na usługi Polski Podziemnej, ale uważała, że sama powinna kolportować bibułę, tak jak jej współpracownicy. Proszono ją, molestowano:

— Nie trzeba się tak narażać! Pani pióro więcej warte dla Polski, niż my wszyscy.

Na to się oburzała.

— To decyduje Bóg, nie wy.

Znowu protesty: — Przecież w lubelskie może pojechać na rowerze Hanka, albo Kazia i odwieźć cały transport gazetek.

— A czemu nie ja? — gniewała się pani Zofia. — Rower mam niezły, jeżdżę dobrze, okolicę znam, a swoich dziewcząt nie będę narażała na to, czego sama nie potrafię.

Więc pojechała. Jeździła raz, drugi, dziesiąty i zawsze bez wypadku. Porozwoziła gazetki, pogadała z chłopami, z księżmi, z ziemianami, z nauczycielstwem. Co prawda, dziewczęta takby nie potrafiły.

— Pani ma szczęście — mówili koledzy.

— Dlaczego wstydzicie się powiedzieć: opieka boska?
— pytała pani Zofia.

Którejś lipcowej niedzieli, wyruszyła z Warszawy wczesnym rankiem. Gумы twardo napompowane, plecak z biułą przytroczony mocno z tyłu za siodelkiem, chleb z rzodkiewkami w kieszeni kurtki, parę złotych w portmonecie. Po drodze kupi się mleka.

Minęła Grochów, przecięła przejazd kolejowy pod Wawrem i wypadła na szosę w głębokich lasach wawerskich. Zielony gąszcz i miękki mech kuszą do odpoczynku, nerwy zmęczone Warszawą, tęsknią do leśnej ciszy. Ale nie, trzeba się śpieszyć, kolporterzy na lubelskie czekają w Rykach wieczorem. Więc tylko odetchnęła z daleka wonią sosen i pedałowiała zawzięcie pod górę, ku Miłosnej. Przy wsi Zakręt, skręciła ku Wiązownej. Słońce stało wysoko.

Lipy kwitną! Dwa rzędy potężnych bukietów długą aleją prowadzą na wschód. Objęły szosę złotem, wonią i pszczelim szumem. Szerokie żyta, czesane wiatrem, mienią się błyskiem i cieniem. Żywe strumyki mruczają pod mostkami, wśród smug wilgotnej trawy, skropionej błękitem niezabudek. Polska! Lipy, lśnienie zbóż, migot wody, na prawym horyzoncie lasek, na lewym rozsypane chaty. Polska! Nieprawdą są niemcy, niewola, walka i plecak pełen druków, groźnych jak dynamit. Prawdą jest ten ranek, pachnący miodem i spokojem, te niezmaczone, swojskie lica wsi.

Z chat koło szosy coraz to wysypują się ludzie, odświętnie ubrani. Toć przecie niedziela! W Wiązownej będzie suma. Pani Zofia nie opuści mszy w niedzielę. Ale co począć z rowerem? Do kościoła go nie wprowadzi, a taki plecak zostawić przy wejściu? Zostawię go po prostu na opiece boskiej, decyduje po swojemu i w miasteczku skręca w lewo ku kościołowi. Tu droga jest miękka, szeroka, piaszczysta, wśród domków i ogródków. Ludzi coraz gęściej. Kościół w Wiązownej jest stary, piękny, obszerny,

w kręgu wysokich lip, w kamiennym owalu niskiego muru. Tuż za murem, za lipami, płyną żyta łańcem bez granic, a w gęstwie zbóż płyną białe chusty i granatowe maciejówki niewidzialnych ludzi, idących zewsząd ku kościołowi wąziutkimi ścieżynami przez zboża.

Pod lipą przy kościele siedzi chłopczyk i struga lipowy kijaszek.

— Byłeś już na mszy, malutki? — pyta pani Zofia, podchodząc z rowerem.

— Juści. A bo co?

— Bo ja nie byłam i proszę, żebyś popilnował mój rower, póki będę na sumie.

— Juści.

Zostawiła dziecku rower, weszła spokojnie do kościoła. Nie trzeba akcentować sprawy plecaka, żeby plecak nie skusił chłopca.

Czy pani Zofia modliła się bez strachu, nie wiem. Miała swoje szczególne metody, które udawały się zawsze, więc i tym razem myślała zapewne: « Jeśli Bóg chce, żebym była na mszy, to chłopiec nie ucieknie z rowerem ».

Nie uciekł. Po sumie wyszła, podziękowała małemu, dała dwa złote i pojechała dalej rozpromieniona, że jest jednak wola boża na ziemi i pomoc dla dobrej sprawy. Pedalowała pośpiesznie. Za mostem na Mieni kupiła w jakimś domku szklankę mleka i wychyliła duszkiem. Pojadła chleba. Prędej! Słońce zeszło z południa, wiaterek ustał, polna okolica oddychała upałem. Gdzieś tam stały już kopki.

— Zażęli wczoraj, przy sobocie — pomyślała z rozczuleniem. Zostałaby tu chętnie, wyszłaby w pole jutro o świcie, wiązać żytnie pokosy za żniwiarką, jak dawniej za dobrych, śląskich czasów. Nie ma co marzyć, jutro trzeba wracać do Warszawy i robić następny numer.

Jeszcze raz i drugi odpoczęła chwilę pod drzewem,

pilnie uważając na zegarek i kilometry. Napila się wody z wiejskiej studni. Gruzy Garwołina minęła bez zatrzymania, bo stał tam niemiecki garnizon w nowych barakach. Zrobiła już pięćdziesiąt kilometrów.

Wreszcie żyta przydrożne poróżnowiały światłem wczesnego wieczoru. Pani Zofia parła na wschód i nie oglądała się na czerwone słońce, które za jej plecami tonęło w sosnowym lesie. Zapachniała rosa i macierzanka. Wionął chłodek od pól, lżej było jechać.

Mijała wózki chłopskie, wracające z niesporów.

— Pochwalony!

— Pochwalony! — wymieniano pozdrowienia.

Czasem spotykała samochody niemieckie, limuzyny z oficerami, ciężarówki pełne jakichś skrzyń i pijanych żołnierzy. Jechała z niewinną miną, chociaż w dreszczach strachu. Cóż, wiadomo, że paniusia, jak tyle innych, z plecakiem mąki lub twarogu; a'e mogą posądzić o słońcę i zrobić rewizję, mogą zapytać o kartę pracy. Widocznie nie chciało im się jednak przy święcie, albo nie trafiła na żandarmów, a Wehrmacht nie para się tropieniem zakazanego szmuglu, ani bezrobotnych.

Kiedy zapadł zmrok, do Ryk pozostało jeszcze osiem kilometrów. Trzy przejechała w szarym cieniu, na czwartym ogarnęła ją czarność. Zna tu każdy kamień i krzak, ale przystanęła, zsiadła i zapaliła karbidówkę przy kierownicy. Jeśli się wiezie taki bagaż, lepiej być w zgodzie z przepisami.

Spoza zakrętu szosy, w pustych polach, zabłyśły nagle oślepiające fary. Grzmot kół zwiastował ciężarówkę. Jeśli ciężarówka, to wojskowa, niemiecka.

Dziwnie jedzie ten szofer! Coraz bardziej na swoją lewą. Pijany?! Pani Zofia bierze się w prawo i w prawo, aż wreszcie jedzie tuż nad rowem, na samym skraju bocznej ścieżyny. Cóż on robi?! Chce chyba zgasić polską karbi-

dówkę nosem swego samochodu? Oczywiście, w tej okolicy nie mieszkają Volksdeutsche. Zeskoczył i z rowerem uciekać do rowu!

Nie zdążyła. Usłyszała trzask roweru i śmiech Niemca nad głową. Tracąc przytomność i padając w ciemność, pomyślała jeszcze rozpaczliwym błyskiem:

— Boże, niech mnie tylko nie ratują!

Nie ratowali. Pomknęli ku Warszawie, rechocząc śmiechem.

Nad szosą, nad polami zapadła cisza, bezruch i ciemność.

O którejś godzinie nocy, w rowie poruszyło się ciało, w ciele zapełniła świadomość.

— Gdzie plecak?

Obolałe ręce namacały rower, rozdarte płótno plecaka, rozsypane papiery. Następna myśl: «Dzięki Bogu, nie ratowali!».

Potem ręce poszukały własnych ran: spódniczka rozszarpana, skóra lewego uda lepka od krwi, zdrapana błotnikiem. Kości boją, ale nie wolno czekać. Następni Niemcy mogą być miłośnikami, a wtedy — śmierć. Więc pełzając w rowie, kobieta zbiera gazetki, starannie, co do jednej. W świetle gwiazd wyraźnie widać papier. Zebrała, zawiązała w strzępy plecaka, zasunęła głęboko w przydrożny krzak. Teraz nie widać, płótno jest ciemne. Rozejrzała się uważnie, żeby zapamiętać miejsce: zażęte kopki, dwie sosny, krzak tarniny. Przyciągnęła jeszcze parę kamieni i oznaczyła brzeg szosy. Tak, teraz swoi znajdą. Trzeba tu jak najprędzej przysłać tych, którzy czekają w Rykach. Jeśli jeszcze czekają! O, czekają na pewno. Zanim deszcz zmoczy papiery, zanim znajdzie je rano ktoś niepowołany, muszą tamci przyjść tu i zabrać. Transport zbyt cenny, żeby go zmarnować.

Ale wobec tego, trzeba dojść do Ryk. Pięć kilometrów...

I trzeba doprowadzić rower, bo rower, to skarb. W Rykach jest znajomy felczer, który opatrzy ranę. W Rykach jest znajomy kowal, który naprawi rower...

Ale trzeba dojść. Jak doszła, nie rozumiała sama i nigdy nie potrafiła wytłumaczyć.

Przywlekła się późną nocą, w strzępach sukni. Dociągnęła szczątki roweru.

Czekali od wieczora w umówionym domku, wśród gruzów miasteczka. Krzyknęli, zobaczywszy kto idzie i jak wygląda.

Tłumaczyła im: — Cały transport w krzaku tarniny, obok dwie sosny, trzy kamienie nad rowem.

Kiedy po opatrunku zasnęła w izdebce felczera, felczer nie rozumiał, dlaczego szeptała, zasypiając:

— Niemcy są miłosierni, bo nie ratują.

JEDYNE ŚWIĘTO

Zaalarmowane telefonicznie koło godziny czwartej, że Hala ciężko chora, pobiegłyśmy z córką do mieszkania moich kuzynek. Czemuś wiadomo było od razu, że to nie areszt, ale prawdziwa choroba. Maria otworzyła nam drzwi.

— Nagły krwotok — powiedziała wylękciona. — Już dzwoniłam po karetkę pogotowia prywatnego, bo na miejskie zadługoby czekać.

— To my odwieziemy chorą do szpitala — ofiarowałyśmy się jednocześnie.

— O to mi właśnie szło — ucieszyła się Maria — bo ja nie mogę wyjść z domu o tej porze. Zaraz zaczną przychodzić kolporterki po dzisiejszy numer.

Wchodzimy cicho do stołowego. Na otomanie leży Hala, w zwykłej sukience, okryta kocem. Uśmiecha się słabo.

— O, dziękuję, żeście przyszły. Przepraszam za kłopot, nic mi nie jest. A czy moja Ewuńka zdążyła zjeść obiad po pracy?

— Ciotuś — mówi rzeźko moja córka, — raz w życiu pomyśl o sobie. Zaraz cię odwieziemy do szpitala, a za dwa dni masz być zdrowa, bo to twoje imieniny.

— Napewno będę zdrowa — szepcze Hala i mdleje.

Cucimy wodą. Pomimo troski i przestachu, nie mogę nie dostrzec, że nagle Hala jest piękna. Twarz z białego marmuru, bez kropli krwi, czarne brewki rysują się wyraziście, zwichrzone włosy czarnym skrzydłem spływają nad wałkiem otomany aż ku podłodze. Podłoga we krwi.

Hala umiera, widzimy to wszystkie trzy, ale Hala po raz pierwszy jest piękna. Wspaniale, patetycznie piękna. Od niepamiętnych lat przyzwyczaiałam się myśleć, że Hala jest brzydka, że Hali prawie nie ma. Niedostrzegana w rodzinie, przepychana przez szkołę średnią, umieszczona przez protekcję za skromnym biurkiem jakiegoś ministerstwa, przesiedziała sumiennie i pracowicie na tym samym krzeselku przez całą młodość i hen, poza młodość. Twarz miała czerwoną, postać znikomą, nogi żadne; wdzięk włosów i brwi nie zmieniał mizernego efektu całości. W rozmowie była nudna, w najpoczuwszyj dobroci trochę męcząca, lub z lekka śmieszna. Kiedy brat jej zaręczył się z niebogatą panienką, Hala nieodstępnie towarzyszyła narzeczonym na spacerach. «Zostawże tę parę! Pozwól, żeby się pocałowali!» — strofowałam Halę, ubawiona, ale zła. «Ja chcę okazać Cesi, że nasza rodzina przyjmuje ją chętnie, właśnie bez posagu» — tłumaczyła mi poważnie Hala.

— Czy to możliwe, żeby Ciocia nie miała żadnej historii miłosnej? — pytała mnie nieraz moja córka, upojona własną młodością.

— Możliwe. Ciocia Hala kocha, widzisz, ciebie a jej nie kochał nigdy nikt, nawet matka.

— Żaden mężczyzna?

— Żaden mężczyzna.

— To właśnie, na złość mężczyznom, kocham ją ja — oświadczała Ewa, od dzieciństwa aż do niedawnej pełnoletności.

— Nie mogę sobie wyobrazić Cioci Hali w strojnej sukni.

— Bo też nigdy takiej nie włożyła — odpowiadałam.

— A czy ktokolwiek posłał jej kiedyś kwiaty?

— Chyba nie.

— To ja jej właśnie pošlę na imieniny, chociaż jest wojna i kwiaty drogie.

Tak, wszyscy szanowali ciocię Halę, niejedni próbowali lubić, nie kochał chyba nikt.

Zajechała karetka Pogotowia, weszli na górę sanitariusze z noszami, delikatnie ułożyli chorą, Ewa podtrzymała głowę. W drzwiach mieszkania smutno, lecz krótko, pożegnała pochód Maria. Za chwilę nadejdzie pierwsza kolporterka, Marii nie wolno w tych godzinach mieć prywatnych spraw. Na schodach zapytała mnie jeszcze:

— Masz pieniądze?

— Mam ze sześćset złotych, wszystko co było w domu.

— Słuchaj! Weźcie osobny pokój, najlepszych lekarzy, jutro mogę dostarczyć każdą sumę, grube tysiące.

— Skąd? Przecież u was bryndza, u nas też.

— Nie zadawaj pytań, ratujcie Halę.

W karetce samochodowej chora ocknęła się.

— O, jest moja Ewuńka — wyszeptala, wpatrzona w pochyloną na sobą siostrzenicę.

Osobnego pokoju w szpitalu nie było. Było łóżko za parawanem, w kącie szpitalnej sali. Wiadomo, że parawan daje się tylko moribundom.

— Natychmiast transfuzja — wyrokuje doktor. — Gdzie dyżurny krwiodawca?

— Wyszedł, panie doktorze, — melduje wystraszona pielęgniarka. — Wróci za godzinkę.

— Cholera! — zaklął doktor.

— Ja daję krew — podchodzi na to Ewa i już odwijają rękaw.

— Pani? To jeszcze nie wiadomo. Jaka grupa krwi?

— Zero.

— Być może, ale gdzie świadectwo badania?

— Panie doktorze, świadectwo w domu, a dom daleko, nie wiedziałam, idąc do ciotki, że będzie potrzebne. Daję słowo honoru, że zero i że jestem zdrowa. Badano innie niedawno, bo... bo...

Doktor popatrzał w młodziutkie oczy. Zrozumiał. Wszystkim sanitariuszkom A. K. zawczasu badano krew. Chora ma zamknięte oczy i marmurową twarz. Ewa cała drży.

— Dobrze — zdecydował doktor. — Sterylizować aparat! — huknął do pielęgniarki.

Więc trzeba czekać piętnaście minut. Trzeba spokojnie wyczekać piętnaście minut. Z obu stron łóżka pochylamy się nad chorą. Ewa gładzi jej czoło, czoło stygnie pod palcami. W oczach Ewy, utkwionych w moje, widzę stygnięcie tego czoła.

— Agonia — szepcze bez dźwięku Ewa.

— Moja Ewuńka przy mnie — słychać szelest warg Hali.

Po chwili: — Spać mi się chce...

I wreszcie: — Prześpię się trochę i wrócę... do... domu...

W pięć minut po śmierci przyniesiono aparat do transfuzji. Dochodziła godzina siódma.

Skąd tyle kwiatów w Powązkowskim kościele? Wszystkie dla Hali? Od kogo? Tyle osób przyszło na pogrzeb? Co to za ludzie?

— Proszę otworzyć trumnę na chwilę... — błaga kościelnego nieznany mi pan.

Jeszcze chwilę! Jeszcze sekundę! — szlocha jakaś kobieta.

Kościelny zdejmuje wieko. Marmurowe, uśmiechnięte lico, czarne skrzydła włosów. Suknia też czarna, szlachetna, nowiuteńka, z kosztownego jedwabiu, z mgłą białej koronki u szyi. Krzyżyk w spiecionej rzeźbie rąk. Konwalie dokoła głowy. Kto dał tę piękną suknię? Kto nasypał konwalii, konwaji w początkach marca? Kto płacze? A na chórze kościelnym sławny śpiewak i znakomita śpiewaczka rozkładają nuty, czekając na rozpoczęcie Mszy.

Mszy, która nadeszła za chwilę, w niezliczonych świecach, w operowym śpiewie, w obfitych, niepojętych, niewiadomo czyich łzach.

Nie mogłam się modlić. Myślałam o Hali, o tym jak od wojennego września została bez pracy i przymierała głodem, nie chcąc zostać w niemieckim urzędzie. Potem — pamiętam — spróbowała otworzyć sklepik spożywczy. Co dzień przybiegała do nas z chlebem. Sklepik, naturalnie, zbankrutował. Potem Hala pożyczyła od kogoś trochę groszy, skompletowała sobie walizeczkę galanterii i zaczęła handlować po domach nićmi, guzikami, gumką. Ale od przyjaciół nie chciała brać pieniędzy, a już Ewunia musiała przyjąć nowiutkie podwiązki, prawdziwy, rzadki skarb. Dług też należało oddać, dość że przez te lata wojenne widywało się Halę coraz chudsza, coraz bardziej szarą, coraz fantastyczniej ubraną. Przed tygodniem, w końcu lutego, przywlokła się do nas wieczorem, mając na sobie letnią suknię w kropki i palto z pledu w kolorową kratę; nogi grzały się w narciarskich skarpetach, wepchniętych w miękkie papucie, uścibane z dywanika i podbite drewnianą podeszwą. Na zsiniałych z zimna policzkach wisiały pod oczyma żółtawe worki.

— Czyś ty nie chora, Ciotuś? — zatroskała się Ewa.

— Skądże? Ja zawsze jestem zdrowa. Zmęczyłam się trochę; wojna się kończy, to odpocznę. A czego by dzisiaj inoja Ewuńka chciała z walizeczki?

— Chciałaby już nie widzieć tej « walizeczki » i nalać Ciotce gorącej herbaty, — burknęła dziewczyna, wyjmując z kredensu ostatnią szczyptę prawdziwej herbaty i ostatnie kawałki cukru.

— Taak? Nie chcesz widzieć mojej zaczarowanej walizeczki? A gazetkę tobyś chciała? Masz.

Spod guzików, szpilek i zwitków, z podwójnego dna tego kuferka, który był jedynym jej własnym gospodarstwem, ciocia Hała wyciągała, siadając do stołu, dziśsijszy numer « Dziennika Radiowego ».

Tak bywało przez lata, przez wszystkie niemieckie lata Warszawy. Tak było jeszcze przed tygodniem. A potem ów telefon: « Hała zachorowała ». A teraz już Powązki, niemal na drugi dzień.

Skąd taki wspaniały pogrzeb samotnicy, prawie nędzaraki? Ileż osób przyszło do kościoła i ocierało łzy? Jakież to wielkie zasługi życia probowano uczcić po śmierci? Dlaczego Maria mówiła, że każde pieniądze znajdą się na leczenie? Organizacja podziemna? « Nie zadawaj pytań », powiedziała przedwczoraj Maria.

Kiedy trumnę zdjęto z katafalku, czterech nieznanym mi mężczyznom wzięło ją na ramiona. Długi kondukt wszedł w cmentarną bramę i od razu zajaśniało słońce. Dzień, jak to w marcu, a właśnie był drugi marca, świętej Heleny, z zimowego stał się nagle wiosenny.

Przecudne powązkowskie drzewa, wrzeźbione w rozległy błękit, lśniły połyskiem świeżych soków. Jakoweś pierwsze ptaszki osypywały krajobraz diamentowym pyłem świergotu. Słońce, uśmiechniętą białą różą, kwitło w

niebiosach. Cmentarz wyglądał jak park, radosny przedwiosniem.

Ziemia rozkopanej mogiły zapachniała rolą. Potem, wzgórze kwieciami przykryło grób pięknej kobiety, którą przed godziną, w kościele, wszyscy licznie zebrani goście podziwiali w jedwabnej sukni, w koronkach i w konwaliach. Pierwsze to imieniny Hali, kiedy na jej cześć naprawdę obchodzono święto.

Jedynie święto.

VIRTUTI MILITARI

Karolę znalazłam za młodu. Była jak kwiat na cienkiej, wysokiej łądźce. Wątła, uśmiechnięta, otoczona mężczyznami. Dziś Karola jest po czterdziestce, ale znowu — otoczona mężczyznami. Jest bowiem łączniczką Komendy Głównej. Tylko, że teraz mężczyźni mają dla niej rozkazy, zamiast komplementów. Nosi papiery i pieniądze w najniebezpieczniejsze miejsca Warszawy.

W myśli Karoli — również mężczyzna: syn w niewoli. Co miesiąc trzeba mu posłać paczkę, żeby wytrzymał, żeby wrócił.

O czwartej na Marszałkowskiej ma być zebranie trzech Najważniejszych. Karola przyniesie im do rozdziału pieniądze z ostatniego zrzutu. Ogromną sumę w dolarach.

O trzeciej polska osłona uliczna daje znać, że dom na Marszałkowskiej jest obstawiony przez Niemców. Przewąchali. Zebranie zostaje odwołane. Ale jak teraz uprzedzić Karolę, kiedy na pewno już wyszła z domu? Jak zapobiec, żeby nie wpadła w zęby smoka? Nic prostszego: Karola zawsze chodzi ulicą Hożą.

Po Hożej więc spaceruje ten, który ma zawrócić łączniczkę. Spaceruje bezskutecznie: Karola nie idzie. Chwała Bogu, widocznie już wie.

Tymczasem idzie, idzie Karola, idzie prosto w swoją śmierć. Ale idzie ulicą Wspólną, bo właśnie dzisiaj Hoża wydała jej się podejrzana. A może zamyśliła się o paczce dla syna i pomyliła ulicę?

Wchodzi spokojnie do bramy, tej co zwykle. Nagle: «Hände hoch!».

Koniec. Łączniczka aż ciężka od dolarów. Spekulantka? Za spekulację walutami tylko dziesięć lat więzienia. Nie, tu suma zbyt wielka. Widocznie ryba jest gruba. Więc proszę, pogadamy na komendzie Gestapo. Wsiadać do samochodu!

Karola jest wątła, krucha, chudziutka. «Lilijka», na zywali ją za młodu koledzy z rolnictwa.

Bito ją gumowymi pałkami po maleńkich uszach. Nie zdradziła nic. Zresztą, miała szczęście. Wystarczyło jej jedno «badanie». Nie masz to dla łączniczki jak kruche zdrowie.

Kiedy ją, umierającą, wrzucono do pełnej celi, obca więźniarka pochyliła się tkliwie do sinych ust.

— Kto... będzie... teraz... posyłał... paczki... Kazikowi?... — dosłyszała ostatni szept Karoli.

Działo się w sierpniu 1942.

URODZINY

Ignacemu Matuszewskiemu

Siódmy września 1943 w Warszawie. Jest dziewiąta rano. Elżbieta skończyła sprzątanie pokoju i zamierza się myć, ale sposób mycia jest tak niewygodny, że przedtem lepiej odpocząć. Córka wyszła na wykład, Elżbieta jest sama. Siada w głębokim, szafirowym fotelu, puchowym gnieździe z dawnych dobrych czasów, zapala papierosa i patrzy na swoje dzieło. Istotnie, posadzka jak lustro, szyby lśnią pod białą firanek, zeszepeconych tylko rulonami czarnego papieru do zaciemniania. Tych kilka pięknych jesionów ocalałych po wrześniu 1939 r. z dawnego, prawdziwego domu, wygląda jednak wcale nieźle, chociaż pokój zamieszkały przez dwie kobiety służy jednocześnie za sypialnię, stołowy, łazienkę i spiżarnię. Za jednym fotelem schowany woreczek cukru, za drugim woreczek kaszy; za kredensem na gwóździu wisi skarb — kawałek słoniny; za szafą ukryta bańka z naftą; słoik powideł stoi w piecu, w którym się jeszcze nie pali, zapas drzewa stłoczony za piecem. Jakoś wszystko niewidoczne; natomiast królują dwa tapczany, półka książek, jesionowy stół, na nim pęk słoneczników.

Tylko za sekretarą — psiakrew — umywalka! Za mu-

zcalną, empirową sekretarę ze złotej gruszy i czeczoty, stojącą w napoleońskie orły z brązami, w wianuszki i galeryjkę. Antyczne cacko stoi figlarnie bokiem, a za nim, niewidzialne dla oczu gości — kulisy życia: miska na taborecie, wiadro pod koronkową serwetą, szczotka do zamiatania, śmietniczka, dwa autentyczne pudełka z pastą do podłogi i — to trzecie. W tym trzecim, większym, dwie cenne bransolety po babce, zręcznie wtopione w pastę.

Nie jedyne to kulisy. W rogu bowiem kredensu stoi niewinny słoiczek ze smalcem a w nim złota moneta (10 lat więzienia!) na czarną godzinę. Druga taka sama, w pudrze na toalecie; a w apteczce w proszkach aspiryny, jeden opłatek cięższy: to pierścionek, ostatni ratunek. Wszystko jak u ludzi.

Są też inne « kulisy ». W szufladzie, w wydrażonym wałku od ciasta — ostatni, czwartkowy numer « Biuletynu ». A tam, w kącie pod szafą — cóż za obrzydliwość w tej ogólnej czystości i ładzie: brudna ścierka, bardzo brudna. Nie ruszać tej ścierki! Boże, daj, żeby nigdy nie ruszyli tej ścierki! Ale oni lubią czystość. Może się będą brzydzili. *Polnische Wirtschaft*. Tak. Inaczej — śmierć. Wszystko jak u ludzi.

Wysoko, wysoko podniesione rolety trzech ogromnych okien. Okna na Pole Mokotowskie, słońce, słońce, zielono, zielono, dawniej lotnisko i wyścigi, teraz działki warzywne — działki — działki. Wrzesień, słoneczniki, nagietki, wieczorami pachnie maciejka, jak na wsi. Obie kochają ten widok, matka i córka, Elżbieta i Ewa. Wprost od okna, tylko za jezdnią, biegnie wśród działek wąziutka oszczędna ścieżyna. Daleka jak myśl. Prosta jak tęsknota. Chwyta oczy, ile razy podejść do okna. Biegnie aż ku Alei Niepodległości. W przyszłość. Codzienna turystyka oczu.

Wysoko, wysoko podniesione trzy rolety, ale tylko jedna jest ważna. Czy aby nigdy jej nie spuszcza? *Oni*. Czy nigdy

nie znajdują? Chryste — bo gdyby! Tam w rąbku zwinięty rulonik najcieńszej bibułki. Na nim wypisane najdrobniejszym pismem: pseudonimy, numery, daty, wykszolenie, przydziały. Jedenaście pozycji, jak kazano. W jednym rąbku ewidencja oddziału Ewy, w drugim — oddziału Elżbiety. Nazwisk nie ma, ale cóż to pomoże? Biją mocno. Czy potrafię wytrzymać? — myśli Elżbieta. A ona, córka? Wilcze pazury chwytają Elżbietę za gardło, jak co dzień, jak co chwila, kiedy myśli o tej dziewczynie. Szafirowe oczy, przepyszne brwi, brązowe loki, jaskrawe uszka, nigdy nie tknięte szminką; mocne, opalone, sportowe ciało.

— Bić? Jezu...

— No, matka, nie histeryzuj — słyszy co dzień Elżbieta. — Śmieję się z tego, nie masz pojęcia jakie te szkopy głupie. Mówię ci.

A potem: — No, mamusińka, ty jesteś dziecko... — i puszysty łebek ociera się o ramię. — A może byś mi tak ukręciła jajko z cukrem? (To na pociechę. Jajko z cukrem jest wielkim luksusem i Ewa wje, że matka lubi dawać « dziecku » luksusy. Dlatego prosi). Więc matka kręci owo jajko z cukrem, ale wie swoje. Wie, że córka całą noc przy świeczce czytała « Kamienie na szaniec » i że to najgorsze zaczęło się właśnie od tej książki. Sama jej dała, bo ładnie napisane. Ma teraz. Dziewczyna znika o niebywałych porach, coś nosi, coś chowa.

— Co ty robisz, kocie? — zapytała kiedyś Elżbieta.

— Nic. Właśnie, że niestety wciąż nic.

— Ty? Ty nic nie robisz? Nie szkolisz swego oddziału? Nie zbierasz zapasów sanitarnych?

— Ech, to wszystko klajster. Powinnam pójść do sanitariatu dywersji. I pójdę.

Papieros się wypalił, Elżbieta nie zauważyła. Jest spocona od stóp do głów. Czyżby się tak zmęczyła sprzątniem? No, trudno, nic nie poradzi, trzeba się myć. Wstając,

nalewa wody do miski za sekretarą. Myśli się gonią... Trzeba pójść do meliny, zabrać białoczerwone opaski i przenieść do składu broni. Córce nic nie powie, bo zaraz by poszła razem. Po drodze trzeba kupić ciastek bo dziś dziecka urodziny. A o piątej tutaj będzie uroczysta przysięga... ileż to osób przyjdzie na przysięgę?... trzynaście. A ile może przyjść gości wieczorem? Szwagier Tadeusz, jego żona, siostra, dwoje dorosłych dzieci; sama rodzina, bo młodzież z medycyny proszona na niedzielę. Więc trzeba kupić siedem ciastek. A może dziesięć? No, pozwólmy sobie raz na dziesięć... Nie, siedem. Zimna ta woda...

Rrrym... zadrżały szyby. Co za wściekły huk! Bomba? Przecież nie było alarmu. Ręcznik, suknia — prędziej. Czy córka doszła na wykład? Nie, jeszcze musi być na ulicy, dopiero wyszła...

Elżbieta wychyla się oknem. Ulicą Polną biegną tłumy. Pewnie coś się stało na Placu Unii. Strzały. Krzyki. Tumult.

— Proszę pani! Jakieś nieszczęście. A gdzie nasza panienka? — To służąca gospodarzy wpadła do pokoju i razem z Elżbietą już wisi w oknie. Przepadła za panienką.

— Nie wiem. Może na wykładzie. Nic nie wiem, Tolciu... nic nie wiem... Kochanie.

Minuty za minutami. Wreszcie znajome stukanie do drzwi. Puk, puk, puk. Jest!! Gospościa uspokaja się i wraca do kuchni.

— To ty! Chwała Bogu. Co się dzieje?

— Nic. Pewnie zamach. Nie można przejść przez Marszałkowską, tramwaj się pali koło Litewskiej. Heca.

— Odpocznij.

— Trzeba przeczekać, wykład przepadł. Cho... lender! Jak się tak zaczęło na moje urodziny, to już będzie cały rok.

— Nie pleć.

— Zobaczysz.

(Miała słuszość. Tak było. Było gorzej. A potem — jeszcze gorzej).

— Patrz! — woła Elżbieta od okna. Ewa podbiega.

Ulica jest pusta, tylko środkiem jezdni dwóch Niemców prowadzi Polaka. Oni w mundurach, rewolwery do strzału, on — młodziutki i wybladły w jasnej kurtce i białej czapinie. Najwyraźniej prowadzą w stronę Alei Szucha, do Gestapo. Nasz! Złapali. A jego matka jeszcze nic nie wie. Będą bić. Zabiją. «Taki sam on czyjś, jak ta tutaj — moja» — czuje Elżbieta. Instynktownie chwytą dziewczynę za rękę. Ale ręka nie pozwala.

— Puść!

I już mała chodzi po pokoju, jak zwierz w klatce. Młody, piękny, brązowy zwierz leśny z płonącymi oczyma.

Czego może najbardziej nienawidzono tam, wtedy, w Warszawie? Tych niemieckich karków z czerwonymi fałdami tłuszczu. Ręce same rwały się do cyngla, do noża. Taki właśnie kark ma ten Niemiec, który pod oknem prowadzi za łokieć bladego chłopca. Pierwsze piętro, widać dobrze.

Potem — potem nie było już nic. Na ulicy uspokoiło się zupełnie. O jedenastej córka wyszła do szpitala, gdzie studenci tajnej medycyny mieli pokaz na internie, a matka poszła po ciastka urodzinowe i — w tej drugiej sprawie. Z placu Unii skręciła na Puławską, a potem w Narbutta, gdzie w małym sklepiku sprzedawano najtańsze słodycze. Po drodze dowiedziała się, co zaszło, bo wszyscy tylko o tym mówili: na rogu Marszałkowskiej i Litewskiej był zamach na gestapowca. Młody «żebrak» i «grajek» wyjął broń z pudła skrzypiec. Gestapowiec szedł sobie idyllicznie, z rodzinką na spacer. Padł. Ale inni Niemcy wyskoczyli z tramwaju na pomoc. Wtedy osłona zamachowca rzuciła kilka granatów. Było trochę rannych. Grajek zdołał uciec. Ale czemu prowadzono tego bladego chłopca z innej strony,

od Politechniki? I zamachowiec nie wkładałby białej czapki. Omyłka? Czy jakaś inna sprawa?

Elżbieta idzie ulicą Narbutta. Paczka z cukierni dynda jej na palcu. Pomimo wszystko — polska jesień — nie ma rady — słońce! Jesiony są złote. Pomimo wszystko, — czyżby naprawdę! — Elżbieta kocha życie.

— Tadek! A ty tu skąd? Dlaczego nie w biurze?

To szwagier. Ale jak on wygląda? Twarz szara, wzrok dziki, suknia plugawa.

— Co się stało, Tadek?

— Przyszli po mnie. Uciekłem przez kotłownię. Telefonistka z dołu szepnęła mi w słuchawkę: « uciekać! ».

Elżbieta od razu sztywnieje rzeczowo.

— Idź do naszego mieszkania, twoje na pewno obstawione, albo zajęte.

— Dzieci! Lusia...

— Nie poradysz. Może Bóg da. Idź, nie stercz na ulicy.

— Ale słuchaj — powiada — o dwunastej przyjdzie do biura moja siostra, z bibułą, jak co dzień i wpadnie im w ręce. Napewno czekają. Musisz ją zawrócić.

Patrzą na zegarki: dwunasta za dziesięć.

— Już idę. Bądź spokojny. Potem z nią razem przyjdziemy do nas. Tam czekaj.

— Ale czy mnie wpuszczą do twego pokoju?

— Ja uprzedzę. Dowidzenia.

Więc Elżbieta nie skręca już do meliny, tylko telefonuje z apteki. « Państwo będą łaskawi pozwolić poczekać w moim pokoju temu panu, który przyjdzie za chwilę. To nie złodziej, to kuzyn, a nawet profesor, doktor, inżynier... ».

Trzeba na wesoło, żeby nie zmiarkowali. Na mieście takie podniecenie!

Teraz prędko, przed biuro. Ostatni przystanek dziewiątki na Rakowieckiej. Pętla. Elżbieta czeka na przystanku. A

może się rozminęły? Dwunasta. Nie, z tramwaju wysiada siostra Tadeusza. Gruba starsza pani z gospodarskim koszykiem, z którego sterczą marchewki i kapusta. Wszystko jak u ludzi. Dobra gospodyni.

— Wsiadaj z powrotem — mruczy Elżbieta, przechodząc. — Jedź do mnie i nie znaj mnie. Tadek już tam jest.

Zdziwione, krótkie spojrzenie, ale ani słowa. Zawróciła, wsiadła, pojechała. Następnym pojechała Elżbieta.

I tak zaczęli się schodzić oczekiwani, urodzinowi goście.

Tadek otworzył drzwi. — Na litość boską, Elżbieta, przenieś telefon od gospodyni do przedpokoju. Będę próbował dzwonić do moich sąsiadów. Przecież ja nic nie wiem o rodzinie!

Dzwoni. Obie kobiety słyszą przez drzwi, jak Tadeusz pyta:

— « Byli? Już byli? Aha. Syna? Zabrali syna. Zona? Wyszła potem z domu. Dziękuję ».

Wraca do pokoju. Twarz ma ziemistą.

— No, chłopiec jest wykończony — mówi.

Potem siada. Siedzi siostra. Siedzi Elżbieta. I nic. Bo cóż? Jak u ludzi.

Dokąd poszła Lusia? Jak ją tu sprowadzić? Jeśli poszła do biura, to wpadnie. A może będzie mądra i przyjdzie prosto tutaj. Musi być nieprzytomna. Za synem nie widzi świata. Nagle, wszystkim trojgu jednocześnie przypomina się Maryśka. Maryśka! Córka Tadeków, świetna matematyczka. Wróci z pracy do domu, bo o niczym nie wie. Radować!

— Marysiu — telefonuje Elżbieta — przyjdź do mnie na obiad.

— Ależ ciociu — odpowiada głosik — dziękuję, nie mogę, idę zaraz do domu. Wieczorem przyjdziemy do was wszyscy czworo, powinszować Ewie.

— Marysiu — akcentuje Elżbieta dobitnie. — Słuchaj

uważnie. Przyjdź do mnie natychmiast na obiad. Nie — do — domu...

— Jezus, Maria! — krzyknęła niestrożnie. — Już idę. Elżbieta wraca do pokoju. Tadeusz wkłada palto.

— Ty dokąd?

— Do Gestapo. Chłopca wzięli za mnie. Niech mnie wezmą, chłopca wypuszczą.

— Idioto! Ciebie wezmą, chłopca nie puszczą. Masz żonę i córkę. Siedź.

— Idę!

— Poczekaj, ktoś stukła, może Lusia.

Istotnie, żona. Uśmiecha się, wchodząc. U-ś-m-i-e-c-h-a. Twarz z wosku, usta z gumy. Rozciąga tę gumę, rozciąga, rozciąga...

— Muszę być przynajmniej tak dzielna, jak mój syn — oświadcza, siadając, i o nic nie pyta. Potem trochę opowiada. Chłopca wzięli w bieliźnie, wprost z łazienki; pytali o ojca, mówili nawet, że szukali go w biurze, więc tam nie poszła. Obiecali wrócić. — Dom już przepadł, ale to głupstwo.

— Prosiłam, weźcie i mnie. Nie chcieli — dodaje.

— Maryśka zaraz tu przyjdzie — mówi Elżbieta.

— Dziękuję.

Za pół godziny wpada Maryśka. Nigdy nie słyszeli takiego płaczu. Mieli dopiero wszyscy usłyszeć — za rok. Wycie, zduszone wycie, żeby ludzie za ścianą nie słyszeli. Maryśka chce również biec do Gestapo na wymianę. Szaleje. Muszą ją trzymać siłą.

Na to wchodzi Ewa. Urodzinowi goście?! Ale co za twarze? I nikt nie składa życzeń...

Inaczej zareagowała na wiadomość, niż kuzynka. Zareagowała jak przysły chirurg. Radzić! Przede wszystkim wiadomymi drogami sprawdzić, gdzie chłopaka trzymają.

Pawiak, czy Szucha? Potem posłać odzież, potem spróbować nadać gryps.

— Urodzaj na mądre dzieci — uśmiecha się ciepło profesor, doktor, inżynier.

— Nie ma teraz dzieci, stryjkę.

— Ale co będzie z wami? — odzywa się siostra. Nie macie już domu. Zamieszkacie u mnie.

— Tylko, aby nie wszyscy na kupie — decyduje Ewa, — Stryjek zostanie u nas, będzie spał na fotelach. Niestety dziś będzie musiał łaskawie wyjść o piątej na godzinkę i pospacerować po działkach.

Elżbieta podała obiad, to znaczy krupnik z kartoflami. Gmerali łyżkami w talerzach, jedni na cześć drugich. Wreszcie pojawiły się na stole urodzinowe ciastka — siedem — o jedno za dużo. Okna były otwarte. Nikt nie jadł. Nikt nie rozmawiał.

Nagle Tadek pyta niespokojnie: — Czy tu przed domem często stają samochody?

— Dlaczego pytasz?

— Bo właśnie zatrzymał się samochód. — Oho, to źle. Ostrożnie, wszyscy do okien; duży, otwarty samochód niemiecki: trzech gestapowców z karabinami do strzału idzie wprost w bramę.

— To po mnie — szepcze Tadek. — Trafili po nitce do kłębka. Wezmą was wszystkich. Darujcie.

Zostały sekundy. Roleta! Ścierka! Gdzie chować? Jak chować? Za późno. Ewa chwyta ścierkę spod szafy wraz z zawartością i wybiega do kuchni. Tam jest skrzynia z węgłem. Kubel ze śmieciami — może ratunek.

Stuk, stuk, stuk do drzwi. Ale jakoś cicho, nie po niemiecku. Wszyscy stoją nieruchomo, jak przed egzekucją. Już nie ma co. Już nic nie warto. Koniec.

Elżbieta ołowianymi nogami podchodzi do frontowych drzwi. Otwiera...

W drzwiach śliczna młoda buzia i uśmiech. Panna Marta! Rejonowa A. K. Przyszła uzgodnić godzinę dzisiejszej przysięgi. Wie, że w obiadowej porze obie panie są w domu.

— Uciekać! Gestapo — syczy Elżbieta. Marta bez słowa śmignęła schodami w górę.

Elżbieta wraca. Chce zapalić papierosa, nie może. Wszyscy stoją, jeszcze czekają. Nie. Nie. Nie przychodzi nikt.

— Proszę pani! — wsuwa się gosposia przez drzwi. — Dzień dobry państwu. Ładny dzionek na urodziny panienki, pogoda, słoneczko. Tylko, że szkopy poszli do mieszkania tego młodego Michalskiego, co go to prowadzili dziś rano, w białej czapce. Widziałam z balkonu. Już go nie puszcza z łapów, jak przyszli szukać po mieszkaniu. A jego matka akuratnie na letniakach. On tu mieszkał kole nas, na drugich schodach, biedaczyna.

Tak skończył się obiad urodzinowy. Koło czwartej tamci wyszli do siostry, bezdomni i osieroceni. Tadek wróci wieczorem i zanojuje na fotelach. A o piątej zebrało się trzynaście kobiet — znowu urodziny posłużyły za pretekst wobec gospodarzy. Na otwartej napoleońskiej sekretarce, która od tyłu kryła umywalnię, spoczął hebanowy krzyż, oprawny w srebro, pamiątka po przyjacielu, który poległ we wrześniu 1939. Szereg stanął na baczność. Każda po kolei zbliżała się i powtarzała za Komendantką:

« W obliczu Boga Najwyższego i Najświętszej Marii Panny kładę rękę swą na ten Święty Krzyż i przysięgam wierność Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej. Przysięgam stać na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli — walczyć... ».

C I E Ń

Stefanowi

— Mamo, idę do Tereski na imieniny — oświadczył Jędrek.

Prawda! To dziś piętnasty października, przypomniała sobie pani Kazimiera.

— Idź, syneczku, — powiedziała — tylko się nie spóźnij do domu. To tak daleko, a tramwaje pełne pod wieczór.

— O, nie, ja wrócę dopiero jutro rano. Tam będzie kilka panien i jakichś dwóch nowych znajomych Teresy, podobno morowe chłopcy, jeszcze ich nie znam. Puścimy sobie kilka starych płyt, wyżerka też będzie zacna.

— Gdzież przenocujecie? U panny Teresy tak ciasno..

— Głupstwo. Panny z matką w sypialni, a my pokój na podłodze w stołowym, kupą gości panowie.

— A.. a czy nie byłoby lepiej, gdybyś wrócił dzisiaj, syneczku?

— Nie! — krzyknął nagle Jędrek, nie wiadomo dlaczego tak głośno. — Przestań się już raz o mnie niepokoić. Cały dzień strugam te buciory, przyklepuję fleki, wycinam zelowy. Mam dość! Każdy szewc chce być czasem człowiekiem!

Matka chciała się uśmiechnąć, ale łzy podplynęły do gardła. Szewc. Tak, szewc. To pożyteczne zajęcie, owszem, ale Jędrus miał być oficerem marynarki...

Jędrus wypucował swoje jedyne buty (narciarskie, póciotce), oczyścił na sobie ojcowskie szare ubranie, do którego zdążył już dorosnąć przez te cztery lata wojny, spojrział do lustra, stwierdzając po raz setny, że niestety jeszcze nie ma co golić, przylizał czuprynę odłamkiem babcinego grzebyka — i zaklął:

— Psia... Gdybym miał białą jedwabną chusteczkę do kieszonki, byłbym elegancki, a tak — szewc.

— Pocałuj mnie na dowidzenia, syneczku — szepnęła łzawo pani Kazimiera.

Jak ona umiała wymawiać słowo «syneczku»! Zdałoby się, ot, kilka syczących, niezdarnych liter, ale nie, to był obłok płatków różanych. Falował, otulał, różowiał, dymił wonią, sięgał niebios. Sy-necz-ku.

— Ach, te baby! — burknął Jędrus z tłumioną, męską serdecznością. — Daj pyska.

Wiedział, że w stołowym czekają go jeszcze trzy rodzinne pocałunki: babki i dwóch sióstr. Więc szybko okrążył duży stół, cmoknął trzy razy, (pobiegły za nim słowa Basi: — Baw się dobrze, Andrzej! — Babci: — Uważaj na siebie, najmilszy! i Małej: — Serwus, stary! — Mała dodała jeszcze zakochane spojrzenie, brat był jej pierwszym Idealem), narzucił zieloną kurtkę w przedpokoju, trzasnęła drzwiami i gwizdząc, wybiegł na schody.

Jeszcze nie zdążył zbiec na drugie piętro, kiedy do padła go zdyszana matka.

— Marsz! Weź to! Ostatnia chusteczka tatusia i ostatnia kropla jego perfum. Ale miej przyjemność, syneczku.

Sama zatknęła mu biały płatek do kieszonki szarej marynarki, rozwinąwszy jedwab ślicznie, jak wachlarzyk, jak puszysty bukiet, wykwintnym ruchem dawnej elegantki.

— Matka musiała być kiedyś bardzo ładna — mignęło Jędrkowi w myśli.

— Fajna jesteś, mama, dziękuję! — zawołał i pobiegł dalej. Na pierwszym piętrze obejrzał się błyskawicznie i spojrzał w górę. Stała tam jeszcze. Wtedy zauważył, że z tej odległości wygląda jak smukła dziewczyna, przegięta przez tę poręcz schodów, niby gałąź wiśni, zmęczona obfitością białego kwiatu. — « Włosy białe, ale twarz różowa » — pomyślał Jędrak — « a przecież matka od czterech lat jest głodna ».

— Do widzenia, kochana! — krzyknął rozczulony nagle i trzasnął drzwiami na dole.

Pani Kazimiera powoli, ciężko — na tych swoich lekkich, chudych, smukłych nogach, obutych w drewniaki — weszła na trzecie piętro i zawarła za sobą drzwi mieszkania głucho, niby wieko trumny. Całą noc go nie będzie. Trzeba wytrzymać do rana.

Rodzina siedziała w stołowym, reszta dużego mieszkania była odnajęta i chwilowo pusta. Babcia skrobała nad stołem kartofle na kolację, Babcia — Święta Salomea z witrażu Wyspiańskiego; Baśka, złotowłosa i modrooka, portret ojca, wiązała sieci rybackie ze sznurka zwiniętego w kłębek. Pięćdziesiąt złotych za dzień pracy, fantastycznie wysoka zapłata, akurat obiad dla rodziny: kilo końskiego mięsa. Mała, o bladej, dwunastoletniej twarzyczce jak kamea, o czole młodego Archimedesza, przepisywała słówka angielskie z taką miną, jakby zgłębiała tajemnice kosmosu. Angielski jest zakazany, ale zaprzyjaźniona sublokatorka uczy Małą darmo codziennie i twierdzi: genialne dziecko. To samo mówi ciotka po każdej lekcji łaciny. To samo utrzymuje sąsiad inżynier, który za matczyne cerowanie skarpetek daje Małej lekcje matematyki.

— Małej trzeba kupić książek — myśli pani Kazimiera — Jędrus musi chodzić na komplety politechniki,

Basia musi odpocząć i kupić palto na zimę, nie możemy zjadać jej młodości. Babcię trzeba leżyć! — Troski te, co dzień jednakowe, przewalają się w sercu, jak szorstkie kamyki. Paczki dla męża! No, to już kamień najcięższy. Komu odjąć kilo słoniny miesięcznie? Zapracowanym dzieciom, czy mężowi w Murnau? Pani Kazimiera siadła przy stole i zabrała się do czarnych, dziurawych skarpet inżyniera. Ciemno. Nie można przysunąć karbidówki, bo dzieciom będzie niewygodnie.

— Czemuś ty taka różowa, mamusiu? Nie masz gorączki? — zagadnął mały Archimedes znad kajetu angielskich słówek.

— E, nie, zresztą nie mam termometru.

— Musisz już przestać jeździć do Łowicza — zatroskała się Babcia. — Coraz zimniej na dworze, połowa poździernika.

— Jakto? Jakże mogę nie jeździć do Łowicza? Dzieci będą na mnie pracować? Wczoraj kupiłam nici i guzików za pięćset złotych, sprzedam w Łowiczu, zarobię, przywiozę stamtąd mięsa, pošlę Stefanowi suchej kielbasy...

— Ech, mamu, znowu niemcy wszystko Ci zabiorą w wagonie — stwierdziła Basia. — Raz już wreszcie puść na szmugiel mnie! Ja sobie nie dam zabrać towaru. Ty, mama, nie jesteś przyzwyczajona do życia. Skądże? Dziadkowie mieli pałacyk, tatuś był pułkownikiem...

— Jest! — poprawiła ostro matka.

— No dobrze, jest. Ale pułkownik za kratą, to tylko jeniec.

— Bił się pod Kutnem! Był ciężko ranny! Basiu, jak możesz?...

— Mamu, po co żyć fikcją? Twoje pokolenie lubuje się w fikcji. Tamto wszystko jest przeszłość, a na dziś pozostaje fakt, że « pani pułkownikowej », wychowanej w puchu, niemcy odbierają towar, że wracasz z Łowicza pół

żywa, wydajesz na tę frajdę ostatnie grosze, potem masz gorączkę, a my mamy figę. Pozwól pojechać mnie! Zobaczysz, przywiozę masła, sera, mięsa, tatuś dostanie pomoc zamiast legendy.

— Za nic w świecie! Trafisz do Treblinki, porwą cię na roboty...

— No, to klepmy bidę, — zrezygnowała Basia. — Jak to niewygodnie, kiedy matka jest «z lepszego domu».

Istotnie, dom był ongiś «lepszy». Świadczyły o tym rzeźbione mahonie rodzinne, które, siwe od kurzu, stały pod ścianami jadalni i których nikt teraz kupić nie chciał.

Zapadła pracowita, ponura cisza. W półcieniu wieczoru i chłodzie października cykał wielki, staroświecki zegar na ścianie. Zegar, który na tym samym miejscu dzwonił był ćwierć wieku temu — w 1918-tym — na wesele prześlicznej panny Kazimiery Herburtówny ze świetnym oficerem, rotmistrzem Wiśniowieckim. Potem wydzwaniał jedne narodziny, drugie, trzecie. Wreszcie wydzwonił wojnę, rozstanie, nędzę. A teraz...

Teraz po prostu chrypnął i zaczął wystukiwać siódmą. Babcia porwała się z krzeselka. — Pora rozpalać pod płytą — szepnęła rażno.

W tej samej chwili w przedpokoju zachrobotał klucz w zatrasku i do jadalni wpadła lokatorka. Nie idąc do swego pokoju, zwała się, dygocząca na puste, jędrusiowe krzeselko przy stole.

— Boże, Boże — bełkotała bez związku.

— Co się stało? — skoczyły ku niej wszystkie.

— Egzekucja była na ulicy Piusa...

— Na ulicy? — zbladła Basia. — Tego jeszcze nie bywało!

— Jędre! — krzyknęła matka.

— Jezu, ratuj! — zaszepiała babcia.

— Mamo, przecież Jędrus pojechał Dwójką na Czernia-

ków, — stwierdziła rzeczowo Mała, obejmując matkę.

— Obstawili wojskiem ulicę Piusa od Kruczej do Marszałkowskiej... przyjechały jakieś zakryte ciężarowki... potem była salwa... ja szłam Koszykową, ale słyszałam strzały... uciekłam stamtąd... ale już całe miasto mówi, że rozstrzelali kilkadziesiąt osób... pod murem dawnej ambasady niemieckiej... na mieście był taki ruch... bo to dziś tyle imienin, choć wojna... teraz ludzie poszaleli od tych strzałów... na ulicach zupełnie pusto, tylko patrole co krok...

Basia podała szklankę wody lękającej lokatorce, babka nie poszła gotować kolacji, modlono się głośno, nikt nie spał do północy, wreszcie dziewczynkom kazano iść do łóżek, babcia zadrzemała na fotelu, lokatorka poszła do siebie. Pani Kazimiera oparła głowę o stół i skamieniała do rana.

Rano Jędrak nie wrócił.

Dziewczynki od świtu chodziły na palcach, lokatorka pobiegła na lekcje i po wiadomości, babcia jak zwykle, poszła na ranną mszę. Pani Kazimiera zaczęła sprzątać. Twarz miała szarą, zęby zaciśnięte. Froterowała tak, jakby miała przebić podłogę aż do drugiego piętra. Nikt nie powiedział ani słowa.

O dziesiątej wróciła lokatorka i od razu zamknęła się w swoim pokoju. Potem przyszły dwie kuzynki, potem jeszcze jedna; obsiadły ciasno panią Kazimierę i powtarzały, że nie należy, broń Boże, wychodzić z domu, że lepiej czekać na Jędrka w mieszkaniu. Pani Kazimiera siedziała nieruchomo i patrzyła w drzwi przedpokoju.

W całym mieście od rana brzmiały głośniki. Spokojny, obiektywny głos informował po polsku, że wczoraj, 15-go października 1943 r. o godzinie 18-tej, rozstrzelani zostali polscy bandyci « stojący » na służbie Moskwy i Londynu. Padło kilkadziesiąt imion, nazwisk, dat, adresów. Potem

głośnik dodał rzeczowo: « Dla zapobieżenia dalszym ekscesom zaaresztowani zostali przewencyjnie zakładnicy spośród mieszkańców Warszawy, w ilości trzydziestu, którzy mogą być ułaskawieni, jeśli ludność zachowa się spokojnie. Nazwiska zakładników są następujące:

«
.
.
. »

Trzynaste nazwisko brzmiało: « Andrzej Wiśniowiecki, ur. w 1922-gim, zamieszkały w Warszawie, Smolna 81, m. 5. ».

Głośniki powtarzały to samo co kwadrans, miarowym, spokojnym, monotonnym głosem. Ludzie — słuchając — odchodzili od zmysłów. W jadalni na Smolnej cierpliwe kuzynki pilnowały, żeby pani Kazimiera nie wyszła na ulicę.

— Jędrus może wrócić lada chwila, nie możesz wychodzić z domu.

Słyszała? Nie słyszała? Nie wiadomo. Ale na ulicę nie wyszła i patrzyła uparcie i tępo w drzwi przedpokoju. Patrzyła tydzień.

Po tygodniu głośniki umilkły, a po dwóch tygodniach odezwały się na nowo:

« ...Trzydziestu polskich bandytów, wziętych na zakładników dnia 15-go października, zostało rozstrzelanych wczoraj o godzinie 12,30... ».

Cała Warszawa już wiedziała gdzie. Na Młynarskiej, koło remizy.

« ...Nazwiska ich są następujące:

.
.
.
. »

Trzynaste nazwisko brzmiało: « Andrzej Wiśniowiecki, ur. w 1922-gim, zamieszkały w Warszawie, Smolna 81 m. 5. ».

Po czym znowu kilkadziesiąt nazwisk nowych zakładników. Głos blaszanej tuby powtarzał te słowa co kwadrans na każdym rogu ulicy. Ludzie szaleli. Nigdzie nie było schronienia od tego głosu. Pod ziemię! Do piekieł! Byle już przestać słyszeć...

Po tygodniu głośniki umilkły.

Natomiast pojawiły się na murach wielkie amarantowe afisze. U góry nazwiska nowych rozstrzelanych, niżej nazwiska nowych zakładników. Miejsca egzekucji Warszawa znała sama: Kopińska, Aleja Niepodległości, Aleje Jerozolimskie, Aleje Ujazdowskie, Nowy Świat, Puławska...

Miasto żyło w obłędzie.

Pani Kazimiera również.

Teraz dopiero biegła po ulicach jak szalona, wysiedziawszy w domu bite trzy tygodnie. Przystawała koło każdego czerwonego afisza. Nie! Nie ma nazwiska Jędrka. Więc na pewno żyje. Tylko zaaresztowany. Sprawdziła, że istotnie z domu Tereski wzięto wszystkich, nawet dozorczynię. Dlaczego? Za co Nie wiedział nikt.

Ratować. Nie było sznurka, którego by pani Kazimiera nie pociągnęła; nie było guzika, który wahałaby się nacisnąć. Obrączka ślubna poszła na groszową łapówkę, więcej pieniędzy nie było. Kto mógł z przyjaciół — pomagał. Udawał, że pomaga. Wreszcie niektórzy zaczęli wierzyć w wiarę matki. Może się przesłyszeli, wtedy? Zresztą, wiadomo było ogólnie, że czasem niemcy podają na liście rozstrzelanych tych, których biorą do « obozów milczenia », albo do tajnych fabryk broni.

Basia słyszała głośnik na własne uszy. Powiedziała babce i Małej. Babka — usłyszawszy — poszła do kościoła; Mała — usłyszawszy — zamknęła się w łazience na całą godzi-

nę. Po czym, już dorosła, wyszła spokojnie z tej łazienki i stała się natychmiast wiernym psem matki, najpokorniejszym, nieodstępным paziem matki. Ojcu do Murnau doniesiono zwykłym szyfrem warszawskim: « Jędrus ciężko zachorował ». Ojciec odpisał: « Leczyć! Leczyć! Wziąć najlepszych doktorów ». Zdawało się osieroconym, że aż tu, w Warszawie słyszą jak ojciec szarpie i gryzie kratę.

Nagle w grudniu, do drzwi kuchni zastukał niespodziewany gość: dozorczyńni z domu Teresy.

— Wypuścili mnie dopiero co z Pawiaka — mówiła zdyszana, a wszyscy wstrzymali oddechy. — Do czysta nas wtedy wybrali, całą willę, jak idzie. Panią starszą, pannę Tereskę, pana Jędrusia i wszystkich gości, co przyszli na imieniny. A cała bida bez tych dwóch nowych panów, co to ich panna Tereska poznała nie wiadomo gdzie i na swoje nieszczęście zaprosiła do domu. Żandary wpadły podczas kolacji, dziesięciu ich było. Kazały nam się położyć na podłodze, kupą, jedni przy drugich, strzelali nam nad głowami, przewróciły calutki dom do szczytu. Całą noc żeśmy tak leżeli, jak te psy. Potem samochód i jazda na Pawiak. Dopiero w śledztwie wyszło, że te dwa obce chłopaki to z Anglii zeskoczyły, spadochroniarze, znaczy się. Panią i panienkę gdziesik szkopy z Pawiaka wywiezły, mnie jedną wypuściły, bo cóż, ja jestem dozorczyńni, nie z tego mieszkania, a tych dwóch chłopców i pana Jędrusia...

Mała nastąpiła mocno na nogę mówiącej.

— Wiemy, wiemy, proszę pani, angielskich spadochroniarzy niemcy zawsze wywożą w głąb Rzeszy, do podziemnych fabryk broni.

Minęło kilka tygodni. Jakaś zaprzyjaźniona Włoszka poszła do Gestapo pytać o Jędrusia i tam pokazano jej krzyżyk na liście, przy nazwisku « Wiśniowiecki ». Ukryła tę wiadomość. Jadalnia na Smolnej wyglądała teraz jak wnętrze

katakumby. Półciemna w trupim blasku karbidówki, lodowato zimna. Na brzeżku stołu pracują dziewczynki, babka ścibie skarpetki inżyniera. Na otomanie siedzi posąg pani Kazimierzy: zastygła, żółta rzeźba twarzy, biała fala włosów. Milczenie. Czasem słowa:

— Zrobiliśmy wszystko. Jędrus wróci na pewno.

Do Łowicza nie jeździ już nikt. Basia objęła rządy domu i wiązaniem rybackich sieci zarabia na wszystkich. Odwiedzający wychodzą prędko, po czym na ulicy gryzą palce, żeby nie krzyczeć.

Aliści, w głębi zimy stał się cud.

Zaprzyjaźniona Włoszka przyniosła wiadomość, że inspektorem więzień i obozów w całej Rzeszy, został mianowany niejaki sędzia Arnold Löwe, staruszek, wiedeńczyk, podobno nie hitlerowiec i przyzwoity. Jest właśnie w Warszawie, więc możeby...

Na to krzyknęła babcia: — Arnold Löwe?! Dzięki Bogu! Przecież to przyjaciel mego nieboszczyka męża! Razem zaczęli politechnikę w Wiedniu, a potem Löwe przeniósł się na wydział prawniczy...

Ratunek! Nazajutrz pani Kazimiera zastukała do drzwi prywatnego mieszkania pana sędziego Löwe.

— Inżynier Herburt? Ojciec Pani? Jawohl, jahwohl! Byliśmy w przyjaźni. Niech Pani siada, zrobię wszystko co będę mógł. Syn wzięty podobno razem ze spadochroniarzami? O, to bardzo źle. Ale przynajmniej wiem, gdzie mam szukać. Jadę wkrótce na inspekcję, poszukam syna, tak, tak, dam Pani znać.

Po dwóch miesiącach istotnie dał znać. Wezwał panią Kazimierę karteczką do swego mieszkania, usadził na kanapie, chciał poić koniakiem. Widać było, że wstydzi się swego munduru i wszystkich spraw jego.

Mówił tak: — Widzi pani, ja jestem wiedeńczyk, przy-

jaciel ojca Pani. Proszę zrozumieć: nawet ja, inspektor więzień nie wszędzie mam dostęp. O, nie wszędzie. Są więzienia specjalne. Ale trafiłem, tylko dla Pani, do jednego miejsca nad Renem. Tam więźniowie żyją pod ziemią. Jakaś fabryka. Robotnikami są spadochroniarze angielscy, bo robota jest ciężka. Dozorcy tamtejsi — tylko S.S. — nie mają prawa brać urlopów, nie wolno im nawet pisywać do rodzin w Rzeszy. Pytałem w kancelarii o nazwiska więźniów. Okażało się, że nie wolno mi o to pytać. Więc bardzo ostrożnie zagadnąłem jednego ze strażników, miałem przy sobie najlepsze cygara. Owszem, jest kilku Polaków więźniów. Strażnik nie chciał zdradzić mi ich nazwisk. Rozmawiałem bardzo dyplomatycznie, obojętnie, zdawkowo. I wreszcie — niech pani słucha!

Pani Kazimiera szarpnęła wzrokiem usta mówiącego.

... — i wreszcie, proszę pani, wymieniłem nazwisko « Wiśniowiecki ». Czy jest tu taki? Strażnik nie odpowiedział. Nie odpowiedział nawet mnie, mnie, inspektorowi Löwe! Ale, ale — niech pani słucha! — Na dźwięk nazwiska « Wiśniowiecki », po twarzy strażnika przemknął cień. *Cień!* Cień zrozumienia, potwierdzenia, uśmiechu. Nie, nie potwierdził, ale na twarzy miał cień... cień... rozumie Pani?

Pani Kazimiera biegła do domu. Ulice lśniły srebrnym puchem. Po schodach przeleciała smukła, młoda, różowa, przesłiczna. Wycalowała dziewczynki, podziękowała Basi, zapytała o postępy Małej, o zdrowie Babci. Wesoło wyfroterowała mieszkanie. Nazajutrz pojechała do Łowicza, dobrze sprzedała galanterię, kupiła żywności i nie dała sobie nic odebrać w wagonie. Mężowi do Murnau posłała obfitą paczkę i list, pelen miłości. Napisała: « Jędrus już zdrowszy... ».

W domu na Smolnej zakrólował Cień.

I króluje do dnia dzisiejszego.

STRZELEC

Bynajmniej nie z chrześcijańskiego miłosierdzia chodziłam co wieczór odwiedzać Renatę, która od początku wojny, czyli od dwóch lat, leżała w łóżku, chora na paraliż nóg, po wstrząsie nerwowym, doznanym w czasie wrześniowego bombardowania.

— Wiesz dlaczego przychodzę? — mówiłam jej szczerze. — Po prostu dlatego, że w Warszawie nie ma teraz żadnych rozrywek, a rozmowa, z tobą zastępuje mi kino i najlepsze komedie w teatrze Małym.

Na to Renata śmiała się wesoło, twarzą starą, chorą i brzydką.

Od jakże dawna znam tę twarz? Od lat — bodajże — dwudziestu.

Kiedyś, za młodu, usiadłam z narzeczonym przy stoliku modnej restauracji, opodal zaś, przy drugim stoliku, zobaczyłam Renatę z jej młodym podówczas mężem. Mój dobry humor zgasł natychmiast: akurat chcieć dobrze wyglądać i znaleźć się obok takiej piękności, jak Renata! Pech. Owa Renata miała morelowe policzki, właśnie tak rumiane i puszyste jak dojrzała morela, wielkie oczy z błękitncj emalii, włosy popielate jak księżyc, perły lśniące jak zęby. Śmiała się zaraźliwie, ale dyskretnie, bo — jakże — naie-

żała przecież do tak zwanych « najwyższych sfer » arystokracji.

Dlatego też przez następne dwadzieścia lat, nie pchałam się, żeby podtrzymać znajomość, nawiązaną przypadkowo i przelotnie. Dochodziły mnie tylko słuchy: « wielka fortuna na kresach », « rekord w strzelaniu do głuszców », « pierwsza nagroda na balu mody », « podróż naokoło świata » i t. d. Uśmiechałam się na to z pobłażaniem, może z ironią.

A teraz jest trzeci rok wojny i mój nędzny pokoik w Warszawie. Cóż się okazuje przypadkiem? Że w niedalekiej kamienicy, na pierwszym piętrze są podobne trzy pokoiki, w nich trochę, byle jakich mebli, łóżko, a na łóżku — Renata. Pobieglam zaraz. I już nie mogłam nie biec codziennie.

Anegdoty z całej kuli ziemskiej i we wszystkich językach, dowcipy najlepszej próby, codziennie świeże wiadomości polityczne, szampański humor, gorzka nędza, nikogo z rodziny, zupełne opuszczenie przez dawny świat, i czarująca, kmicicowa fantazja.

Wypiłyśmy « bruderszaft », zaparzywszy składkowo małą łyżeczkę prawdziwej herbaty. Ale nie mogłyśmy się pocałować. Na kołdrze Renaty leżał bowiem zawsze i co dzień, niezawodny i nieodzowny, bury, żebrowaty, wyleniały i zakochany — buldog. Nawet nigdy nie podałyśmy sobie ręki, bo pies nie pozwalał na to. Wchodziłam i siadałam na fotelu w odległości trzech kroków od łóżka. Bull oglądał mnie bacznie, przyzwalał i zasypiał. Po pewnym czasie, przyzwyczaiał się do codziennego gościa, więc Renata mogła mi już podawać dzisiejszy komunikat radiowy, który wyciągała spod poduszki, a ja zaś mogłam czasem rzucić jej na kołdrę pęk zielonych gałązek, przyniesionych z podmiejskiego spaceru.

Owe komunikaty radiowe były jedyną nielegalszczy-

zną, jaką zauważyłam w tym domu. Nie pytałam skąd pochodzą, chociaż ich świeżość i regularność była zastanawiająca. Po prostu przypadek, nic innego, skądże, kobieta jest ciężko chora, prawie nieruchoma.

Zwykle przychodziłam koło siódmej wieczór, ale kiedyś pociągnęło mnie do Renaty wcześniej, chyba koło szóstej. Byłam tego dnia szczególnie zmęczona orką domową i organizacyjną, miałam ochotę posłuchać anegdota Renaty, tak jak się ma ochotę odpocząć w kinie. Drzwi kuchennego wejścia, którymi czemuś wchodziłam zawsze, otworzyła mi jak zwykle Apolonia, niemłoda, ulizana, czyściutka, ideał służącej ze stowarzyszenia Świętej Zyty, w jednej osobie pielęgniarka, kucharka, cerber i przyjaciółka chorej. Wydało mi się, że tym razem Apo'onia nie jest mi rada.

— O, pani dziś tak wcześniej? — powiedziała niby gościnnie, ale kwaśno.

W sypialni, jak zwykle, leżała samotna Renata, w nogach na kołdrze — pies. Pies nie spał, nasłuchiwał. Z jadalni dochodziły męskie głosy, ostrożne, jakby tłumiące słowa. Głosów tych Renata mi nie skomentowała, opowiedziała tylko coś zabawnego zbyt głośno i zbyt wesoło, wobec czego zaczęłam się żegnać. Wtedy powiedziała krótko:

— Nie przychodź nigdy wcześniej, niż o siódmej.

Więc nazajutrz przyszedłam o siódmej, chociaż godzina policyjna obowiązywała wtedy już od ósmej, a moje wizyty u Renaty zawsze wydawały mi się za krótkie. No, ale mieszkałam tak blisko. Tym razem Apolonia była czuła, Renata swobodna, pies spokojny. Zgadło się o nowej książce Maritaina, tłumaczącej niejako upadek Francji: « A travers le desastre ».

— Podobno kursuje po Warszawie przekład w odbitkach, ale nigdzie nie mogę tego dostać — powiedziałam.

— Wejdz cichutko do jadalni i wez to sobie z kredensu — odrzekła Renata. — Leży między szóstym a siódmym talerzem z prawej strony.

— O!! Dziękuję. — Ruszyłam ku drzwiom jadalni.

— Tylko mi nie obudź Pawełka, — dodała Renata. — Ma dziś gorączkę, położył się wcześniej.

— Przechowujesz tego Żydka? — zapytałam cicho, dziwiąc się w myśli, że nigdy go nie spotkałam, przychodząc tu przecież co dzień od kilku miesięcy. — Wiem, że jesteś odważna, Reniu, ale boję się o ciebie.

Na to Renia zaniósła się takim śmiechem, jakby zapomniała o śpiącym Pawełku. Śmiała się, śmiała i śmiała. Buldog podniósł pysk, spojrzął z ukontentowaniem na wesołość ukochanej, merdnął ogonem po kołdrze, sprawdził moją obecność i znowu schował gruby nos pod krótki ogon. Przyniosłam sobie z kredensu podziemne wydanie *Maritaina*. Czarna główka, śpiąca na poduszkach otomany, była ładna, ale mogła reklamować semickość na odległość kilometra.

— To przecież syn mojej przyjaciółki — wróciła do tematu Renata. — I raczej on mnie przechowuje, niż ja jego. Mieszkanie i meble są Meyerów.

Winszuję. Żydowskie mieszkanie, żydowskie meble, żydowskie dziecko, męskie głosy do siódmej, komunikaty pod poduszką, *Maritain* między talerzami. Ile razy kara śmierci?

— Ja? Najlegalniejsza osoba pod słońcem — mawiała wesoło Renata. — Cóż ja? Starsza pani na tak zwanym łożu boleści, nazwisko jedno z pierwszych w Europie i w dodatku brzmiące z niemiecka. Czyż nie wiesz, że arystokracja na całym świecie jest ugodowa? Posłuchaj, opowiem ci, jak flirtowałam za panieńskich czasów z włoskim następcą tronu. Więc była wiosna na Sycylii, willa w Paler-

mo, migdały kwitły różowo, a ja nosiłam błękitny szal do koloru morza...

Którejś niedzieli przyszedłam po obiedzie. (W niedzielę było mi pozwolone wchodzić już od trzeciej). Stukam, nikt nie otwiera. Przychodzę wieczorem po raz drugi, otwiera Apolonia, szepcząc różaniec.

— Słyszałam po południu stukanie od kuchni — przywitała mnie Renata, — byłam pewna, że to ty, ale nie miał kto otworzyć; ja nie mogę wstać, Pawełkowi nie pozwalałam otwierać drzwi, bo nigdy nie wiadomo kto stuka, a Apolonia tak późno zaniósła obiad, bo goście przeszkodzili.

— Komu zaniósła obiad?

— No, komużby? Meyerowej. Ukrywa się niedaleko, obiady nosi jej Apolonia codziennie.

— Aa.. rozumiem. A jacy byli goście?

— Gestapo. Pytali o Meyerów. Pawełek przykucnął za wanną, nie weszli do łazienki, choć bardzo węszyli po pokojach. Współczuli mi uprzejmie, że jestem chora, mówili, że są pewni, iż to mieszkanie i meble kupiłam, uważasz, jeszcze przed wojną, niestety jednak słyszeli, że moja gospośnia chodzi: gdzieś z menażkami. Jeśli przypadkiem do Meyerowej, to radzą mi nie bawić się w takie rzeczy, bo będzie źle.

— A co ty na to?

— Obraziłam się. Osobę tak błękitnej krwi posądzać o stosunki z Żydami, to doprawdy trochę za wiele.

— I poszli?

— Poszli. Obiecali wrócić. Naturalnie Apolonia czym prędzej w ich ślady, tym razem z rondelkiem pod chustką. Całe szczęście, że dziś kapusta na obiad, to spóźnienie nie zepsuło smaku.

Tak, na obiad bywała u Renaty kapusta, kasza, kartofle,

sławne niemieckie « trzy K ». Renata wyglądała jak szkielet.

— Ważę tyle, ile przyzwoity indyk na wielkanocnym stole w moich ongiś Brzezinach, za dobrych czasów, kiedy strzelałam głuszce i nigdy nie miałam « pudła » — śmiała się.

Ja się dziś nie śmiałam. Przyszłam odpocząć, zupełnie wyprana z sił. Organizowanie kuchen dla przyszłych powstańców nie było bowiem najłatwiejszym z zajęć w ówczesnej Warszawie.

— Czegoś ty dziś taka zdechła? — zagadnęła serdecznie Renata.

— Bo już nie mogę, nie dam rady!

— Hni... a może jabym ci dała jaką radę? — uśmiechnęła się figlarnie Renata, patrząc badawczo i sprytnie.
— O co chodzi?

— E, za długo by gadać, — machnęłam ręką.

— To powiedz w dwóch słowach. Co ci dolega?

— W dwóch słowach? Owszem. Wieprz i studnia.

— Aha! To tak? — parsknęła Renata. — Znamy swoich ludzi! Więc słuchaj: zrób tak, jak ja. Studnie wykop sobie w klasztorze, albo u ogrodnika, a wieprze hoduj u dozorców. Ja już mam dwie studnie i czworo prosiąt. Do terminu zdążymy utuczyć.

A to co? Czyżbyśmy pracowały w tej samej komórce? Przecież tu leży sparaliżowana kobieta! Milczałam, tylko myśli migwały mi w mózgu, jak kiepski film. Wreszcie zapytałam sucho:

— Jaki rejon? Jaki obwód?

— Arabska jedyńska przez rzymską jedynekę.

Czyżby największa kuchnia Śródmieścia?

— Ile personelu?

— Trzydzieści.

— Jaki litraż?

— Dociągniemy do trzech tysięcy.

Fiuu! To już jestem w domu.

— Przepraszam, Renata, czy może przypadkiem mam przyjemność z panią Pieškiewicz?

— We własnej osobie.

— Witaj, sławna a niewidzialna Pieškiewicz! No, to bierz mnie za uczenicę, ucz mnie, ucz, człowieku, przecież o tobie cuda opowiadają! — krzyknęłam, aż zdziwił się pies. — Jak ty to robisz z łózka?

— Mahomet nie może przyjść do gór, to góry przychodzą do Mahometa. Moje dwie zastępczynie są tu co rano a potem wykonują, co każę.

Odtąd codziennie brałam lekcje, a zapasy przyszłych kuchen wojskowych Mokotowa rosły bogato, według wskazówek sławnej kierowniczkii największej kuchni Śródmieścia. Wiedziała gdzie najlepiej kupić prosięta, jak je przewieźć ze wsi i gdzie schować w Warszawie; wiedziała jak po oficjalnej cenie kupić drożdże i gdzie je sprzedać na czarnym rynku, żeby zarobić na cukier; wiedziała, która suszarnia jarzyn przyjmie tonę cebuli, nie pytając o niemieckie pozwolenie i nie dziwiąc się ilości; wiedziała nade wszystko, jak bez pieniędzy zdobyć tysiące papierosów. Wkrótce zapasy były gotowe, nie tylko na trzy dni przyszłego powstania, jak kazano, ale nawet... na sześć.

— I zawsze pamiętaj: — uczyła mnie swego katechizmu Renata — że najwartościowszy w Polsce jest szary człowiek. Przede wszystkim, pracuj z nimi. Najwyższa klasa to kolejarze i tramwajarze, potem dozorczy. Jeśli się trafi dozorca bydlę i pije z niemcami, to umarł w butach, ale jeśli jest nasz, to już czyste złoto.

Od czasu wzajemnego « zdjęcia przyłbicy », nie krępowaliśmy się już w słowach ani zwierzeniach.

— Słuchaj, cudotwórco — mówię kiedyś — mam zwały papierzyków, bo przecież żądają, ode mnie rapor-

tów, rachunków, ewidencji. Już nie wiem gdzie to wszystko chować.

— Przyszłę ci mego pana Jasia, genialny stolarz, wie takie rzeczy potrafi.

Za tydzień miałam skrytkę, buzi dać.

Kiedys z kolei Renata wystąpiła z prośbą: — Znajdź mi trzy niewinne staruszki.

— Czy muszą być dziewice?

— Właśnie, żeby żadnej skazy na opinii i żeby przeszyste adresy.

— Czy chcesz te adresy splugawić?

— Uhu.

Skrzynka dla szyfrowej korespondencji z polskimi robotnikami w Rzeszy, pracującymi w niemieckich fabrykach broni. Sprawa bardzo delikatna i już bardzo skrwawiona. Główną skrzynką była teraz Renata, potrzebowała pomocniczych adresów.

— Ostrożnie wariatko! — prosiłam — Już za dużo tego.

— Czy uważasz, że brak mi czasu? I cóż może być mniej podejrzanego, niż jaśnie szkielet w łóżeczku?

O, to bynajmniej nie było wszystko. Powoli zrozumiałam, że męskie głosy w jadalni, to tygodniowe zebrania komendy wojskowej, że te panienczki, na które niechcący kiedyś wpadłam w kuchni, to codzienny kołportaż wiadomości radiowych. A dlaczego nie wolno mi przychodzić we czwartki? Domyśliłam się sama. Czwartek to najruchliwszy dzień kołportażu gazetek, a zwłaszcza « Biuletynu ». Renata ma widocznie hurt, a te rozświergotane pensjonarki, które co czwartek wychodzą z jej bramy — jak zauważałam mimo woli, lecz wielokrotnie, mieszkając tak blisko, — to nikt inny, tylko « detalistki ». Jak jej pozwalają łączyć tyle rzeczy? — zastanawiałam się często. Widocznie po prostu jedni nie wiedzą o drugich, a Renata wierzy święcie w magię swego nazwiska i parawanik choroby.

Któregoś wieczora zwrociły moją uwagę dwa głosy, kobiecy i męski w małym, zwykle pustym gabinecikū, sąsiadującym z sypialnią chorej.

— Wynajęłaś gabinet, Reniu? — zapytałam bezmyślnie.

— Na kilka tygodni, — odrzekła. — To państwo Zielińscy, ślusarz i jego żona. Jadą do Hamburga i tu pobierają lekcje sabotażu, bo instruktor ma blisko.

Kiedyś spotkałam tę panią «Zielińską» w kuchni, gdzie grzała zupę dla siebie i męża. Kobicinka szara, ci-dhutka i uprzejma, mówiąca polszczyznā Woli.

— Patrz! — pochwalila się wkrótce Renata — jaki mam prezent dla moich Zielińskich, niestety już w niedzielę jadą. Dla niego pudełko do papierosów, dla niej zakopiańską szkatułkę do szycia.

Śmignęła chudymi palcami, coś przycisnęła, odskoczyło podwójne denko, ukazując maleńką skrytkę. Szkatułkę ukłuła szpilką. w jakieś tajemnicze miejsce, znów odskoczył kawałek drzewa, znów wyrzała skrytka.

— Śliczne cacko. — cieszyła się Renata, a pies spoglądał ciekawie. Zmieszczą się wszystkie potrzebne dokumenty.

Tak powoli, po trochu, w miarę, naszej przyjaźni i płynącego czasu, wylaziły na jaw tajemnice tego domu, jak włos ze starej kanapy. Nie wiedziałam i nie wiem, czy istotnie dotarłam do dna, ale nigdy i u nikogo nie spotkałam tylu naraz spraw podziemnych i tak beztrosko zanurzonych w atmosferze spokoju i wesołości. Renata zresztą nie chwaliła się i nie zgrywała. Mówiła to tylko co jej lub mnie było koniecznie potrzebne, co wymagało wyjaśnień życiowych, lub co sprawiło jej nieopanowaną radość, jak te pudełeczka dla Zielińskich, którymi musiała podzielić się ze mną, jak dziecko niezwykłą zabaweczką. Na ogół jednak, co wieczór opowiadała anegdoty.

Tak się plotło latami to życie warszawskie, w którym

ilość bomb, rzuconych na Berlin była sprawą stokroć bardziej osobistą, niż ilość groszy we własnej kieszeni.

9-go grudnia 1941, generał Wavell uderzył pod Marsa Matruk. Wziął Bardię, Tobruk, Dernę, Benghazi. Warszawa piła bimber pod każde z tych cudownych słów. Potem z rozpazą cofaliśmy się wszyscy przez Libię. Lato 1942 spędziliśmy samotnie z polską załogą w Tobruku. Któryś czwartkowy « Biuletyn » podał fotografię studni w tym Tobruku, z polskim na tej studni napisem: WODA DO PICIA. Z tej to studni łakomie chłonęła Warszawa, na pustyni niewoli — wodę życia.

23-go października 42, Warszawa uderzyła sercem pod El-Alamein. Montgomery stał się kochankiem Syreny. Parła Romła przed sobą, aż stanęła na Linii Maret, żeby nabrać tchu.

Kiedy 8-go listopada 42, Amerykanie wylądowali w Afryce, nieznajomi warszawiacy ściskali się na ulicy, a cena wódki podskoczyła dwukrotnie. Za epidemię samobójstw po upadku Paryża, dziś wreszcie święciliśmy rewanż. Przyniosłam do Renaty garść czarnej kawy, piłyśmy ją na umór, pies dostał cukru, umaczanego w kawie i tańczył po kołdrze, nie chcąc spać.

Teraz już co dzień nie mogłam doczekać się wieczoru. Wpadałam do Renaty przed siódmą.

— No?! — wołałam od progu.

— Montgomery połączył się z Eisenhowerem.

Rzuciłam się całować Renatę, pies skoczył ku mnie.

— Leżeć, Bull! Przecież Montgomery połączył się z Eisenhowerem!

W początkach maja 43, powiedziała Renata: — Podchodzą już do Tunisu i Biserty. To mi przypomina dobrą anegdotę...

(Któreż miejsce na kuli ziemskiej nie przypominało jej dobrej anegdoty?).

— Pewna moja kuzynka, młoda i piękna, jak ja przed stu laty, wstąpiła do Zakonu Misjonarek w Rzymie. Wysłano ją do Afryki północnej, jedzie więc koleją, sama, z Biserty do Tunisu. Do przedziału wchodzi Arab, również młody i piękny. Patrzy z zachwytem: zakonniczka jak malowanie! Probuje zagadywać, ale biała piękność odpowiada zimno i nie mięknie. Wreszcie Arab wysiada na swojej stacyjce a w drzwiach przedziału mówi po francusku, żałośnie: « Pourquoi femme b'anche — cheval arabe, et femme arabe — vieux chameau? ».

Raniutko ośmego maja zawitała do mnie Apolonia, przynosząc prezent od Renaty: jedno czekoladowe ciastko, ślicznie owinięte w białą bibułkę i przewiązane amarantowym strzępkim. Do prezentu był list: « Ponieważ dostałaś na imieniny Tunis i Bizertę, niech ci wystarczy jedno ciastko ».

Renata! Jedno ciastko to dziś 25 złotych! Wyrzekła się chyba dwóch kapucyńskich obiadów.

Tego dnia nie doczekałam się wieczoru. Pal diabli renatowe zakazy! Pobiegłam do niej rano, pijana alianckim zwycięstwem, rozczulona ciasteczkim. Ale Apolonia zagroziła mi drzwi do sypialni.

-- Pani łaskawa poczeka w stołowym, teraz nie można, bo jest pan Marcin.

O, nie uda się przekroczyć etykiety tego domu. Czekałam w stołowym. Nie jestem winna, że ściana jest cienka. Zresztą, dokąd mam wyjść? Gabinetek zawsze tabu, wchodząc przez kuchnię widziałam niechcący, jak Pawełek skulił się pośpiesznie za szafą, gdyż o jego istnieniu nie wolno mi oficjalnie wiedzieć. Tkwią więc w stołowym, usiadłszy w najdańszym kącie.

Głos męski mówi głośno w sypialni:

— Tak, pani Renato, zasługi pani są niezwykle, wyjątkowe, ale poinformo to wątpię, czy komendant obwodu

zgodzi się na pani prośbę. Broni jest za mało nawet dla mężczyzn.

— Mało który mężczyzna strzela tak jak ja — odpowiedział błagalnie głos Renaty. — Ja muszę, ja muszę...

Tego mi było za wiele. Wybiegłam przez kuchnię, nie dostrzegając Pawelka.

— Panno Apolonio, przyjdę wieczorem — rzuciłam tylko.

Po zajęciu całej Afryki, nawet Renata załamała się ze szczęścia. A jednocześnie z jakiejś rozpaczy. Mówiła do mnie ze łzami, nie zważając już na słowa.

— Taką mam prośbę do tego Marcina, a on nie chce jej spełnić. Przez trzy lata zbierałam mu wszystkie druki, przychodził co dwa tygodnie i brał gotowe, jak z talerza. Uzbierałam mu przecież całe archiwum, a on się nie chce zrewanżować!

— Jeszcze i archiwum? Gdzieżeś to trzymała?

— Pod psem.

— Pod Bul'em?

— Naturalnie. Papiery leżą pod kołdrą, a na kołdrze pies. To mój najlepszy przyjaciel, jeszcze lepszy niż ty, bo on mnie od wszystkiego obroni. Z nim nie boję się niemców.

— A cóż ci pies pomoże na niemców? Jak będą chcieli ciebie zabrać, to zabiją psa.

— Otóż, właśnie. Wtedy chwycę psa w ramiona i zastrzelę nas jednocześnie. Myśmy już sobie z Bul'em doskonale wypróbowali tę scenę i teraz czekamy spokojnie — pocieszała się naiwnie moja Renata.

Mijały miesiące, łamał się wschodni front. U Renaty bywałam co wieczór. Teraz otworzyły się przede mną wszystkie sekrety domu. Wiedziałam, że po każdej deseczce posadzki stąpam jak po dynamicie, wiedziałam, że każda godzina naładowana jest niebezpieczeństwem. A'e wiedzia-

łam teoretycznie. Mieszkanie Renaty odczuwałam zawsze jako idealne miejsce wypoczynku: w czyściutkiej kuchni wylizana Zytka szeptala różaniec, w stołowym spokojnie oddychało śpiące dziecko, w sypialni leżała starsza chora pani, czytając niemiecką gazetę, na kołdrze drzemał pies. Pólcień, cisza. Lśnię spokojne mahonie. Pachną gałazki modrzewiu. W ciszy cyka zegarek. Gdzież można lepiej odpocząć?

Długo jeszcze maszerowali Niemcy po jezdniach. śpiwając swoje « Haj-lł, haj-lł ». Polska spływała krwią. Wreszcie nadszedł nasz wielki dzień: 6-go czerwca 44, Alianci wylądowali w Normandii.

Żołnierze Warszawy czekali teraz « Burzy » z dnia na dzień. « Z bronią u nogi », jak wścickało się radio sowieckie. « Z palcem na cynglu », jak wiedzieli nasi. Bronią kobiet z intendentury A. K. miała być niestety, tylko warząchew. Wielka kuchnia pani Pieškiewicz w Śródmieściu, jak wszystkie kuchnie okręgu Warszawa, jak moje małe kuchnie Mokotowa — czekała również. Zapasy zebrane, podzielone, schowane; Kotły gotowe, kobiety przeszkolone, sieć alarmowa działa jak prąd elektryczny.

Im bliżej było powstania, tym bardziej żalowałam Renaty. Ona jedna z nas wszystkich zostanie w domu, w łóżku, kiedy jej kuchnia, największa w stolicy, otworzy się dla tysięcy polskich żołnierzy. Ale Renata nie traciła humoru, ostatnio nawet poweselała wyraźnie.

Pod koniec lipca, powiedziała gorączkowo:

— No, lada dzień. Widzisz, ocaleliśmy jednak oboje z Bullem, niepotrzebnie się bałaś, jesteśmy już prawie na drugim brzegu, tylko przejść Rubikon.

Duże miałam wątpliwości co do tego Rubikonu. Jeśli po tygodniu nie dostaniemy niemieckich składów, co będą jedli żołnierze? Na świat patrzyłam teraz spoza kuchennych kotłów.

— Tylko trzy dni — zapewniała moja komendantka. Pierwszego sierpnia 1944, weszła do mnie rano.

— Alarm. — Powiedziała białymi wargami. — Ruszyć natychmiast sieć gospodarczą rejonu. Na stanowiskach być o trzeciej trzydzieści.

O jedenastej zawyły syreny.

O drugiej, z paczką ekwipunku wyszłam z domu. Na miejsce zbiórki daleko, a po drodze trzeba sprawdzić, czy obsada wszystkich kuchen stawiała się w komplecie.

W bramie natknęłam się na młodzieńca, którego twarz znałam z widzenia:

— Witam panią, — powiedział ironicznym tonem. — A dokądże to tak śpieszno z walizeczką?

Czy to nasza czujka, czy szpicel? Skąd ja znam tę twarz?

— Za gorąco w Warszawie — odpowiedziałam obojętnie. — Jadę na wieś dla ochłody.

— Na wieś? — przeciągnął z pogardą. — O, to radzę się śpieszyć, radzę się śpieszyć, bo może pani nie zdążyć...

Już sobie przypomniałam, skąd go znam. To nasz! Myśli, bestia: «baba zwąchała pismo nosem i ucieka z miasta».

— Dziękuję, zdążę, — odpowiedziałam ostro. — *Mój* pociąg odchodzi o trzeciej trzydzieści.

Błysnął porozumiewawczym uśmiechem, wtedy ja również. Zasalutował nieznacznie.

Na ulicach rzeźkie, podniecone tłumy. Wszyscy z pakunkami. Skręciłam na sekundę do Renaty, szybko wbiegłam na pierwsze piętro; w kącie kuchni kuliła się Apollonia i Pawełek. Serce mi się krajało za Renatę. Zostanie tu biedaczka na łóżku, z gosposią, dzieciakiem i psem. Cóż

za los! Ale Renata była rozpromieniona. Łóżko miała przysunięte do okna.

— Zobaczmy się za parę dni w wolnej Polsce — powiedziała krótko. — Albo za sowieckimi drutami — dodała.

Wysłałam na ulicę. Byłam znowu młoda, silna, wesoła. Grube buty niosły mnie na skrzydłach. Tuż za Wisłą grały rosyjskie armaty.

Z Rakowieckiej na Puławską, zwolna, grzechocząc, wyjeżdżał niemiecki czołg.

.
W pruszkowskim baraku, po pięćdziesięciu siedmiu dniach Mokotowa, leżałam na zawieszonym słomie, wśród innych półżywych ludzi. Myślałam: dwa miesiące pod huraganem ognia i ani jednego własnoręcznego strzału, ani jednego Niemca na sumieniu. Codziennie tylko kotły, warząchew, zupa, kartofle, chleb... A teraz już koniec.

Dni i noce Pruszkowa. Zimno i głód. Wszy i tłum. Czasem niemiecki wrzask. Czekanie na wyrok losu, na transport w nieznaną, na niewolę, nie wiadomo na co. Nie obchodziło mnie już nic, nic już nie obchodziło nikogo.

Niekiedy jednak zamienialiśmy ze sobą parę słów, sąsiedzi na słomie, budząc się z półsnu.

— Cały czas powstania byłem na Zielonej, koło parku — odezwał się kiedyś po ciemku, jakiś męski głos, nie daleko.

Zaciekawiłam się trochę. Zielona? Aha, to ulica Renaty.

— Nie wie pan, co z numerem piętnastym? — zapytałam.

— Wiem — odrzekł nieznajomy. — Kupa gruzów, żywa noga nie wyszła. Niemcy stracili cierpliwość i puścili na ten dom ładnych parę bomb z samolotu. W drobny mak poszedł.

Nie ma Renaty, pomyślałam obojętnie.

— A dlaczego Niemcy stracili cierpliwość? — zapytałam jeszcze, żeby coś powiedzieć.

— A bo w tym domu, na pierwszym piętrze od frontu, zaczął się jakiś nasz strzelec i walił z karabinu przez okno, — opowiadał głos. — Ale ci pra! Cośmy się nadziwowali! Ani razu nie chybił. Trupów nakładł, że ha! Szkopy mieli placówkę tam w parku, to za dnia żaden nosa nie śmiał wysunąć. Cierpieli tak chyba z dziesięć dni, wreszcie mieli dość i puścili Stukasa nad sam dach. Ledwieśmy z chłopcami uciekli z rogu Zielonej, jak ten dom się walił. Fajny był strzelec!...

TRYPTYK KLASZTORN

CECYLIA

Kiedy na sklepieniu świata zarysowały się groźne pęknięcia, Chamberlain podpierał niebo otwartym parasolem.

Dosłownie to samo robiły Szarytki w białych kornetach, kiedy z wrześniowego nieba 1939 sypały się na Warszawę bomby niemieckie. Niemcy latali na wysokości drzew, więc kiedyś ktoś zawołał ku Siostrzyczce, śpieszącej ogrodem z jednego do drugiego pawilonu Szpitala Dzieciątka Jezus:

— A nie pokazywać tego białego kornetu!

Na to Siostra Przełożona dodała zdawkowo: — « Niech Siostra weźmie parasol. » (Przecież wiadomo, że chorzy nie mogą czekać. Cóż z tego, że nalot?).

Od tej pory, żadna Szarytka nie przeszła przez ogród, nie zaślониwszy niebios upalnego września — czarnym zakonnym parasolem.

Siostra Zuzanna z sali zakaźnej nie bała się wcale. Taką ją już Pan Bóg stworzył. W najgorszy obstrzał artyleryjski, kiedy raźniej zdawało się w piwnicy, potrafiła wejść na piętro, podejść do okna i gotować kaszę dla chorych. Bo cóż począć, jeśli kuchenka stoi przy oknie?

Natomiast młodziutka Siostra Cecylia walczyła za strachem, jak z lwem, który skoczył na piersi.

— Co ja mam począć, proszę pani — skarżyła się roz-

paczliwie, że ja się tak strasznie boję. Siostra Zuzanna to święta, a mnie widocznie diabeł kusi, żebym nie wierzyła w miłosierdzie boskie. Jak tylko strzelają, to cała jestem aż spocona i nie mogę się ruszyć.

A jednak — ruszała się. Chodziła na piętro, a kiedyś poszła na dach z własnej woli, zobaczyć czy się nie pali. Wędrowała nawet do sąsiednich budynków, pod jednym warunkiem: zakrywszy białą kornet czarnym parasolem. Ja jedna wiedziałam, ile ją to kosztuje. Błądła z każdym dniem.

Wreszcie 24-go września, przychodzi Siostra Cecylia uśmiechnięta i czemuś różowa:

— Już jestem spokojna — powiada — Wiem, że mi się nic złego nie stanie. Teraz będę tak odważna, jak Siostra Zuzanna. Bo śniły mi się dziś białe kwiaty.

— To cóż z tego?

— Te kwiaty, widzi pani, dawała mi we śnie, sama Siostra Asystentka, która zmarła przed rokiem. Powiedziała wyraźnie, że nie mam się bać niczego złego.

Uśmiechnęłam się serdecznie. Lubiłam to dziecine dziecko.

Nazajutrz, 25-go września, w najcięższy dzień pierwszej obrony Warszawy, na Szpital Dzieciątka Jezus spadł grad niemieckich bomb z najniższego lotu. Zapadł się najpierw pawilon drugi, pełen chorych, potem pół trzeciego. Wreszcie frontowy, grzebiąc pod gruzami trzysta osób, w tym trzech lekarzy i siedemnaście Szarytek.

Wśród nich była Siostra Cecylia.

Umarła. Ale czy stało jej się coś złego — nie wiem.

URSZULA

W tym małym, pracowitym klasztoru będzie kuchnia dla powstańców. Klasztor zawczasu zbiera zapasy, szykuje kotły, szkoli zakonnice w gotowaniu na kilka tysięcy ludzi. Ale, że pieniędzy mało, więc najkosztowniejszy skarb — słoninę — należy zakupić hurtowo, z pierwszej ręki, na wsi.

Przełożona posyła w tym celu pod Łowicz Siostrę Urszulę, młodą, silną i zaradną. Rodzice Siostrzyczki Urszuli, gospodarze wiejscy, mają trochę morgów pod łowickim lasem i chętnie dopomogą córce w tajnym zakupie po sąsiednich gospodarstwach. Kupić nie sztuka: wszyscy chłopcy co lepszą żywność pozakopywali w ziemi. Ale jak przewieźć do Warszawy? W razie rewizji, konfiskata skarbu — jazda do Treblinki.

Biedzi się więc zawczasu Siostra Urszula jadąc pod Łowicz i widząc, że w wagonie Niemcy odbierają ludziom każdy kawałek żywności; biedzi się też w Warszawie Siostra Przełożona, czekając. Boi się o Urszulkę, boi się o skarb, na który dała bezcenne wojskowe pieniądze, drży, żeby naiwna Urszula nie naprowadziła po swoich śladach rewizji do klasztoru, bo w klasztorze kryje się zbrodnia, karana śmiercią zbiorową: troje żydowskich dzieci.

Tymczasem Siostra Urszula zastaje w chacie rodzicielskiej przykrą niespodziankę: na podwórzu ciężarówka niemiecka, w izbie — czterech żołnierzy. Kto? Po co? Czy przyjechali aresztować gospodarzy za nieoddany kontyngent? Czy znaleźli wieprzka, ukrytego w dziurze pod klepiskiem? Nie, okazuje się, że nic groźnego. Żołnierze po prostu asystują oficerom, którzy przyjechali limuzyną na polowanie. Oficerowie zajęli dla siebie pobliski dwór, żołnierze — tę chatę. Ciężarówka ma zabrać do Warszawy polskie zające, ustrzelone przez władców świata.

Zakonnica wraz z rodziną śpi w stodole i cichcem zakupuje u sąsiadów ze sto kilo słoniny. Matula soli polćie, rodzeństwo układa je twardo w dwie beczułki, ojciec zabija drewniane denka.

Przed wojną, rodzina jeździła sezonami « na Saksy », więc mówi trochę po niemiecku. Żołnierze nie Gestapo, czasem bywają ludźmi; zarżnęli gęś, ale to się wytrzyma. Częstoują wódką, piją mleko; załadowali zające zmęczyli się.

— Szpek! — wołają na wyjezdnym. — Przysmażyć nam słoniny do wódki.

— Skąd? Tegośmy już pięć lat nie widzieli — broni się gospodarz. Wieprzak zakolczykowany, musimy oddać do gminy. Ale ot, kapustą kwaszoną mogę poczęstować. Kapusta dobra daje właśnie córce do Warszawy dwie beczułki dla klasztoru, przyda się siostronom do kartofli.

— Tego świństwa nie jadamy, zresztą diabli z wami. pora nam już jechać do Warschau.

W oczach Siostry Urszuli błyska chłopski spryt.

— Panom to wygodnie w samochodzie, ale jak ja biedna wciągnę do wagonu te dwie beczułki kapusty? Wyrzuci mnie konduktor.

— Siadać z nami, podwieziemy — hojnie proponuje

niemiec, obżarty gęsią i zlagodniały. — A dokąd Schwester?

— Na Wolę.

— To nam po drodze.

* * *

Jedenasta w nocy. Siostra Przełożona nie śpi. Urszula nie przyjechała ostatnim pociągiem przed godziną policyjną — widocznie jest źle. Niepokój nie daje usnąć, niepokój gna po korytarzach drobne kroki starej zakonnicy, senne oczy lgną do szyb, za którymi milczy czarność pustych ulic...

Nagle przed domem staje ciężarówka niemiecka i mocno oświetla ciemność. Z ciężarówki wysypuje się czterech mundurów. Przełożona martwieje przy oknie. Obława! Otoczą dom, znajdą żydzięta, znajdą nielegalne zapasy, wystrzelają cały klasztor! Jak mogłam wysłać Urszulę! Przecież zakonnica odwykła od świata...

Co to? Z ciężarówki wyskakuje lekko Siostra Urszula, uśmiecha się wdzięcznie, a czterech Niemców dźwiga pilnie ku bramie klasztoru dwie pękate beczułki.

— Na, żeby ta kapusta wam smakowała, Schwester,
— słyszy Przełożona, drżącą ręką otwierając drzwi.

KSENI

Klasztor na wysokiej górze — dziś już spalony — fundowała Królowa Marysieńka, żona króla Jana.

W latach 1943, 1944 stały jeszcze w bielonych celach hebanowe klęczniki, dar Królowej. Zamknięty czworobokiem siwych murów, szumiał i kwitł maleńki sad. W skarbcu klasztornym leżały, zlecone ongiś opiece świetliwych poprzedniczek, najprawdziwsze klejnoty Królowej. Samej Marysieńki Sobieskiej szaty koronacyjne, rubinami haftowane, korona świetlista od diamentów i parę garści pereł.

Kseni strzeże ich, jak strzeże stadka zakonnice.

Za swoje owieczki gotowa jest oddać życie, za historyczne klejnoty gotowa jest ponieść śmierć. Jak wszystkie przeorysze, które były tu od stułeci, tak i ona, Kseni dzie siejsza, co od lat trzydziestu nie ukazała się żadnym świeckim oczom.

Zakon jest zamknięty, reguła surowa, nieczęste rozmowy ze światem dozwolone są tylko Siostrze Sekretarce, przez podwójną kratę drewnianą. Z jakiego to drzewa krata — nie wiem, ale wiedziała o tym Królowa Marysieńka, gdyż ona to właśnie, Fundatorka łaskawa, rzeźbić ją była kazała rękodzielnikom nadwornym warszawskiego Zamku.

Przy bramie klasztornej — kołatka. Trzeba nią uderzyć. Po chwili furta uchyla się sama. Wchodzisz. Pusta sień, ciemna, okrągła. Słyszać czyjś głos:

— Kto tam? — Trzeba odpowiedzieć.

Potem:

— Do kogo? — Znowu trzeba odpowiedzieć.

Potem jeszcze głos:

— Proszę na prawo.

Tam, w wielkiej, sklepionej izbie, można położyć na drewnianej obrotowej półce jałmużnę dla klasztoru, bochenek chleba, woreczek mąki, albo list do Kseni. Niewidzialna ręka obróci półkę — dar zniknie. Jeśli czekasz na odpowiedź, pojawi się ona na tym samym drewnianym kołowrocie, szlifowanym przez wieki. Jeśli prosisz o widzenie, za podwójną kratą, z daleka, błysnie po dziesięciu minutach blada twarz Siostry Sekretarki. Kseni, uboga królowa klejnotów królewskich — nie pojawi się nigdy.

Niemcy zasłyszeli o skarbach klasztoru. We trzech wdarii się do parlatorium. Na chwilę znieruchomieli wobec ciszy, pustki i kraty.

— Dawać tu najstarszą! — huknęli, ochłonawszy.

Minęło kilka minut bez żadnej odpowiedzi. Po zamkniętej, sklepionej izbie ciskały się niecierpliwie zielone mundury, spocone karki lśniły w mętnym blasku oliwnych lamp. Hałasowały podkute buciska, groziły wyjęte rewolwery.

Nagle, szerokim skrzydłem odpłynęły drzwi sklepionej izby i natychmiast zawarły się znowu. Nie za kratą, nie przy kołowrocie, ale pośrodku sali — stanęła Kseni. Samotna, bez asysty. Wysoka, habit do ziemi, na głowie lisia czapka, w ręku hetmański buzdygan. Szaty to oficjalne, przywilejem królewskim nadane przed wiekami. A może papieskim, dawniej jeszcze, we Francji, skąd sprowadziła zakon polska monarchini.

Twarz woskowa, modlitwą rzeźbiona w ciszy. Oczy królewskie, rozpalone gniewem, lodowate z dumy.

— Sprechen Sie deutsch? — rzuca niemiec, wyraźnie zakłopotany zjawiskiem.

— Mówię wszystkimi językami Europy, a więc i po niemiecku.

— Macie tu klejnoty!

— Mamy.

— Pokazać skarbiec!

— Reguła nasza nie pozwala wprowadzać mężczyzn za klauzurę, więc panowie nie wejdziecie.

— Wejdziemy!

— Przedtem należy mnie zabić.

Milczenie. Po woskowym obliczu przemknął cień drwiącego uśmiechu.

— Każę przynieść klejnoty tutaj — zawyrokowała królowa. Klasnęła w dłonie. Kołowrót zaskrzypiał cicho. Na półce, szlifowanej wiekami, zaśniła tacka pereł. Niemieckie szpony zamknęły się na błyskotkach. Spuchły kieszenie mundurów.

— Tylko tyle? — zacharkotała w trzech gardłach chciwość.

— Czyż to mało?

— Macie więcej!

— Nie mamy.

— Kłamiesz!!

Kseni nie raczyła odpowiedzieć. Spojrzenie z wysokości tronu, spojrzenie z groźnych niebios, wzrok spod lisiej czapy, wzrok znad buzdyganu — palił zbirów.

Wypadli za furtę, żując przekleństwa. Wtedy na woskowym czole zaśniły perelki potu.

Kiedy w wielkiej tajemnicy opowiedziano mi tę historię, (Siostra Sekretarka szepnęła widocznie z czasem słówko przez kratę, a ja znałam jej rodzinę), oczarowała mnie Kseni na niewidziane. Tylko ona, tylko ona, przechowała mi do czasu powstania tę dużą i niebezpieczną paczkę, z którą nie wiem co zrobić w prywatnym pokoiku. Zameldowałam komendantce. Śmiała się: — « Łudzi się pani, k'auzurową zakonnicę nic już powstanie nie obchodzi. Obroniła pamiątki klasztorne, a'e tej paczki nie przyjmie ».

Uparłam się. Pojechałam do klasztoru na wysokiej górze, wzięwszy list polecający do Siostry Sekretarki. Zastukałam kołatką Usłyszałam głos znikąd:

— Kto tam?

— Piotrowska — odpowiedziałam byle co.

— Do kogo?

— Do Siostry Sekretarki.

— Proszę na prawo.

Weszłam do sklepionej izby. Po dziesięciu minutach błysnęła za kratą twarz Siostry Sekretarki. Była blada i zaświatowa, nie widząca nic i nikogo. Nie mogłam głośno tłumaczyć sprawy, bo gdzieś w pobliżu istniała niewidzialna odzwierciana. Podwójna krata trzymała mnie w dużej odległości od mojej rozmówczynie. Powiedziałam więc tylko:

— Mam list, który wyjaśni moją prośbę.

— Proszę położyć list na kołowrocie — odrzekł obojętny głos. Twarz w obramowaniu habitu miała oczy spuszczone. Zapytam Matki Przewielebnej i dam odpowiedź za chwilę.

Czekam w sklepionej izbie, w tym samym, co owi niemcy, blasku oliwnych lamp. Na ścianie napis: « W MILCZENIU MÓWI BÓG ». Co powie im Bóg? Czekam.

Po bardzo krótkiej chwili słyszę kroki za kratą. Gło-

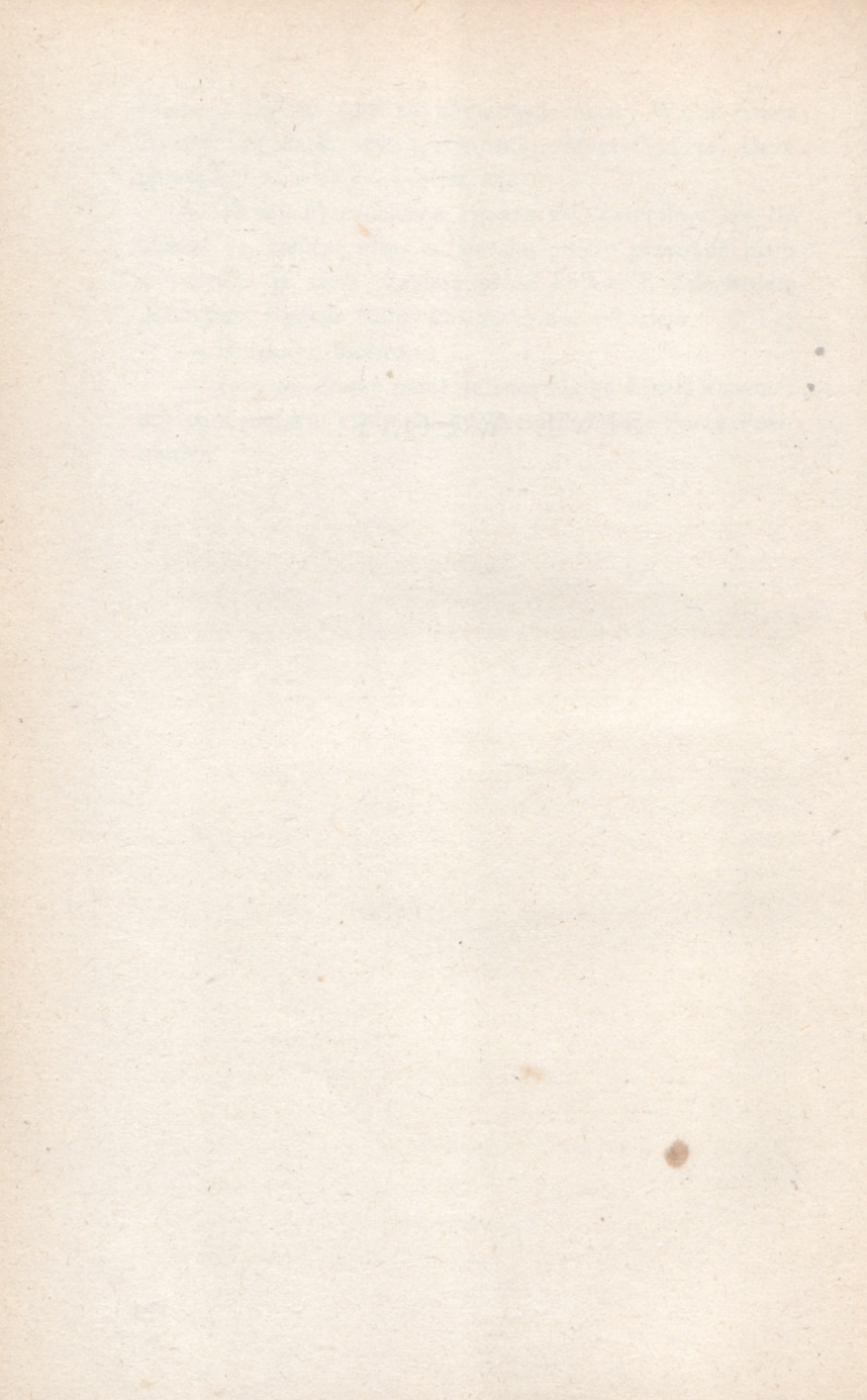
śniejsze, szybsze, niż za pierwszym razem. Widzę twarz Siostry Sekretarki, żywą, ziemską, zaczerwienioną. Oczy patrzą mi w oczy — i błyszczą.

— Matka Przewielebna zgadza się, naturalnie, że się zgadza — szepcze głos. — Paczkę proszę przynieść jutro o zmroku, ja sama przyjmę przez kołowrót. Jak będzie potrzebna, wydam temu, kto przyjdzie z hasłem.

— Dziękuję, Sostro.

— Jeszcze, proszę pani! Jeszcze Matka kazała zapytać, czy pani nie wie kiedy, kiedy wreszcie będzie nasze Powstanie?

SIWE WŁOSY



SREBRNA TACA

Przedmioty nasiąkają barwą czasu. Nie tego czasu, w którym powstały, ale tego, w którym weszły do naszego życia. (Podobnie perfumy przechowują wspomnienia miłości. Dawno już kochasz innego, aż kiedyś, niechcący, porządkując starą szkatułkę, wyciągasz szklany koreczek pustego flakonu i pijesz oddech minionego czasu; wtedy nie istnieje ten, którego ucałujesz za chwilę, wraca tamten, którego pożegnałeś przed laty).

W życiu Elżbiety symbolem minionego czasu stała się czemuś — srebrna taca. Oznaczała trwałość domu, niezłamany spokój rodziny, nie szarpanej jeszcze wichrami historii, istniejącej od pokoleń w szanownym, nienaruszalnym wycinku przestrzeni. Nad taką ciężką, rzeźbioną tacą ze srebra pamiętała białą główkę swojej babki i delikatne ręce, nalewające herbatę codziennie, długimi laty, mężowi, dzieciom, wnukom... Biały salon siwego, litewskiego dworu ujmował wtedy w ramę lica starej kobiety, srebrne cacko domowe i trzy bezcenne skarby, które onymi czasy posiadała rodzina: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość.

Minęły lata. Dawno porzuciła Elżbieta dwór, którego zaciszność i gontowy dach zmiotł potem huragan pierwszej wielkiej wojny. Nadeszły w życiu: niepokój stołecznego

miasta, rozgwar ludzki, praca zawodowa, dowcipne nowoczesne mieszkanko. Wiedziała, że nie wróci biały salon, ani stare lipy i nawet nie pragnęła ich powrotu. Natomiast nie oduczyła się pragnąć — starej srebrnej tacy. Szukała podobnej po sklepach i sklepikach, nie tak, jak się kupuje potrzebny przedmiot, a'e tak, jak się szuka zgubionego wspomnienia. Na próżno. Czas utracony nie chciał powrócić w swym przypadkowym symbolu.

Wrzesień 1939 zdruzgotał warszawskie pokoiki Elżbiety. Za ostatnie pozostałe grosze, zdobyła nikczemną izbę gdzie okna były z dykty, a za tapetami szeleściły pluskwy. Życie utraciło nie tylko wszelką obrzędowość i zaciszność, ale nawet pospolitą obyczajność. Skąpe jadlo pożerało się łapczywie wprost z garnka, bo nie było talerzy; wieczorem, do snu, wdziewało się ocalały kozuch, bo brakło węgla. O myciu któżby marzył w tym mrozie i ciemności. Epoka majestatycznej babki odplynęła poza stulecia, a może nawet na inny glob.

— Byle do wiosny — mawiano wtedy w Warszawie. Istotnie, co silniejsi doczekali wiosny. Wielkanoc 1940 nadeszła chłodnawa i głodna. Elżbieta zdobyła jednak dla dziecka i dla siebie prawdziwy biały chleb na « święcone ».

Aż tu nagle, miła niespodzianka: zaproszenie na obiad świąteczny w Wielki Poniedziałek. Zaproszenie do matki sławnego lotnika, czcigodnej staruszki, mieszkającej w synowskim domku z ogródkiem. Sławny jej syn, zdobywca drugiego miejsca w Challenge'u, ten sam, któremu zwyciężeni piloci niemieccy krzyknęli po zawodach: « Auf Wiedersehen im Krieg! », zabił się był pod Paryżem, na trzy dni przed wybuchem drugiej wojny, oblatując Morana.

Staruszka lubiła Elżbietę, ale nigdy przedtem nie zamieniały wizyt. Skąd dziś to zaproszenie na obiad?

Elżbieta idzie z radością i wstydzi się przyznać samej

sobie, że radość jej składa się nie tylko z chęci zobaczenia uroczej staruszki, a'e również z chęci zjedzenia czegoś smacznego, w prawdziwym domu, na prawdziwym talerzu.

Istotnie, jakże jest miło! Domek nie zbombardowany, ogródek pięknie uprawiony, stoł cały w kaczeńcach. Srebrna staruszka w czerni i uśmiechach gościnnej serdeczności. Dom pełen młodych mężczyzn, oczywiście przyjaciół zmarłego syna. Są też dwie młode kobiety, żony lotników. Padają znane w Polsce nazwiska. Mężowie we światach, żony są tutaj, w Warszawie.

Do stołu usługuje elegancka pokojówka w czarnej sukni, białym fartuszką i białej koronce na rudych włosach. Każdy gość dostaje osobny talerz do prawdziwego rosolu, prawdziwych kotletów i prawdziwej strucli z makiem. Elżbieta pławi się w dawno niezaznanej rozkoszy sytości, ciepła i uroku. Po dwóch kotletach zaczyna przytomniej patrzeć na świat. Dostrzega następujące sprawy: że ci goście nie są przypadkowo zebrany'm towarzystwem, że duszą tego, co niewątpliwie dzieje się między nimi, jest staruszka, pani domu. Że młoda pokojówka, Marynia, jest zaprzyjaźnionym towarzyszem wszystkich obecnych. Towarzyszem czego? Nie wiadomo. Rozmowa jest ogólna, bardzo zuchwała, bardzo polska i nie cichnie, kiedy Marynia wchodzi z półmiskiem. Jednakże na wskazówki gospodarskie pani domu, Marynia odpowiada ni mniej ni więcej, tylko: « Słucham jaśnie pani ».

« Jaśnie pani? » Tak mawiała, owszem, służba przed stu laty, w białym salonie litewskiego dworu, podając ówczesnej babuni srebrną tacę z przyborami do herbaty. Teraz chłopcy przy stole rozmawiają swobodnie o wywiadzie i dywersji — niemcy od pół roku są w Polsce — a Marynia, odsunięta na odległość staroświeckiego tytułowania, usłu-

guje nieskazitelnie i słyszy każde słowo. « Kto tu zwariował? » — myśli Elżbieta nad struclą — « i dlaczego mnie zaprosili? ».

— Przejdziemy na kawę do saloniku — zaprasza starszka w uśmiechach. Elżbieta widzi: salonik jest biały, bieluchny, zmniejszona kopia tamtego, z litewskiego dworu.

Prawdziwa kawa! Na dnie filiżaneczki, Elżbieta znajduje dawno pożegnany optymizm. « Może to i wariaci, ale jak dobrze jest tu z nimi! ».

Towarzystwo rozbija się na grupki, tym razem szepczące do kątach. Pani domu siada na kanapce koło Elżbiety. Rozmawiają we dwie.

— Maryniecško — mówi nagle stara dama do wchodzącej pokojówki, — przynieś nam, proszę, ostatni numer.

— Słucham jaśnie pani — skanduje służbowo Marynia po czym uśmiecha się dowcipnie. I zanim Elżbieta zobaczyła dno drugiej filiżanki kawy, do saloniku znowu weszła pokojówka. Ale weszła jakoś inaczej. Wyprostowana i uroczysta, w czerni i bieli, w koronie rudych włosów, niosła na wyciągniętych rękach — srebrną tacę. Bliźniaczą tacę tamtej, z litewskiego dworu, z miłości dziecięcej, z utraconego czasu. Niczym list na scenie, podała gościowi na tacy arkusz, pachnący drukarską farbą. Tytuł: ZNAK.

Elżbieta widywała już to pismo « pod ziemią » i nieraz czytywała chciwie.

— Wczorajszy numer, świąteczny — uśmiechnęła się starszka. — Drukujemy to z Marynią w naszej piwnicy. Marynia i ja chciałybyśmy zaproponować pani hurt kolportażu na dzielnicę śródmieście...

Srebrna taca, która nie chciała wrócić do Elżbiety, jako symbol utraconego czasu, niosła jej teraz Czas najwyższy, najgoręcej nowy.

W rok potem, Niemcy najechali ten dom. I chociaż drukarnię przeniesiono już dawno na wieś, czując niebezpieczeństwo, i domek był zupełnie czysty, obie kobiety, panią i służącą, skuto razem w kajdany i zabrano na Pawiak.

Marysię, wieszoną na śledztwo, próbowali chłopcy odbijać. Bezskutecznie. Po długich miesiącach milczenia, odczwała się z Ravensbrück: « Ich binn gesund ».

Staruszkę, storturowaną, wzięto któregoś świtu prosto z łóżka szpitala więziennego, wyprowadzono na kamienne podwórze — i rozstrzelano.

Domek stoi, rozbity granatami. Latem zielsko zarasta ogródek, zimą śnieg pada do białego salonu. Ślepe okna zieją pustką. W tobołach Niemców znikły pamiątki po sławnym lotniku i srebrna taca jego matki.

MARYSIA Z PRZESZŁOŚCIĄ

Halusi

Marysia ma lat siedemdziesiąt i chatkę na kurzych nóżkach, stojącą za wsią, już na skraju lasu. Mąż Marysi to majster do wszystkiego: stolarz, stelmach, cieśla, kowal. Wynajmuje się do dworów, do tartaku, do bogatych chłopów. Sam jednak k'epie biedę, i dzieci się nie dochował na pomoc starości. Rządzi nim Marysia, która poza tym pasie dwie białe kozy na skrawku zielonej łąki. Cała wieś szanuje Marysię. « Co tyż to staro Maryśko w sobie mo, ze tako mondro? » — Kiwają głowami ludziska. — « Ze sie to tyz tako uchowało... ».

Marysia ma w sobie — przeszłość. Uratowała kiedyś życie jednego pana w którego rodzinie służyła jako niańka do synka. Kiedy panicz podrósł, Marysia została « za kucharkę », a był wtedy rok pradawny, 1905-ty.

Przyszła kiedyś, owymi czasy, carska policja, szukać papierów pana. Jeśli znajdą — Sybir. Szukają, szukają — nie ma nic. A papiery leżą spokojnie w skrzyni, na której siedzi Marysia. Lat ma około trzydziestu, jest przystojna i hoża. Siedzi na skrzyni i zęby szczyrzy do policjantów. Poszukali, poszukali i poszli, wściekli. Dopiero wtedy Ma-

rysia zemdłała. Bodajto carska policja! Dobre były czasy...

A takie wydawały się złe. Dziś, w 1942-gim są gorsze.

Ten wysoki, barczysty pan, ubrany porządnie w płaszcz, kapelusz, szalik i rękawiczki, ten pan, który wysiadł właśnie na małej mazowieckiej stacyjce, uważa chyba również, że czasy są złe i niebezpieczne. Idąc, bowiem ze stacji przez miasteczko, coraz to spoziera kątem oka, czy nikt go nie tropi. Nie, chyba nikt. Szpicla niemieckiego udało mu się zgubić jeszcze na dworcu gdańskim w Warszawie. Podróżni, którzy wysiedli na tutejszej stacji, to zwykły ludek podmiejski: wynędniały, hałaśliwy, buńczuczny, dowcipny — swój. Tłum bab z workami po chleb, kilku rzeźników po szmugiel mięsa, kulawy muzykant, zarabiający piosenką w wagonach, kilkunastu miejscowych chłopów. Żydzi, których dawniej było pełno, teraz już nie jeżdżą, zamknięci za drutami. Trzeba przejść koło tych drutów, zaraz niedaleko stacji.

Przyjezdny mężczyzna, idąc tamtędy, nie odwraca oczu. Może chce wchłonąć całą prawdę tego, co się naokoło dzieje? Gorzką nędzę Polaków w wagonach, straszliwy widok Żydów za drutami. Ogrodzeni na skrawku piasku, wśród kilkunastu domków i paru sosen, kłębią się i mrowią, ostrożnie próbując handlować z przechodzącymi Polakami. Nie ma żadnej warty niemieckiej. Cóż za prowincjonalna idylla w porównaniu z ghettem w Warszawie! Nie widać też — jak widać w Warszawie — wysokich czół i płonących oczu inteligentów, zamkniętych w klatce; tu sama tylko biedota żydowska: sklepikarze, pachciarze, sadownicy, woźnice. Ich żony, mrowie ich dzieci.

— Nu, pani Marcinowa, masło jest? — szepczą do babiny, wsuwając jej przez druty kilka srebrnych łyżek.

— Panie Wojciech, a tytoń?

— Jest, — odpowiada chłop, biorąc złotą papierośnicę

za worek cennego ziela, przerzucony ukradkiem przez druty.

Przejezdny pan idzie szybko, choć widzi i słyszy wszystko. Jakiś stary Żyd ukłonił mu się nagle spoza drutów. Nie zna go. Widocznie biedaczysko kłania się, ot, dla rozrywki.

— Morituri te salutant — pomyślał podróżny, dotykając uprzejmie kapelusza. Jednakże « morituri » zdawali się nie brać swego losu tak tragicznie, jak tragiczny był naprawdę. Owszem, było ciasno, ale było, handel szedł kwapo, ale szedł, krzatali się więc po skrawku życia równie gorliwie jak ongiś po przestrzeni wolności.

— Lepiej, że nie rozumiem — myślał idąc podróżny. — Lepiej, że nie wierzą i nie uwierzą do końca. Jeśli Niemcy podejdą pod New York, to ostatni Żyd w ostatnim ghetcie westchnie jeszcze z ufnością: « oj, jak oni ich wciągają, jak oni ich wciągają... » A my? Czyśmy nie tacy sami i nie na to samo skazani? Tylko, że nasi biją się we świątach, a my tutaj. I jeszcze będziemy się bić.

Minął ghetto, minął kościółek, wszedł w głęboki piach leśnej drogi. Odetchnął spokojnie. Las, sosnowa cisza, żywiczna woń. Nareszcie nie widać ludzi.

Tymczasem stary Żyd, który się ukłonił, trąca łokciem znajomka, stojącego przy nim w zagrodzie.

— Widziałeś tego, co poszedł do Wólki?

— Dlaczego nie miałem widzieć? A skąd ty wiesz, że on poszedł do Wólki?

— Skąd wiem? Bo poszedł w przeciwną stronę. A ty wiesz, kto on jest?

— Czy ja z nim handlowałem?

— A ja z nim handlowałem. Ten szalik i te rękawiczki to on kupił w moim sklepie.

— Abram, jak ty miałeś sklepik w Przemyślu, to już minęło trzy lata.

— Co to jest głupie trzy lata? Czy jabym nie poznał

swego towaru? Jak ja miałem piękny sklep koło koszar, to on dowodził polskim wojskiem w Przemyśle. On, pan pułkownik Recki.

— Gdyby on był pułkownikiem, to onby teraz siedział w oflagu za drutami, jak my.

— Czy ja wiem gdzieby on siedział? I dlaczego on nie siedzi tylko chodzi? Ale ja wiem, że ja swój szalik znam i swoje rękawiczki też. Kto w Przemyśle handlował takim jedwabiem, taką skórą? Ty mi powiedz!

— Abram, ja ci powiem: idzie baba z Górek, może ma cebulę. Chodźmy kupić.

Odeszli ku innej drucianej ścianie, ku swoim ważniejszym sprawom.

Podróżny, młodzieńczym krokiem wbiegł na zalesione wzgórze i usiadł na łysym zielonym szczycie. Rozejrzał się. Pusto. Od miasteczka i kolei dzieliły go niskie, gęste sosny. Rozpiął płaszcz, spokojnie zapalił papierosa. W lewo widać stąd lasy i lasy, hen do horyzontu, w prawo zamgloną sylwetkę Warszawy. Chmura dymów, wśród niej zarys wieży Prudential na Placu Napoleona.

— Może tam właśnie wywiesimy pierwszy sztandar, kiedy będzie już po wszystkim? I uśmiechnął się do swoich myśli wędrowiec. — Jak moja orkiestra zagra, to niemcom uszy popękają. Żebym tylko zdążył nastroić instrumenty...

Zgasił papierosa, spojrzął na zegarek, wstał pośpiesznie.

— Janka czeka, — pomyślał. — Przyjechała pewnie o dziewiątej dwadzieścia.

Dopiero po wyjściu z sosnowego lasu, można było dostrzec, że wrzesień jest złoty. Żłociste i powiewne stały nad drogą młodziutki wisienki, które na wiosnę widział tu w puszystym kwieciu, jak stadko dziewcząt. Te drzewka wydały mu się równie bezbronne i tak samo na jego zdane opiekę, jak ludzie tego skrwawionego kraju. Na miedzy pod wielką gruszą, płonąca miedzianym liściem, siedział

chłop i puszczał błękitny dymek z papierosa. Zaorał był właśnie poletko łubinu pod wiosenne kartofle i przysiadł se krzynę pod drzewem, żeby dać zipnąć chudej szkapinie. Połska dyszała z rozoranych skib, z zielonej rozległości ozimin. Podróżny schylił się nad rolą i z szarej skiby wyciągnął jedną gałązkę łubinu. Kwiatek zapachniał minionym szczęściem, jak zawsze każdy łubin w każdym kraju, gdzie tylko rośnie.

Wzruszenie ścisnęło mężczyznę za gardło.

Przyśpieszył kroku. Po paru kilometrach pól i chat, zobaczył kolorową ścianę następnego lasu, w którego znajomą głąb zapaść miała jego droga. Pod jarzębiną, widoczną z daleka, ciemniała siedząca postać kobieca, odziana z miejska. Dostrzegła od razu, kto zbliża się piaszczystą drogą, bo wstała powoli i weszła w gęstwinę. Za kilka minut wszedł on.

— Dobrze. Jarka, — powiedział serdecznie, w osłonie drzew. — Przywiozła pani?

— Tak jest panie generale, przywiozłam szczęśliwie.

Wręczyła mu paczkę, która wyglądała jak piękny broszur, lub zeszytów, przewiązanych sznurkiem.

— Dziękuję. Do jutra, jak zwykle. Zdąży pani jeszcze na pierwszą czterdzieści.

Podał jej rękę. Oczy kobiety błysnęły żołnierską wiernością.

— Drogą jeżdżą ciągle furmanki z tartaku — powiedziała niespokojnie.

— Nic mi nie będzie, tu jestem na swoich śmieciach — roześmiał się beztrasko. — U mojej rodzonej niańki miełoby mnie złapać? U mojej Marysi? Marysia jest moją maskotą. Zresztą nie boję się Niemców, boję się tylko rodzimych bolszewików — dodał niespodziewanie i jakby od rzeczy.

Rozeszli się. Kobieta poszła ku stacji, mężczyzna lasem, ścieżką obok drogi.

(« Ten człowiek z żelaza » — myślała po drodze Janka — « tu, na wsi, w tej okolicy, jest jak dziecko na wakacjach, nawet żartuje »...).

Mężczyzna szedł wesoło. Znał tu każde drzewo, każde drzewo lubił, jak miłego psa. Od leśnego traktu, na wschód i zachód promieniowały wśród sosen i osin, głębokie rowy, pełne przejrzystej czarnej wody, nakrapiane złotem opadłych osinowych liści, niby skóra pstrąga. Liliowe polanki, spienione wrzosem, były czarem tej mazowieckiej głuszy, czemuś pachnącej Polesiem.

— Wrzos i jarzębina — pomyślał idący — za tę ziemię słodko jest umierać.

Na trzecim kilometrze witał oczyma znajomą brzozę, rozwidloną w kształt liry.

— Jesteś — szepnął, musnąwszy biały pień palcami. Teraz szedł dziką ścieżką, wydeptaną tylko do jednej chaty. Wśród drzew błysnęły marysine okienka. Podszedł. Marysia siedziała w chlewiku, dojąc kozę, bo właśnie miało się ku południu.

— Pon Stefuś! — ucieszyła się bezzębnymi wargami. — Zara będzie mliczko. A majster robi dzisiaj w tartaku.

— To dobrze, Marysiecčko — ucałował ją serdecznie w białą chuścinę na głowie i w oba zwiędłe policzki. — Bo ja przyszedłem z prośbą, tylko do ciebie, nianiuś.

Jednakże nie od razu powiedział, czego chce. Znał chłopską etykietę, więc choć Marysia tyle lat żyła w mieście, uszanował jej obecne, wsiowe zwyczaje. Zasiadł w izbie za stołem, pił świeże mleko kozie, zakąsił podanym chlebem. Oczy staruszki, w twarzy jak zeschnięty grzyb, spoglądały z macierzyńską tkliwością. Oj, duży urósł Stefuś,

mocny urósł. Latka przeszły, minęły. Nawet mu już skronie siwieją...

Wymieniając najczulsze spojrzenia, siedząc za stołem naprzeciwko siebie, gawędzili o pogodzie, o ciężkich czasach, o wojnie, o Niemcach.

— Zatluko naród na śmierć, Stefusiu — wzdychała stara — Wybijo do szczętu. Wczora znowuj w Górkach zabrały dwunastu chłopca. Ty pszenicy, co po ludziach trochę było, zabrały, lawentarz zabrały do cna. Rady nijokiej nimo, kary boski nimo...

Chlipnęła nosem, podsunęła więcej mleka.

— Będzie rada, będzie kara — odrzekł ponuro mężczyzna. — Wytrzymajcie jeszcze trochę.

Na to Marysia wstała nagle i oparła się łokciami o stół. Pomarszczoną twarz zbliżyła poufale do twarzy gościa. Sękatymi palcami pogładziła go po głowie.

— Pon Stefuś — wyszeptała — powiedz swoi niani, przeciem jo ciebie wyniańczyła, my tu chłopcy w lesie, ty miastowy pon. Co mówio w Warsiawie? Kiedy diablów bedo gnać, hę? — Obtarła twarz fartuchem i zbliżyła się jeszcze bardziej.

— Tu u nos ludzie gadajom, ze kanyś w góroch siedzi wielgi wódz, nasz polski wódz, przezywajom go Miecz. Ludzie gadajom, że tylko on da rade diabłom. Chłopcy mówiom, ze szyćkie pójdnom z tem Mieczem. Czy to je prawda, panie Stefuś, dziecko moje?...

— Prawda, nianiu.

— Da on rade, Stefuś?

— Nie wiem, czy da radę, ale wiem, że będzie probował.

— Tyżeś go widziol, Stefuś?

Milczał.

— Marysieczko — odpowiedział nagle. Miecz prosi ciebie, swoją nianię Marysię, żebyś przechowała to, patrz,

co przyniosłem. To są Miecza pamiątniki; jak on zginie, niech to zostanie po nim, dla ludzkiej pamięci. Upilnujesz? Pamiętasz, kiedy byłem dzieckiem, uratowałaś papiery mego ojca i jego życie.

Marysia zamrużyła powiekami i umilkła na długo..

— Upilnuje! — Jak Pon Bóg na niebie. — odrzekła wreszcie, patrząc starymi oczyma prosto w oczy Miecza, które tyle razy — dawnymi laty — usypiała piosenką.

— Stefuś — zaszlochała nagle w fartuch — mój Stefuś...

JAK KRÓLOWA WIKTORIA

Weszli do polskiego mieszkania gestapowcy.

Zajechali wspaniałym autem, wkroczyli z brzękiem i chrzęstem. Elegancy, uperfumowani, pełni uśmiechów.

Na spotkanie ich wyszła dostojna staruszka w czerni, krągła, rumiana, z wysoką fryzurą. Jest sama w domu.

— Czego panowie sobie życzą?

Drobiazg, nie, nie przyjechali aresztować, cóż znowu. Pragnę tylko zapytać, czy pani Iksińska nie mogłaby ich poinformować w pewnej sprawie...

— Córki mojej nie ma w domu — przerwała staruszka.

— To my poczekamy. Może pani usiąść.

Ja? Mogę? Usiąść? — wycodziła dama. — Pan żartuje. Ja jestem we własnym salonie. Proszę, niech panowie siadają.

SIEDEM SEKUND

Hrabina ma pod sześćdziesiątkę. Przepadły ongiś jej wspaniałe włości na Podolu, został jednak pałacyk w Warszawie. Oddała go na szpital powstańczy, zawczasu, przed rokiem, nie czekając aż poproszą.

A teraz jest wrzesień 1944 i już od pięciu tygodni dzieje się piekło na ziemi. Miotacze min skrzypią jak zarzynana krowa, dokoła walą się dachy i ściany.

Ranni już wszyscy w piwnicy, pięter używać nie można, obstrzał za ciężki. Stara hrabina, w szarym fartuchu, krząta się po wielkim podziemiu, Krząta się dzień i noc. Nie żałuje zapasów, pościeli, sił. Jest posługaczką każdego i każdej; wszyscy są tu u siebie w domu, prócz niej.

Południe. Obstrzał zmiłkł. Chwila ciszy, widocznie Niemcy poszli na obiad.

Astry w małym ogrodzie, pełnym słońca, błysnęły nagle ku nam przez zakratowane okienko kolorem dotychczas niewidzialnym, a różowe floksy zapachniały dawnym światem. Zdaje się że nawet zaszumiały drzewa. Cisza...

Nagle wściekły wstrząs porwał nas wszystkich i zakręcił w opętaniczym wirze. Zupełnie czarno. Świata nie ma. Ciałami bijemy o ściany piwnicy. Oddychać nie można. Dom potężnym grzmotem wali się nad głowami. Trafilo!

— Czy piwnica wytrzyma? — miga błysk myśli.

Konając, liczymy sekundy i pociski. Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... siedem..

Wir puszcza. Leżymy na kamiennej podłodze. Sklepienie nad nami — trwa.

Więc to jest miotacz min?

— «Krowa» plunęła — chrzypie ktoś.

Liczymy się, murzyni, których poznać trudno. Wszyscy żyją, nikt na nowo nie ranny, tylko kapelan draśnięty tynkiem w skroń. Już mu stara hrabina coś tam przykłada.

— Mocna piwnica — uśmiecha się przy tym gościnnie.

Wyłażę na powietrze. Z pałacyku nad naszymi głowami w przeciągu siedmiu sekund, zostało tylko gruzowisko. Z ogrodu — czarny żużel.

Wyszła też i hrabina na słońeczko. Stąpiła parę kroków, rzuciła okiem. Jest już nędzarką. Nie miała od dawna nikogo. Teraz nie ma już nic, prócz tych swoich sześćdziesięciu lat.

Ziewnęła.

— Spać mi się chce — stwierdziła krótko. I poszła do piwnicy, przespać się w kącie.

W DOMU MAMULECZKI

Trzy miesiące byłam krawcową, ale trzy kwartały nie starczyło na spisanie pamiętników owego czasu. Szyłyśmy we dwie, malarka i literatka. Coraz więcej przywoitych palt chodziło po miasteczku, ale nikt nie wiedział, jaką ilość niespanych nocy nadrabiamy niefachowość.

Owszem, jedna osoba wiedziała: « Mamuleczka ». Sypiała w sąsiednim pokoju i na pewno nieraz przeszkadzało jej światło przez szparę.

W jej to bowiem mieszkaniu, owej nieznajomej « Mamuleczki », wynajęłyśmy pokój. Kiedy po raz pierwszy otworzyła nam drzwi, szepnęłam do koleżanki: « Tak musiała wyglądać Królowna ze Szklanej Góry, kiedy skończyła lat siedemdziesiąt ». Włoseczki białe, leciutkie, nieskazitelnie srebrne, oczy źródlane, niezabudkowe, wargi gładkie, różowe od dobrych słów. Nosek misterny, rasowy, lica przejrzyste. Postać zdrobniała, sukieneczyna czarna, schłudna, na ramionach wsiowy wełniak: królewska purpura.

—Jula, daj spokój z szyciem, lepiej maluj to cudo — powiadam cicho.

— Owszem, jeśli lubisz na obiad polewkę z metylenblau i czerwieni pompejańskiej.

— Proszę pani, ile kosztuje ten piękny pokój? — pytamy nieśmiało.

— Oficer niemiecki płacił z rekwizycji trzydzieści złotych. Więc od warszawianek nie wezmę więcej.

— Nam, przyzwoitym żołnierzom z powstania, nie wypada stosować się do niemieckich cen — śmieje się Julia.

— Pokój na mieście kosztuje trzysta złotych bez pościeli — wtrącam.

Targ w targ, staruszka, trochę obrażona, godzi się na sto pięćdziesiąt, ale za to przyobleka oba łożka w śnieżną, haftowaną pościel i wsuwa pod okno własną, nową maszynę do szycia, wobec tego, że Julia zwierzyła się z naszych projektów krawieckich.

Kiedy pod wieczór wprowadzamy do kryształowego mieszkanka nasze dwie niewymownie brudne osoby, pozbawione doszczętnie jakichkolwiek manatków, prócz koca przemokłego do nitki — na stole wita nas zielona misa złotych gruszek, a z półki uśmiecha się bukiet czerwonych dalii. Julia sięga po chusteczkę. Zapomniała, że minęły burżujskie czasy chustek do nosa. W kieszeni jest tylko dziura. Chcesz beczęć, to becz, ale nos wycieraj palcem.

Czyżbyśmy znowu byli ludźmi? Po piekle powstania, po wszach i poniewierce Pruszkowa, po dwudziestogodzinnej jeździe na stojąco w otwartej węglarce, w lodowatym deszczu październikowej nocy, w ścisku ludzi, obłąkanych głodem i rozpaczą, omdłałych z ran, oddających pod siebie kał i mocz, rodzących dzieci — również na stojąco — zdychających na czerwone, wiezionych w nieznane, może do pieców Oświęcimia — teraz znowu mamy być ludźmi? Wczoraj, z ciemności pierwszej nocy bez pożarów, z krainy całych szyb i stojących domów, z jakichś mijanych stacyjek, wiosek, lasków i dróg, gdzieś koło Skierniewic, Rogowa, czy Koluszek, głosy niewidzialnych ludzi krzyczały ku naszemu pociągowi:

— Kto jedzie?

— Warszawa! — wołaliśmy tłumem na węglarkach, jakby głosem, po ciemku, podnosząc sztandar. Wtedy z ciemności leciały do nas jabłka, bułki, cebula.

— Jaka dzielnica jedzie? — pytały dalej głosy niewidzialnej Polski.

— Mokotów! Żolibórz! — dumnie przedstawiały się wozy.

A od dzisiaj, w maleńkim miasteczku, już tylko szyć, by żyć. Ale cud, że nie Oświęcim, nie roboty w Rzeszy.

— No co, wartoby się rozpakować, he? — mówię do Juli. — Warto się umyć i przebrać, nie uważasz?

Nie mamy ręcznika, nie mamy mydła ani żadnej szczotki; nie mamy bielizny, ani odzieży na zmianę. A tu pościel śnieżna i cudza. Ogromne lustro przyszłej pracowni krawieckiej odbija postacie malarki i literatki: żółte twarze, umazane deszczem w dymie lokomotywy, szkielety nóg i ramion, obwisłe kurtki powstańcze, buty ciężkie jeszcze od gliny rozoranych pociskami ulic: Puławskiej, Odoiańskiej, Tynieckiej, Szustra... Kochanych, Nieobronionych.

— Proszę na gorące mleczko — zagląda przez drzwi główka srebrna i błękitno-różowa. Głos jest po dziecięcemu miękki, naiwny, tkliwy. Usta podają słowa samymi tylko brzeżkami warg i słowa te wydają się być kulkami białego puchu. — W łazience już napaliłam. Mydło i ręczniki czekają.

Tak żyłyśmy pod dachem ślicznej pani przez gorzką zimę 1944-45. Mamuleczka, jak nazywała ją cała miejscina, niewątpliwie nie była człowiekiem. Była wcieloną bajką Andersena, nic nie wiedzącą o własnym czarze. Królestwo jej stanowiła kuchenka, kuchenka też z bajki. Nie żadne tam wielkomijskie wymysły kafelkowe, ale po prostu białe ściany, sosnowe sprzęty wyszorowane na brylant, krochmalone płótna, lśniące naczynia. W oknie granatowe góry, a

przez sam środek okna, koło godziny czwartej, malinowa kula zachodzącego słońca, nad horyzontem jodłowym i śnieżnym.

Nieraz umyślnie dłużej obierałam w tej kuchence kartofle, żeby dziwować się, jak misternie Mamuleczka rozpala ogień, jak gotuje, jak sprząta. To nie była praca, to były cichutkie czary. Delikatne palce dotykały pieca i piec natychmiast grzał pokornie. Rondelki nie śmiały się okopcić, ziemniaczki wychodziły spod kozika jak utoczone z kości słoniowej, makaron nabierał cienkości anielskich włosów. Taka aureola wykwintu była niewątpliwie owocem czarów, takie posłuszeństwo przedmiotów musiało być wywołane zaklęciem. Mamuleczka żyła z przedmiotami za pan brat.

— Gotuj się, mleczko — poszeptywała nad rondelkiem — nie zbiegnij.

Jadała bardzo skromnie. Żyła tylko z tego, co nadsyłały dorosłe dzieci z sąsiednich miast. Ale czasem Mamuleczkę napadało łakomstwo. Działo się to zawsze tego dnia, kiedyśmy gotowały na obiad tylko kartofle. Mamuleczka czarowała wtedy mąkę z jajkami i z prawdziwym cukrem, po czym z życzliwego piecyka wyskakiwały cacka złocistych placuszków, ciepłe mleko uśmiechało się z kubków, a kasztanowa kawa starała się pachnieć prawdziwą.

— Możeby tak panie zjadły ze mną podwieczorek? — wołał głos z kuchenki. — Właśnie słońce zachodzi, robota nie zając, a mnie starej nudno bez towarzystwa.

Nas dwóch było Mamuleczce mało. Wzięła sobie jeszcze do domu młodą warszawiankę, ranną w głowę, w rękę i w bok. Sama ją myła, otulała pierzynką, częstowała smakołykami. Coraz to coś z domowej szafy wędrowało na targ, na sprzedaż: to obrus haftowany, to prześcieradło z mereżką. Nieraz wieczorami gawędziłam z Mamuleczką w ciepłym gnieździe kuchenki, jedząc kaszę wprost z patelni, stojącej na ciepłej płycie, zawstydzona, że tak ordynarnie

zachowuję się w krainie czarów. Nie mogłam się nadziwić mądrości staruszki i dobremu pięknu, które rozkwitało dookoła niej, nie wiadomo jak i kiedy, niczym krokusy na wiosnę. Jakaż to warstwa społeczna, jaka historia życia — myślałam nieraz — wydała tę kobiecinkę tak wykwintną, tak słodką, tak nieomylnie bliską prawdy? Dowiedzieć się w miasteczku było nie trudno. Srebrna pani skończyła w dzieciństwie parę oddziałów jakiejś szkółki i nieomal w tymże dzieciństwie wyszła za miejscowego piekarza, obdarzonego despotycznym humorem i siedmiorgiem dzieci pierwszej żony. Młoda « Mamuleczka » wychowała wszystkie te cudze i jedno własne, syna. Tego syna, już inżyniera, zabrali jej Niemcy przed czterema laty i trzymają w Dachau. Nie zaznała nigdy nic, prócz ciężkiej pracy.

Jest czwartek. W domu Mamuleczki co czwartek, wszystkie sprzęty i naczynia stają na baczność. Piecyk służy żarliwie, łyżki wirują, blachy brzęczą. Cichutko, pokornie, ale z wyraźną skwapliwością. Pieczeń i strucla układają się grzecznie w tekturowym pudle. Pojadą do syna. Czwartkowe paczki są właściwym, ziemskim życiem Mamuleczki. A każdy jej ruch dnia powszedniego dlatego może wygląda nieziemsko, że jest modlitwą?

Poza naszą pracownią, były jeszcze dwa pokoje z korytarza: niezamieszkały gabinet syna i mały gabinetek, zawsze komuś odnajęty. W tym pierwszym, Mamuleczka odprawiała własnoręcznie codzienny obrządek czarodziejskiego sprzątnania i sama zaklinała piec. Stały tam niezliczone książki syna, duże biurko syna, fotografia syna, otulona w zieleń. Pokój miał rozkaz czekać, więc lśnił, dyszał ciepłem, pamiętał i czekał. Mamuleczka spędzała tam szarą godzinę. Dosłownie w chwili, kiedy malinowe słońce dotykało śniegów i jodeł, z dużego gabinetu dochodzić zaczynał szelest najcichszego różańca. « Zdrowaś Mario, łaski pełna », — szeptała Mamuleczka, oparłszy

się czarną sukienką o ciepły piec. Miękkie nici tego szeptu owijały dom spokojem, jak smugi płynącego zmierzchu.

Gdzieś koło grudnia, do małego gabineciku sprowadził się pan Jan. Był duży, łagodny, flegmatyczny. Polecili go znajomi znajomych. Płacił dobre komorne, a paczki do Dachau kosztowały słono. Nowy lokator mieszkał spokojnie, skromnie i ubogo, tylko wielu przymował panów, zawsze po jednym i zawsze na krótko. Bez począstunku, ot, sucha wymiana myśli. Musiał mieć lat ze trzydzieści, spotykałyśmy go czasem na korytarzu, lub w kuchni, gdzie odgrzewał mizerną żywność, przyniesioną z miasta. Obie z Julą nie zamieniłyśmy z nim nigdy ani słowa, prócz krótkiego powitania. Kiedyś tyko, pamiętam, grzejąc żelazko w kuchni, zanuciłam mimo woli, w obecności pana Jana:

*« It's a long, long way to Tipperary,
It's a long, long way to go... ».*

Spojrzał zdumiony. Krawcowa w małym polskim miasteczku? Uśmiechnęłam się i zamilkłam. Nie zapytał o nic. Kto ja? Kto on? W tych czasach nie należało pytać.

Mamuleczka traktowała nowego lokatora słodko, jak nas wszystkich, ale zauważyłam, że obserwuje go ukradkiem, bacznie, jakby niespokojnie. My obie, zresztą, również i ze szczerą sympatią.

Któregoś wieczoru — już późno — wykańczamy w ręku robotę.

Z pokoju Jana, przez ścianę, zaczyna dochodzić klekot maszyny do pisania.

— Dałabym sto złotych, jak nie mam — odzywa się Julia — żeby wiedzieć, który to artykuł « Wiadomości wojskowych », jakie przeczytamy za tydzień, rodzi się w tej chwili na tej maszynie?

— I w dodatku morduje się chłopczyna, nie przy puszczając, że ma za ścianą literatkę w skórze szwaczki — dodając. — Machnęłabym mu to w mig, a on będzie bazgrał do rana.

Mija pół godziny, może godzina.

— Słyszysz? Teraz podkreśla tytuł — uśmiecha się Jula.

Tuk, tuk, tuk, tuk, terkocze szybko maszyna jednym klawiszem.

— A mnie się zdaje, że to nie artykuł, tylko rozkazy do oddziałów — mówię.

— Skąd wiesz?

— Nic nie wiem. Węszę dopiero. Lubię wiedzieć z kim mieszkam. — Szyjemy cicho, Jan pisze, dochodzi północ.

Łomot w bramę! Maszyna milknie, jak zgaszona. Po chwili słyhać skrzyp zawiasów na dole, a zaraz potem, z dołu, po schodach żelazny tupot niemieckich butów i szczekanie rozmowy.

— Po niego! — krzyczy szeptem Jula.

Już jestem w drzwiach pokoju Jana.

— Wszystko do mnie! — syczę.

Plika zapisanych arkuszy pada na moje ręce. Chłopak, zielony jak jego kurtka, wsuwa naiwnie maszynę pod łóżko. Wypadam do pracowni. Niemieckie kroki już na naszym piętrze. Gorączkowo faszerujemy kartkami manekin, przewrócony w tym celu przez Julę. Co podstarzałe szwaczki, to nie taki trzydziestolatek w wojskowych butach!

Niemcy poszli o piętro wyżej. Noc minęła spokojnie. Rano, bez słowa, oddałam Janowi kartki i nie wiem do tychczas, co pisał. Podziękował krótko i nigdy nie

wspomnieliśmy o tym. Mamuleczka i chora warszawianka przespały nocną scenę. Chwała Bogu, że staruszka nie wie, trzeba oszczędzać jej zdrowie.

— Jan nie jest ostrożny, — stwierdziłam kiedyś.

— Jan jest nieostrożny, — poprawiła Jula.

Któregoś wieczoru, Jan nie wrócił do domu przed godziną policyjną, co oznaczało, że wogóle nie wróci na noc. Ponieważ zaś nigdy dotychczas nie zaniedbał uprzedzić Mamuleczki, jeśli nocował na mieście, niepokój domowników był uzasadniony.

— Widocznie Jana wzięli z ulicy — stwierdziła głucho Jula.

Tylu już znajomych zniknęło w ten sposób, że nikt nie pozwalał sobie na wyrażanie jakichkolwiek uczuć, gdyż rozumiały się one same przez się. Mówiło się tylko technicznie, o sposobach ratunku lub zatarcia śladów.

— W Warszawie wiedziałabym, który guzik trzeba nacisnąć, — wzdycha Jula. — Tu jestem jak tabaka w rogu.

Po chwili mówię: — Słuchaj, tabako, jeśli go wzięli, to należałoby...

— Właśnie, — odpowiada Jula. Rozumiemy się.

Ale jak porządkować cudzy pokój, nie uprzedziwszy pani domu? A jednak nie wolno niepokoić Mamuleczki, starej i kruchej, jak schnące źdźbło.

Puk-puk.

— Proszę!

To właśnie wchodzi Mamuleczka. Nie pyta, jak zwykle: «No, cóż się dzisiaj pięknego szyje?» tylko siada i milczy. Widocznie chce powiedzieć coś ważnego.

— Pan Jan prosił mnie o kąpiel na dziś wieczór, — mówi wreszcie.

Tak, to ważne, to nieomal dowód.

— Nasza chora zasnęła — oświadcza po chwili staruszka.

Tak, to również ważne, to zbliża nas do celu.

Aż nagle od razu: — Chodźmy we trzy do jego pokoju, natychmiast, bo mogą przyjść.

Więc czarodziejsko gospodarne rączki ujarzmiają nie tylko przedmioty, ale i sytuację?

Idziemy. Pokój Jana nabity jest nielegalszczyzną, jak lipcowy ul miodem. Archiwum za kilka lat, kopie rozkazów za rok i kasa! Chyba cały jeden zrzut. Wory tego wszystkiego. A ja, głupia, «ratowałam» go od kilku kartek!

— Nie wolno trzymać tylu rzeczy razem, — blednie Mamuleczka.

— Nie wolno nie uprzedzić gospodyni, — dodają ja.

— Nie wolno mieć składu tam, gdzie się mieszka, — kipi Jula.

— I nie wolno na tym dynamicie przyjmować łączników, — kończy fachowo staruszka.

Przez dobrą godzinę utykałyśmy papiery i kapitały w najfantastyczniejsze miejsca strychu, piwnicy i wszelkich składzików, starannie osłaniając świeczkę. Dowodziła nami i dyrygowała Mamuleczka. Wszystkie trzy wiedziałyśmy doskonale, że jeśli Niemcy wpadli na trop, to takie pośpieszne porządki są naiwną zabawą...

— Dzieciak! Partacz! — pogadywała Mamuleczka. — To się przecież robi zupełnie inaczej.

Mordujemy się długo, śpimy nienajlepiej. O dziewiątej rano zjawia się Jan.

Był na imieninach, zapomniał o kąpieli, zapomniał uprzedzić, telefonu nie ma, bardzo przeprasza...

Wtedy Mamuleczka we własnej osobie ukazała się na tle kuchni. Wyglądała surowo, wyniośle, oczy miała prawie czarne.

— Panie Janie, proszę na rozmowę, — zakomenderowała generalskim tonem.

Podziemny oficer odruchowo sprężył się na baczność.

MATKI

*« Kto zachowa mowę moją, śmierci
nie zazna na wieki ».*

(św. Jan, VIII).

Siedziało ich pięć na trawie, tuż nad Wisłą.

Z praskiego brzegu patrzyły w miasto. Już ani świata rozeznąć, ani poznać Warszawy. Nie ma sylwetki Starego Miasta, nie ma Świętego Jana, ani kwadratowej dzwonnicy Panny Marii, ani Zamku. Słońce nie płonie w szybach, mury nie mają lic, drzewa — zieleni. Szkielet wieży na placu Napoleona sterczy ku niebu jak kikut ręki, wzniesionej spod ziemi, a z wieży tej zwisa rozległy łachman miasta, jego strzępy, spaleniska, gruzy. Łuki mostów leżą w rzece, po pontonach, daleko, suną wózki i ludzie. Jest czerwiec 1945 i Wisła po dawnemu płynie w wieczność.

Na brzegu siedzi pięć kobiet, każda ma oczy niebieskie, włosy już siwe. Dzieci miały również oczy niebieskie i były przyjaciółmi.

Mówi Pierwsza:

— Walczył do końca. Ludzie radzili różnie, ale tylko ja wiedziałam, gdzie szukać. Poszłam prosto na Wilanowską 20 i sama odkopałam z ziemi.

Mówi Druga:

— Szła w pierwszym szeregu szturmówki i śpiewała

piosenkę. Pocisk trafił w szyję. Przekopałam cały róg Żytnej i Młynarskiej. Wielu znalazłam i wielu pochowałam. Ale nigdzie nie było granatowej sukienki i długich warkoczy. Ani na ziemi, ani pod ziemią.

Mówi Trzecia:

— Kiedy były naloty na radiostację, nie przerywał nadawania. Don: na Żorawiej 4 był wysoki, teraz gruzy jak góra. On leży na dnie. Nikt nigdy nie odkopie, nie znajdzie i nie pochowa.

Mówi Czwarta:

— Została na straconej placówce, nie odstąpiła rannych. Zabili wszystkich w jej oczach. Potem zabili ją. Na Mokotowie jest siedem grobów powstańczych, w każdym leży dwustu ludzi. W jednym — ona. W którym, nie wiem.

Mówi Piąta:

— W dzień ostatnich imienin otworzył Biblię i przeczytał głośno: «Gdyby dom na ziemi miał być zburzony, budowanie mamy od Boga inne, dom wiekui-
sty w niebiesiach». Pierwszego sierpnia wyszedł walczyć. Nie wiem co potem: gruzy Czerniakowa? Kanały moko-
towskie? Piec Oświęcimia? Śmierć w obozie jeńców? Nie dowiem się nigdy i nigdy nie znajdę.

Umilkły.

Zadnych już słów nie pozostało na świecie.

Nadbrzeżną drogą przechodził oddział żołnierzy. Mundury obce, niezrozumiała piosenka. Kurz tych kroków zasypał pięć kobiet, siedzących nad wodą.

Kiedy kurz opadł, wychyliła się z szarości pośpieszna ręka i na pobliskim płocie nakleiła biały arkusz, spośród wielu arkuszy trzymany w zanadrzu. Czarne litery uderzyły w niebieskie oczy pięciu Matek:

« ŚMIERC ZBÓJCOM Z ARMII KRAJOWEJ, SŁUGOM
NIEMIECKIM, ZDRAJCOM DEMOKRACJI! »

Pięć par kobiecych oczu patrzyło na czarne litery. Patrzyło tak długo, aż zdołało zrozumieć kto mówi, co mówi i o kim mówi. Zrozumiały także, że chociaż glob ziemski starto na miał, pozostały jeszcze na świecie cztery słowa.

Wypowiedziała je Pierwsza Matka, za pięć, za pięćset, za pięć milionów:

— Lepiej, że nie żyją.

* * *

Poza Wisłą, nad Zamkiem, którego nie ma, nad katedrą której nie ma, nad strzębem miasta, zwisłym ze szkieletu wieży — *niebo płonęło czerwono.*

Kair, w marcu 1946.

POSŁOWIE

TRZY LISTY

W końcu listopada 1945, dostaję na emigracji list z Warszawy. Wysłany w październiku. Wędrował przez świat!

List brzmi: « Kochana Pani! Pracuję, zarabiam tysiąc złotych miesięcznie, Irena zarabia tyle samo i próbujemy z tego żyć. Mamy wynajęty pokój, który ocalał w zgruzowanym domu. Wszystkoby jakoś szło, gdyby nie to, że Irena chora na płuca i doktor twierdzi, że ona musi mieć bardzo dobre warunki, a u nas zimno szalenie, bo szyb jeszcze nie mamy, ale jesteśmy dobrej myśli. Jeżeli przeżyliśmy zeszłą zimę, to i tę się jakoś przebiduje. Mam nadzieję, że Pani o swojej Anuli nie zapomniała i napisze do mnie chociaż dwa słowa ».

Anula! Wierny towarzysz z powstania, z każdego dnia i każdej godziny tych pięćdziesięciu siedmiu dni Mokotowa. Coś w rodzaju — śmiech powiedzieć — adiutantki. Młoda, smukła, rasowa, odważna do głupoty. Ileż razy prosiłam. idąc z nią razem: « Anula, poczekajmy chwilę w bramie ». A ona zawsze: « Chodźmy, to tylko Tygrys ». Co dzień o piątej rano roznosiła wory chleba do kuchen powstańczych. Śliczne gibkie ciało w granatowej sukience zgięte pod ciężkim worem. Długie, delikatne nogi wparte zaw-

zięcie w glinę łącznikowego rowu. Z Puławskiej na Bałuckiego, z Pilickiej na Różaną. Codziennie. Kto jadł żołnierski chleb na Mokotowie, gliniaste bochenki z czardziejskimi literami « W.P. », ten pamięta i kocha Anulę. Nieraz Kwatermistrz wołał: « Kto rozwiezie węgiel do kuchen? ». Obstrzał był silny, dlatego pytał, nie kazał. Zawsze zgłaszała się Anula. Brała wózek, konika i wyjeżdżała pod kule, do dwunastu kuchen po kolei.

W chwilach odpoczynku, siadywała w piwnicy kwatermistrzostwa przy okienku, na kanapie — a jakże, mieliśmy kanapę — i po prostu czytywała powieść. Skąd ją wzięła? Nie wiem. Pewnie znalazła w jakichś gruzach. Siadywała wygodnie, założywszy nogę na nogę, ćmiła papierosy, dopóki jeszcze były, i zdawało się, że za chwilę zjawi się lokaj w smokingu i poda jaśnie panience filiżankę pachnącej herbaty.

— Wiesz, Anula — powiedziałam kiedyś. — Chciałabym cię zobaczyć w balowej sukni.

— A jakąby Pani dla mnie wymyśliła? — błysnęły zielone oczki.

— No, naturalnie ze srebrnej lamy z zielonym paskiem. Ciekawam, kto ty jesteś, Anula? Co dzień biją w nas te same kule i prędzej czy później zgnijemy w tym samym rowie, a nawet nie znamy swoich nazwisk.

— Może jeszcze zdążymy przedstawić się sobie na pięć minut przed zdechem — zaśmiała się « adiutantka ».

— Minę masz książęcą, upór proletariacki.

— Ja jestem powstaniec, najdroższa pani.

A teraz, w półtora roku potem, przysłała list, już podpisany nazwiskiem. Książęco dumny, proletariacko zawzięty: « Jeśli przeżyliśmy zeszłą zimę, to i tę się jakoś przebiduje ». Wiem, jak « przeżyła » zeszłą zimę. Jadły obie z Ireną w jakimś podtatrzeńskim miasteczku kulki

kręcone z żółdziowej kawy i zlepione musztardą. Popijały wodą.

Po tym liście, dławiłam w sobie bezsilną, emigrancką rozpacz. Anula pisze wesoło, o nic nie prosi, prócz listu ode mnie. Ale ja wiem! Zbyt niedawno stamtąd wysłałam. Znam ceny masła, ceny węgla. Wiem, że moja Anula zdycha z gorzkiego głodu, uśmiechnięta jak zwykle.

Truje mnie obfita żywność emigrancka. Dręczą spokojne noce, kiedy nie trzeba się bać ani świstu pocisków, ani samochodu stojącego pod domem. Kiedy nie trzeba się bać ani tyranów, ani «wyzwolicielei». Ani tamtych, którzy kosili ludzi jak łan zboża, ani tych, którzy najlepszych — niby cenne motyle — nakłuwają na zatrute szpilki. Ani Gestapo, ani N.K.W.D.

Wtedy, na Mokotowie, budził nas zawsze koło 2-giej w nocy ciężki gwizd artylerii, wstrzeliwującej się w nas z Okęcia. Coraz bliżej. Coraz bliżej...

Dzwonek. Przyszła z wizytą elegancka pani. Jedzie na urlop do Europy, chce się pożegnać.

Ratunek! — myślę. Ratunek dla Anuli. Biegnię na miasto po trochę waluty, pokazuję memu gościowi list Anuli, daję adres Anuli. Błagam. Jak błagam!

— Ależ naturalnie — odpowiada strojna pani bardzo serdecznie. — Postaram się wysłać jak najprędzej. Stamtąd, dokąd jadę, to wcale nie tak trudno.

Mija miesiąc. Czekam. Co dzień myślę: moja Anula kupiła już szyby. Kupiła zastrzyki wapna dla Ireny. Jedzą masło. Moja Anula ma ciepłe rękawiczki. Moja Anula...

Dzwonek. Wróciła z urlopu elegancka pani. Jeszcze strojnieszka, jeszcze różowsza, jeszcze ostrzej błyszcząca złotem.

Opowiada nowiny. Potem uprzejmie podaje jakąś paczkę.

— Proszę, doskonale perfumy, przywiozłam dla pani z Europy.

— Dziękuję, nie używam.

— Może pójdziemy wieczorem do « Royalu »? Podobno świetna nowa orkiestra.

— Dziękuję, nigdzie nie bywam.

Gawędzimy dłuższy czas o pogodzie.

— Tak, tak, tu gorąco, tam śnieg.

Nie ośmielam się zapytać o to, od czego drży we mnie serce.

Dama się żegna. Już w przedpokoju przewyciężam nieśmiałość, czy może wstyd.

— A czy pani była tak dobra przesłać pieniądze do tej Anuli, o której mówiłyśmy wtedy?

— Ach, Boże! Zapomniałam, przepraszam. Z błyszczącej torebki wyjmuję pieniądze. — O, proszę, zwracam, wszystko w porządku.

Tak jest, wszystko w porządku.

Przyszedł jeszcze drugi list z Kraju. Tym razem od Jadwisi: « Kochana Ciociu, dziękuję za paczkę, bardzo mi się przydała, oddałam ją Maryli, której mąż ciężko zachorował na ulicy... » (Psiakrew, wiem co to znaczy « zachorował na ulicy »). Już siedzi...)... « więc Maryla posyła mu lekarstwa a przecież ona ma córeczkę, na dwoje nie zarobi. Zachowałam sobie tylko tabliczkę czekolady i sprzedałam ją za dwieście złotych. W jednej kwaciarni na Marszałkowskiej pojawiły się już konwalie, więc kupię bukietik na grób Bohdana. On tak lubił konwalie. Nie gniewaj się, Ciociu! Ty wiesz, że nie przełknęłabym teraz czekolady... »

Chwytam pióro i piszę: « Głupie dziecko! Ukochane dziecko! Nie kupuj konwalii, Bohdan nie chce kowalii, Bohdan chce żebyś jadła czekoladę, Bohdan, gdyby żył... »

Pióro staje. Drę własny list. Nie warto! List dojdzie za długie tygodnie, a warszawskie dzieci nie słuchają starszych i same wiedzą, gdzie ich szczęście.

Potem przyszedł trzeci list z Kraju, od starej kuzynki, ale na Jadzi temat. «Odwiedziłam Jadwisię, pracuje w szpitalu, mieszka z matką, mają na całym gospodarstwie jeden garneczek, jeden nóż i jedną łyżkę, ale i to za dużo, bo nie ma co jeść. Jadwisia sprzedawała swoją krew do transfuzji, jest bardzo blada. Cała się spala w pomocy dla ludzi... ».

* * *

Cała się spala w pomocy dla ludzi.

SPIS RZECZY

Od autora 7

CZERWONE WINO 9

PROFILE MŁODZIEŃCZE

Chleb i serce 19

Piętnaście lat 27

Nieporozumienie 29

Sten 31

Hostia 34

Ławeczka w Alejach 37

Która godzina? 43

Trójkąt 45

Kanały 51

WIEK KLĘSKI

Tajemnica Warszawy 57

Śmierć sterniczki 68

Kwiaty na stole 74

Pani Ministrowa 77

Joanna i Sułkowski 79

Praczką 86

Miłosierni niemcy 88

Jedyne święto 94

Virtuti Militari 101

Urodziny	103
√ Cień	113
Strzelec	124

TRYPTYK KLASZTORNY

√ Cecylia	143
Urszula	145
Kseni	148

SIWE WŁOSY

Srebrna taca	155
Marysia z przeszłością	160
Jak Królowa Wiktoria	168
Siedem sekund	169
√ W domu Mamuleczki	171

MATKI	181
-----------------	-----

POSŁOWIE

Trzy listy	189
----------------------	-----



Chonamie, Pany
21:48



BIBLIOTEKA
NARODOWA

176198

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001015588980